K. M. Fitkau

PAMIĘTNIKI
KSIĘDZA JORDANA.

PAMIĘTNIKI
KSIĘDZA JORDANA.

OBRAZEK INFLANT
w XVII wieku,

PRZEZ

Kazimierza Bujnickiego.

„Za dostatek mieli nic nie żądać, przestawając na tém co z ojczystego kraju sobie sposobić mogli.” HILZEN, *Inflanty*.

Tom II.

WILNO.
Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1852.

Przedrukować pozwolono z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno, 6 Lutego 1852 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

XIII.

Prędzéj niżelim się spodziewał wrócili nasi z Marjenhauzu. Forteczka ta wznosi się na wyspie jeziora tegoż imienia. Rozpoznawszy jéj nieprzystępne położenie, uradzono trzymać ją w oblężeniu aż do zimowych mrozów, aby można było po lodzie przebyć naturalną zaporę, jeśliby tymczasem nieprzyjacielski garnizon nie został głodem do poddania się zmuszony. Komenda pana rotmistrza Hilzena, przy pomocy okolicznych włościan, dostateczną była do utrzymania Szwedów w ścisłém obsaczeniu. Nie widział tedy Krzysztof Gąsiewski żadnéj potrzeby bawienia dłużéj w tych stronach, a tu i goniec od wojewody przywiózł mu ordynans pośpieszenia do głównéj kwatery, z którą powinien się był złączyć w Kryżburgu. Wybiegliśmy z radością na spotkanie wojewodzica, a ten się uśmiechnął, ujrzawszy

starego ciwuna w podróżnej kurtce i z szablą u boku; rzekł mu więc, odpowiadając na uprzejme jego przywitanie:

— Niebezpieczny jest, widzę, dla starych wojaków głos wojennej trąby. Wszak to i waszmość, panie ciwunie, przypasałeś do boku demeszkę. —

— A nacóżeś mi, panie, zostawił tego młodego junaka na załodze? Namówił mnie do pochodu, i jeżeli Wasza Miłość pozwoli, ruszam w pańskiej assystencyi, jak woluntarjusz; daj Boże tylko szczęśliwie, choć zapewne nie na długo.

— Z duszy rad jestem temu. Sędziwa głowa i młode ramie najlepiej służą sobie wzajem. Winszuję ci, panie towarzyszu, (dodał, obracając się do mnie), zupełnego powrótu do zdrowia. Nie żałuj wreszcie, żeś nie był z nami pod Marjenhauzem, bośmy tam nie zebrali laurów. Szwedzi siedzą jak kaczki na wodzie; a wasz pacholik nie miał ochoty częstować ich znowu, jak na Rossenie, gorącą kaszą. Ale pan Ilgoński nie ma zapewne konia. Każ mu Waść osiodłać jednego z moich.

Starzec serdecznie mu za to dziękował, a La Montagne, powitawszy mnie, rzekł: — Widzę, żeś korzystał z mojej recepty, bo mi wyglądasz dość czerstwo; ale czy nie przebrałeś był miarki w starym miodzie pustelnika, kiedyś go werbował do naszego wojska? Nie rozumiem, do czego się ten stary gryzipacierz przyda?

— Nie żartuj ze starych i z pacierza — odpowiedziałem. Oboje to więcej się przydaje, niż mniemasz. . . .

— Słowa są wyjęte z kazań wielebnego Anzelma jezuity, twojego duchownego ojca — rzekł śmiejąc się Francuz.

— Nie zrobiły mię jednak tchórzem! — odparłem z żywością.

— Przeciw temu ani słowa; ale to winieneś raczéj twemu ojcu *secundum carnem.*

Nie było czasu prowadzić daléj czczéj dysputy. Pobiegłem do koni, a La Montagne zajrzał tymczasem do kuchni. Dano wkrótce przekąskę. Ilgoński wytoczył cały swój zapas miodu na traktament gości i służby; a tak posileni, niektórzy trochę nawet podchmieleni, opuściliśmy pustynię starego pokutnika. Biedny Ilgoński, po długiém nawyknieniu do samotności i nabożnego rozmyślania, z przykrością się ujrzał w towarzystwie światowych ludzi; a ponury sługa jego Grzesio, wpadłszy niespodzianie w tłum żołdactwa i gwarliwéj gawiedzi, podobny był do sowy otoczonéj śród jasnego dnia gromadą ptaków.

Od Lucyna zawróciliśmy innym już szlakiem, zostawując Rzeżycę i Fejmany po prawicy naszéj; a to z téj przyczyny, iż tu większéj spodziewać się można było łatwości znalezienia po drodze prowjantu i furażu, aniżeli tam, kędyśmy już byli gościli. Przytém wojewodzic chciał obejrzeć blokhauz na Wolkenbergu.

Bardzo się z téj zmiany kierunku ucieszyłem, nie życząc sobie widzieć znowu panny Jodkówny. Z panem La Montagne poróżniłem się trochę, bo on chciał sobie drwinkować z Ilgońskiego, ja zaś mu tego nie dopuszczałem. Byłoby między nami przyszło może i do czego gorszego; ale pamiętając, że przy szturmie Rzeżyckiego zamku uratował mi życie, miałem się ostróżnie, aby się nie okazać niewdzięcznym.

Przybyliśmy nazajutrz nad brzeg ogromnego jeziora zowiącego się *Rośno*, które ma dwie przynajmniéj mile długości, a jest prawie okrągłe. Zdawało nam się, iżeśmy przyszli nad morze jakie: bo dzień był trochę mglisty, a przeto nie podobna było dojrzeć przeciwnego brzegu. Góra tylko Wolkenberg na odległym horyzoncie wychodziła, zdawało się, z wody, i kryła swój wierzchołek w mglistym tumanie, jakby kolos wzniesiony na cześć wspaniałego Rośna (*). Żadnego na tém jeziorze nie widać ostrowia; wzrok błąka się swobodnie po szklistej przestrzeni, którą otacza naszczerbione wybrzeżami pasmo różnéj wysokości pagórków już nagich, już w zielone odzianych gaiki. Droga nas wiodła przez majętność pana Szadurskiego. Dwór porządny, nad zatoką rzeczonego jeziora zbudowany, kazał się spodziewać wygodnego zwłaszcza u tak zacnego obywatela, noclegu; w istocie też z u-

(*) Dziś jezioro to nazywa się *Raźno*, właśnie jak widzieliśmy wyżej, iż *Rossen* przezwano *Rószonem*. Dwa-by więc były niegdyś w Inflantach jeziora święte.

przejmością przyjęci, znaleźliśmy w tym domu miłą prostotę obyczajów, i gościnność skromną, ale serdeczną. Stary Ilgoński nie mógł się nacieszyć z téj gościnności. — W tym domu — rzekł do mnie — pan Bóg mieszka. Tu błogo na sercu człowiekowi, bo się czuje otoczonym jakąś wonnością przykładnego życia poczciwéj rodziny. Przyznam ci się, że w waszéj wojennéj komitywie długobym nie wytrwał; w niéj albowiem dawny mój świat, ze wszystkiemi swemi próżnościami, dość wiernie się odbija; tu zaś, zdaje mi się, mógłbym żyć bez przykrości, a to już rzekłem wiele.

Że był piątek, wieczerza zatém z rybami, a były piękne. Szczupaki, okunie i leszcze, wielkości niezwyczajnéj. W Rośnie poławia się rodzaj malutkiéj ryby, srzebrzystéj barwy, bardzo delikatnego smaku; podobnéj w innych jeziorach nie znajdziesz; a taka jéj obfitość, że ją korcami przedają, zowie się *stynka.* Pan La Montagne chwalił ryby, ale nie podobał mu się sposób ich przyrządzania. Informował tedy gospodynię o sekretach francuzkich gotowania rybnych potraw; na co mu pani Szadurska tak odpowiedziała: — O mój mości panie! dobrze to tam u was warzyć ryby w winie, lub maczać je w prowanckiéj oliwie, gdzie wino i oliwę macie na zawołanie; ale gdybyście te specyały z tak daleka jak my sprowadzać musieli, nauczylibyście się obchodzić się bez nich. Dało mi się słyszeć, iż gdzieś we Włoszech (zkąd to była rodem owa niegdyś nasza królowa Bona) chłopi robią dla siebie całe

kadzie kwasu z cytrynowego i apelcynowego soku, a na toby u nas ledwie pana smoleńskiego wojewody stało.

— Mądrze waszmość mówisz, pani podstolino! — odezwał się ciwun Ilgoński. — Dla każdego kraju Pan Bóg stworzył żywność, jakiej potrzeba zdrowiu jego mieszkańców. Za granicą tłuste nazbyt ryby morskie strawniejsze są warzone z winem, nasze zaś tego nie potrzebują, a przecie smaczne, jak to uważam z opróżnionych mis i talerzy na stole.

— Popierając wniosek Jmć pana ciwuna, *in quo nati sumus* — wrzucił pan Szadurski — proponuję waszmościóm panóm skosztować domowego mojego miodu.

La Montagne ruszył ramionami, i nic już więcéj nie mówiąc, jadł i pił z rezygnacyą, która atoli, jak poźniéj z dobrego humoru jego wnosić należało, nie musiała go wiele kosztować.

Po wygodnym noclegu ruszyliśmy w dalszy pochod ku Wolkenbergowi brzegiem Rośna. Pan Szadurski, jako komendant warowni, uprzedził nas tam, aby przyjąć wojewodzica Gąsiewskiego, z należnemi wojskowemi honorami. Za przybyciem do miejsca, hufiec rozłożył się u podnoża góry, a starszyzna z dowódzcą na czele, udała się na szczyt jéj do blokhauzu. Od Wolkenberga do jeziora *Eszy*, trzymilowa przestrzeń najeżona pagórkami i zarosła lasem. Miejsce to musiało być przed wieki teatrem szczególnéj rewolucyi

fizycznego świata, tak okrutnie powierzchnia ziemi w dziwne wygarbiła się kształty. Nie spotkasz tu równiny na jedną kwadratową staję; dolinki tylko między pagórkami, a w głębszych wklęsłościach naturalne stawy, połączone między sobą ruczajami. Zdawałoby się, iż cała ta okolica jest zwierzyńcem opatrzonym od natury w to wszystko, co najbardziej nęcić może wszelkie rodzaje zwierząt i ptaków. Jest też w nich dostatek tych stworzeń; ale już ręka człowieka wydziera im powoli piękne te dziedzictwa; już tu i ówdzie łan uprawny i oczyszczona łączka zapowiadają odjęcie tym wzgórzom lesistej ich szaty, a dzikom, niedźwiedziom i rysiom bezpiecznego schronienia.

Nie bez trudu zaiste przyszło nam przebywać dzikie te okolice po nieutorowanych manowcach, przecinanych co chwila to bystrym potokiem, to grzązkim ruczajem. Doszliśmy nakoniec późnym wieczorem do małej łotewskiej wiosczyny, zowiącej się *Anzel*, położonej na brzegu jeziora *Eszy*. Niewygodny mieliśmy nocleg, bo prawie pod gołem niebem. Ze świtem w dalszy ruszyliśmy pochod, a promienie wschodzącego słońca oświeciły jeden z najpiękniejszych widoków natury w Inflantach. Wspaniałe jezioro rościełało się pod nami, nęcąc wzrok rozmaitemi piękności. Zamiast ogromnej zwierciadlanej tafli, jak *Rośno*, mieliśmy tu przed oczyma długie pasmo wód okrytych niezliczonemi wysepkami, umajonemi już wysokopiennym lasem, już młodą zaroślą i krzewiem. Jedna z wysp

uderzała nawet swoją niepospolitą wielkością, oraz cudnym kształtem, i zdawała się być królową tego archipelagu. Brzegi Eszy dodają uroku pięknościom wód jego. Niezliczone wzgórza rozmaitej wielkości i kształtu, jedne strome i nagie, drugie zaokrąglone u wierzchołka i pokryte zielonością, okrążają ze wszech stron w rozlicznych zagięciach jezioro i zdają się z upodobaniem przeglądać w modrych jego toniach. Nigdzie równiny. Jak okiem sięgnąć można, piętrzą się wszędzie pagórki, jakby każdy z nich chciał wyżej nad inne wynieść swe zielonym wieńcem umajone czoło. Skłonny z natury do marzeń, zapuszczałem z roskoszą wzrok w rozliczne piękności tego obrazu, i zaludniałem te zielone wyspy, przesmyki i wybrzeża, postaciami mojej wyobraźni; budowałem świątynie i pałace z lekkich obłoczków mgły poranku, a po tych świątyniach, po tych pałacach, wodziłem Roazę; widziałem ją dzielącą moje zachwycenia, i mówiłem sobie: — Ach, gdybym tu mógł mieszkać z tobą! Nie byłyby te wdzięki natury dla nas straconemi. Pływalibyśmy, jak para samotnych łabędzi, po tych wszystkich zatokach; zwiedzalibyśmy każdą wysepkę; echa tych pagórków odbijałyby nasze pieśni, i.... — Tu wrzaskliwy głos wojennej trąby wyrwał mię ze słodkich marzeń. Trzeba było wsiąść na koń. Ale długo jeszcze wzrok mój błąkał się po pięknem jeziorze, jakby żegnając lube to ustronie, którego już nigdy więcej oglądać nie miałem.

Przed południem stanęliśmy nad rzeką Dagdzicą i obiadowaliśmy w Dagdzieńskim zameczku, a raczej w ruderach tego, niegdyś położeniem swém obronnego, blokhauzu. Wzgórze, na którém był zbudowany, oblane jest z trzech stron wodą; albowiem rzeczka Dagdzica zbiega się tu z inną wychodzącą z jeziorka; ód północnéj więc tylko strony lądem jest przystęp do okopów. Wały znaleźliśmy w nienajgorszym stanie, ale zameczek niewart już był tego nazwiska. Ściany jego budowane z drewnianych kloców chyliły się do upadku, utrzymując się słabo na podporach; szczątki dachu pokrywały jeden tylko róg budowy, w którym mieszkał stary burgrabia, jakby czekając, aż go zbutwiały gmach ostatecznym swym upadkiem przywali. Wojewodzic obejrzawszy z politowaniem tę ruinę, nie widział potrzeby osadzać ją żołnierzami.

Widok z wałów nie jest zbyt rozległy, ale nie braknie mu piękności. Bieg rzeki skrapia zieloną łąkę rozpostartą u podnoża góry; okoliczne pagórki okryte są naprzemian sosniną i brzozą; a wielkie jezioro *Dagda* zamyka w dali krajobraz od wschodniéj strony.

Tegoż dnia mieliśmy nocleg we wsi zowiącéj się Okra. Stąd miał pan Ilgoński udać się do Aulii, dokąd pragnąłem bardzo jemu towarzyszyć. Chęć ta zbudziła mię przed świtem. Czekałem niecierpliwie dnia, aby u dowódzcy choć na jednę dobę wyjednać dla siebie urlop. Ledwie rozwidniało, aż wbiega do téj szopki, gdziem miał kwaterę, pokojowiec wojewodzica z roz-

kazem, abym się zaraz przed nim stawił. Pytam, coby to być mogło? On mi powiada, że zapewne dla wybadania jakiegoś Łotysza dziwnie odzianego, którego straż placowa pochwyciła w nocy, i który wygląda na szpiega.

Pośpieszyłem do kwatery Gąsiewskiego; a ten, gdym wszedł, rzekł do mnie: — Panie Jordanie! Waszmość znasz dobrze język łotewski, rozmówże się z tym cudakiem, podobniejszym do niedźwiadka, niż do człeka.

Nie trudno mi było od pierwszego rzutu oka na wprowadzonego do izby młodego Łotysza, poznać w nim mieszkańca pogańskiej osady; miał bowiem na sobie odzież podobną do téj, w jakiéj została pojmaną Roaza; a że kaftan jego bez rękawów był z czarnéj surowéj baraniéj skóry, wełną na nice, i sięgał niżéj kolan, to mu więc nadawało dzikszą jeszcze postać. Ale zdołamże opisać moje przerażenie, kiedy ten chłopak na piérwsze zapytanie powiedział mi, że uciekł ze swéj wioski, szukając ratunku dla Roazy, znajdującéj się w rękach jego ziomków i wystawionéj na skutki ich zemsty za zniewagę uczynioną bogom przez przyjęcie chrześcijańskiéj wiary?

— Ty się nazywasz Gribul? nieprawdaż?— krzyknąłem.

— Tak jest — odpowiedział zdziwiony Łotysz.— Nie rozumiem, jakeście to zgadli; ale tak w saméj rzeczy, jestem Gribul; a Roaza tak mi jest miłą, że chociaż się nas wyrzekła, chociaż została chrześcijanką i

wielką panią, gotów jestem umrzeć, byle ją uratować. Bo nasz wurszajtas *Wannags* (*) albo ją zgubi, albo wezmie za żonę; ja zaś ani tego, ani owego nie chcę.

— Więc to on ją porwał? — pytam dalej, a krew mi się ledwie nie ścinała w żyłach.

— Pochwycił ją za pomocą cyganów w blizkości dworu, a z nią razem i waszego starego kapłana.

—Kiedyż to się stało?

—Zawczorajszej nocy. Przez dzień wczorajszy wurszajtas trzymał ich w zamknięciu, a dziś mają ich sądzić. Udało mi się przykraść się do okienka i rozmówić się z dawną znajomą. A ona tak zawsze piękna, tak mię słodko prosiła, żebym szukał dla niéj ratunku, że zapomniałem o złości méj na nią za jéj ucieczkę, i postanowiłem biedz, w ostatnim razie choć do dworu, po ratunek. Wykradłem się więc wieczorkiem z wioski, wyszedłem z ostępu; ale noc mię zaskoczyła w lesie — zbłądziłem; zamiast cobym trafił do dworu, zaszedłem aż w tę tu stronę i wpadłem o samym świcie w ręce *Wacisow* (**), którzy, chwyciwszy mię jakby jakiego źwierza, przyprowadzili do tego *Kunga* (***).

Wojewodzic, domyślając się z bolesnego wyrazu méj twarzy, iż się stać musiało jakie nieszczęście, niecier-

(*) Wannags (*jastrząb*) nazwisko wurszajta.

(**) *Wacis* po łotewsku Niemiec, może od słów *was ist?* Łotysze wszystkich cudzoziemców nazywają Niemcami, zapewne dla tego, iż pierwsi przybysze, co ich kraj podbili, tego byli narodu.

(***) *Kungs*, pan.

pliwie oczekiwał końca rozmowy mojéj z Gribulem; a skoro mu rzecz opowiedziałem, wielce się zafrasował i rzekł:—Cóż tu począć? Trzeba ich ratować. Ale zwracać z drogi o mil kilka i poświęcić dwa lub trzy dni czasu, to znowu przechodzi granice méj władzy, kiedy zwłaszcza list, którym od ojca mego otrzymał pod Marynauzem, rozkazuje mi wracać z oddziałem bez najmniejszéj zwłoki.... Niech przywołają oficerów. Trzeba się naradzić i postąpić z rozwagą; chociaż możesz być waszmość pewnym, że w innych okolicznościach sambym zaraz pośpieszył na ratunek nieszczęśliwym.

Wybiegłem w rozpaczy, i wiodąc z sobą Łotysza, udałem się do pana Ilgońskiego. Znalazłem go na modlitwie. Można sobie wystawić, co uczuł nieszczęśliwy ojciec, dowiadując się o téj nowéj przygodzie. Badaliśmy z nim raz jeszcze Gribula, i tegośmy się tylko na pociechę dopytali, że ojciec Roazy *Uzulin*, ze swojemi przyjaciołmi, bronić jéj będzie, chociaż Wannags większą część mieszkańców ma za sobą. Gdyby więc przyszła choć *Pulciensz Krystejtu laużu* (garstka chrześcijan), wurszajt ustąpićby musiał, bo się boją, osobliwie uzbrojonych w strzelby. Ciemny ten Łotysz nie umiał żadną miarą powiedzieć nam liczby mieszkańców swéj wioski. Można się jednak było domyślać, iż z cyganami musiało być około 40 osób.

Pośpieszyliśmy z tą wiadomością do sztabu, i znaleźliśmy radę wojenną w kłopocie niemałym. Wszyscy pragnęli dać ratunek ofiarom pogańskiéj dziczy, ale

nikt nie śmiał radzić wbrew ordynansowi wodza; a Gąsiewski lubo mocniéj od innych dotknięty tą przygodą, brać w tym razie na siebie całéj odpowiedzialności nie odważył się, z téj najbardziéj przyczyny, iż, będąc synem wodza, winien był z dwojakiego względu posłuszeństwo woli jego objawionéj najwyraźniéj w tych słowach: „Iść najprostszym szlakiem i co najśpieszniéj, „nie obracając pod żadnym pretextem w stronę, ani się „zatrzymując dłużéj, jak potrzeba dla wytchnienia, i na„karmienia ludzi i koni.” La Montagne nawet napróżno tarł czoło. Dowcip jego obfity w wybiegi, zdawał mu się na ten raz odmawiać posługi. Mnie zdejmowała rozpacz. Byłem już gotów uczynić jakie szaleństwo, gdy zapytany o zdanie pan Ilgoński, w te się odezwał słowa:

— Posłuszeństwo rozkazom starszych jest powinnością, jest cnotą żołnierza. Szanuję więc powody, które was moi wielce Mościwi panowie i bracia wstrzymują od usłuchania głosu ludzkości. Ale pozwólcie mi ukazać wam tę nadzwyczajną okoliczność z innego a zgodnego także z waszą powinnością punktu. Zapomijmy, że w ostępie, co służy za przytułek pogańskiéj dziczy, oczekują okrutnéj śmierci dwie niewinne ofiary, kapłan i dziewica, których los tak mocno was wszystkich, a szczególnie ciebie dostojny dowódzco tego oddziału obchodzi. Wezmijmy tylko na uwagę położenie tego niedostępnego ostrowia, i zastanowmy się, czy podług prawideł wojennéj sztuki, nie byłoby z wielkim

pożytkiem w obecnéj chwili opanować i osadzić ten punkt żołnierzem, jako twierdzę, którą nam Bóg daje, a którą natura tak potężnie ufortyfikowała?... Wszakże wolno jest prowadzącemu zastęp komendantowi korzystać z nadarzonéj po drodze zręczności do zwyciężenia wroga lub zdobycia niespodzianie warowni. A ja mniemam, iż ów ostrów jest w istotném znaczeniu wyrazu warownią, którą, gdyby teraz nie została osadzoną garnizonem polskim, mógłby Szwed przypadkiem na swój opanować pożytek. Mniemam oraz, że do wykonania tego przedsięwzięcia wielkiéj nie potrzeba siły, że dość na to będzie dwódziestu żołnierzy pod dowództwem jednego towarzysza, reszta zaś oddziału iść może ku miejscu swego przeznaczenia; a tym sposobem stanie się zadosyć i obecnéj potrzebie i ordynansowi naczelnego wodza. Dixi.

Zdanie pana ciwuna trafiło do przekonania wszystkich i przyjęte zostało bez sporu. Wojewodzic, wielce uradowany, rozkazał złożyć podjazd z dwónastu usarzy i z ośmiu kozaków, dodawszy jeszcze kilku loznych; a jakom ja jeden znał dobrze język łotewski, otrzymałem bez trudności dowództwo nad tą małą komendą. Stary Ilgoński oświadczył, iż mi assystować będzie.

La Montagne odetchnął, jakby mu góra spadła z piersi, i rzekł do mnie: — Przyznam ci się, że nie spodziewałem się znaleźć tyle sensu pod wytartym kołpakiem tego starego mruka. Uważam, że on się w życiu więcéj czegoś nauczył, jak trzepać różaniec. Ledwie przy-

pasał szablę, inny się z niego zrobił człowiek. A co się tycze téj wyprawy, winszuję ci przyjacielu, i zazdroszczę tak pięknéj przygody. Oswobodzić kochankę! ukarać jéj prześladowców! *palsembleu*, to prawdziwa roskosz! Zawszem sobie życzył takiego zdarzenia. Ale, do djabła, żadna mi jeszcze kochanka nie dała doznać téj przyjemności; a jeśli którą i porwano mi z przed nosa, i jeżelim się bił o nią, to mi zawsze poźniéj żałować przychodziło, żem był tak głupi, i żem jéj lepiéj nie zostawił w rękach mojego rywala! Bądźże zdrów, wojuj szczęśliwie pogany, i ucałuj odemnie rączki panny Roazy. *A propos*, staremu jezuicie powiedz, że to nań spadła kara za swatostwo w Fejmanach. Ale ten zagorzalec rad może ze swéj przygody; bo choćby go i upiekli bałwochwalcy, onby im wprzód wypalił piękne kazanie, i umarłby w nadziei, że go po śmierci ukanonizują, jak męczennika. *De gustibus*.... ale widzę, że się dąsasz. Żegnaj, a na zgodę weź tę flaszę wina i ten kawał pieczeni do olstry. Człek nie żyje samą miłością i wojną. *Adieu*.

Wolniéj odetchnąłem, kiedym się ujrzał już na czele mojego pocztu w polu. Ciągnęliśmy komunikiem, sporym kłusem; ale nowy strach, żeby po błędnych manowcach, osobliwie w puszczy, nie stracić drogi. Pytam Gribula, czy pewny jest trafić do miejsca?

— Zdaje mi się, że trafię — odpowiedział — chociaż przyjdzie nałożyć drogi, bom się w nocy nie mógł trzymać prostéj. Ale byłem ostróżny, i skorom wyszedł

z lasów, które mi są dobrze znajome, wciąż robiłem znaki dla siebie na powrót. Oto widzicie tę złamaną gałąź, a tam dalej to przygięte drzewko, a tu wbity patyk w ziemię — to są moje przewodniki, te mię nie zdradzą. W samej rzeczy, godny podziwienia przemysł tego prostaka wybornie nam posłużył. Kierując się podług jego znaków, szliśmy, prawda, często w zygzag i nadaliśmy sobie niemiłosiernie drogi, aleśmy nie zbłądzili całkiem, i po dwóch godzinach tęgiego marszu, usłyszeliśmy z wielką radością Gribula wykrzykującego *Edzsze!* (*) Oto teraz już jestem w moim lesie. Tu nie potrzeba znaków, tubym trafił po omacku. Ale wnet trzeba będzie iść pieszo, bo na koniach nie podobna przebyć bagniska i powałów, ani się przebrać przez *Gniły ruczaj* po kładce. Na szczęście, wziąłem był z sobą kilku chłopów z wioseczki, na którąśmy po drodze natrafili. Przybywszy zatem do ostępu, kazałem zsiąść i strudzone konie puścić pod strażą owych włościan na paszę; ludzie się rozłożyli dla wytchnienia i zażycia posiłku; ja zaś, wziąwszy z sobą Gribula, udałem się przez bagna i powały jedynym jemu wiadomym chodnikiem do niebezpiecznej na ruczaju przeprawy.

— *Are! Ekkur!* (**)— szepnął on do mnie — kładka zdjęta! Widać, że się boją napadu i mają się na baczności.

(*) Wykrzyknik łotewski.

(**) Wykrzyknik, jakby *patrz-no! a to co!*

Wróciliśmy więc do stanowiska, gdzie kazałem ociosać bierwiona jak na kładki, a tymczasem wysłałem dwóch kozaków z łukami na brzeg strumienia, aby się tam zaczaili, a skoroby się na przeciwnym brzegu ukazał jaki pogański czatnik, zarazby cichutko weń ugodzili strzałami; bo osada była ztamtąd w małej odległości, a przeto huk wystrzału z rusznicy łatwoby się jej dał słyszeć.

Zaledwie moi łucznicy zasiedli w krzakach, skrada się z przeciwnej strony Łotysz, wypatrując i przysłuchując się pilnie; aż tu, szast, dwie strzały przeszywają go na wylot. Krzyknie, pada i tarza się po ziemi. Po chwilce przybiega drugi, spójrzy na towarzysza i chce uciekać, lecz raniony w grzbiet i w nogę, wali się także na ziemię. Więcej nikt się już nie pokazał. Gribul oczom swym wierzyć nie chciał, i z przerażeniem patrzał na dwóch swoich ziomków, z których jeden leżał bez duchu, a drugi podnieść się nie mógł na nogi. Kiwnąwszy potém głową, rzekł: — Ci są przyjaciele wurszajta, pomagali mu do porwania Roazy. Dobrze im tak! mają za swoje! A jednak żal mi tych *pujszow* (*), bo walni z nich inaczej byli towarzysze. Wannags odpowie za nich przed Perkunem.—

My tymczasem wygotowaliśmy dyle i ruszyliśmy ku ruczajowi, aleśmy się namęczyli srodze, przebywając z ciężarem topieliska i zawały. Już było południe, kie-

(*) Chłopaków.

dym się ujrzał z radością na drugim brzegu tego szkaradnego strumienia. Ilgoński, pokonywając mężnie trud i gwałtowne wzruszenia duszy, ścisnął mi w milczeniu rękę, i poszliśmy daléj, obwiązawszy wprzód rany skaleczonego Łotysza, które nie były niebezpieczne; drugi zaś nie dawał znaku życia. Smutny to był widok, ale konieczność usprawiedliwia przelew krwi tych nędzarzy.

Przybywszy na brzeg lasu, ujrzeliśmy niewielką płaszczyznę, a na niéj dziesiątek chałup obwiedzionych prostym parkanem. W środku téj wiosczyny wznosił się dąb rozłożysty, przy którym zwijała się, wydając przeraźliwe okrzyki, kupa obojéj płci ludzi. Rzuciliśmy się pędem ku temu miejscu; a gdym pierwszy wpadł z podniesioną szablą w zgraję, postrzegłem ks. Anzelma siedzącego ze związanemi w tył rękami na białéj szkapce, którą prowadził barczysty chłop rudowłosy, naprzeciw zaś niego dwóch innych na klęczkach trzymało włócznię na pół stopy wzniesioną od ziemi. Wytłómaczono mi późniéj dziwaczną tę ceremonię, któréj celem było przekonać się, azali bogowie żądają śmierci niewolnika, lub go darują życiem. Jeżeli bowiem koń do przestąpienia przez włócznię podnosił nogę prawą, było to znakiem przebaczenia; jeżeli zaś lewą, wyrokiem śmierci. Księdza Anzelma wiedli po raz drugi przez fatalne drzewce; bo jako za piérwszym konik jego przestąpił prawą nogą, niegodziwy ofiarnik Wannags, zawiedziony w swém oczekiwaniu, oświadczył ludowi, że Bóg chrześcijański siedział widać razem z jeńcem na

koniu i kierował nim, że tedy trzeba było obmyć grzbiet koński wodą i piwem i nanowu puścić go przez włócznię (*). Nie wiem coby się było stało za drugą razą. Wurszajt potrafiłby zapewne zmusić konia do podniesienia lewej nogi; lecz ja mu pomięszałem szyki, ująwszy go za rude kudły lewą ręką, a przykładając mu prawą ostrze szabli do szyi.

— Tyś Wannags!— krzyknąłem piorunującym głosem. Prowadź mię zaraz do twej chaty, gdzie trzymasz zamknioną Roazę, i jeżeli mi jej nie wydasz żywej i zdrowej, zabiję cię jak psa. Wy zaś, bracia!— rzekłem do swoich — oswobodźcie księdza i rozpędźcie tę kupę pogan. Rozstawić warty około wsi, a dwóch usarzy niech idzie za mną.

Wszystko to się stało tak nagle, że napadniętym nie przyszło nawet na myśl stawienia jakiegokolwiek oporu. Jakby rażeni piorunem, spoglądali na siebie w niemém zadziwieniu; a potém wołając: *waj! waj! Diws Krystejtu laużu!* (biada! biada! Bóg chrześcijański!) rozeszli się każdy do swojéj chałupy, jak owce

---

(*) W kronice Inflanckiej Arndt'a przywiedziony jest przykład takiego nad jeńcami u dawnych Liwów sądu. W roku 1192, jeden z assystentów Meinharda, pierwszego biskupa Liwonji, imieniem Teodoryk, a który był potém biskupem w Estonji, porwany został od Liwów Torejdańskich i obwiniony o sprowadzenie ciągłego deszczu na ich pola. Wystawiono go podwakroć na powyżej opisaną probę; a gdy szczęśliwie koń pod nim za każdą razą prawą podnosił nogę, poganie nie śmieli już go zabijać bogom na ofiarę, i tak uszedł prawie cudem śmierci.

do zagrody. Wurszajtas z rozdziawioną gębą, z wytrzeszczonemi osłupiałemi oczyma, nie szamotał się nawet, gdy go wlokłem za sobą, śpiesząc ku jego chacie, do któréj Gribul wskazywał drogę.

Wciągnąwszy go do sieni, oddałem w ręce żołnierzy, a sam wpadłem do izdebki, z któréj mię doleciał luby głos mojéj Roazy. Siedziała nieboga na ławie, nie mogąc ruszyć się z miejsca, bo związane miała ręce i nogi. Jakie było nasze przywitanie, łatwo sobie wystawi, kto kiedykolwiek kochał i był kochany. Oglądałem ją z taką radością i niepokojem, jak matka opatruje jedyne swe dziecię wydarte wilkowi z paszczy. Rzuciliśmy się potém oboje na kolana, i w milczącéj modlitwie dziękowaliśmy Bogu za cud Jego miłosierdzia. Kiedym się podniósł, ujrzałem przy progu izby dwie jeszcze osoby klęczące w cichéj rozmowie z niebem. Byli to ksiądz Anzelm i pan Ilgoński. Oddawszy mi serdecznie wzajemne uściski, rzekł do mnie missjonarz z uśmiechem:

— Wyrwałeś mi, kochany Jordasiu, palmę męczeńską z ręki; nie myśl atoli, żem ci mniéj przeto wdzięczen za ocalenie mojego życia. Zbyt małe, zbyt nikczemne są moje zasługi, aby mię Pan mój tak rychło i z tak wielką przyjął do siebie chwałą. Przyznam się, *confiteor*, że była chwila, w któréj pragnąłem śmierci, bo mię poganie zabić chcieli jako wyznawcę prawego Boga a burzyciela ich bałwanów, bom mógł Imię Zbawiciela głosić śród bałwochwalców i

krew moję przelać za wiarę. Ale ponieważ Bóg chciał inaczéj, niech się dzieje wola Jego święta. Nowéj On mię trzodki uczynił tu pasterzem. Obejmuję w święte Imię Jego tę pogańską osadę, abym uczynił z niéj lud prawowierny. Są to moje owce. A więc proszę cię, mój synu, jako dowódzcę téj wojskowéj komendy, aby im żadnéj nie czyniono krzywdy.

— Stanie się podług twéj chęci, mój ojcze! — odpowiedziałem. Jednego tylko wurszajta pozwolisz mi wyłączyć. On musi dać życie...

— A duszę jego chcesz mu wziąć takoż?

— Czarna ta dusza dawno już własnością jest czarta.

— Żadnéj duszy ludzkiéj nie wezmie czart prawem własności, odtąd jak Zbawiciel zwyciężył moc jego śmiercią swoją. Zapędzasz się Jordanie w gniewie, na tego zaślepionego nędzarza.

— Albož on nie chciał być twoim mordercą? mój ojcze!

— Więc dla tego właśnie zostaw teraz życie jego w moim ręku.

— Wykroczył głównie przeciw krajowemu prawu, uczyniwszy rapt podwójny, i do tego w zamiarze zabójstwa; winien być przeto oddany pod prawo. Ani ja go zabić, ani wy, mój ojcze, ocalić go, nie jesteśmy władni. On i spólnicy jego odesłani będą do Auleńskiego dworu, jak winowajcy. Reszta pogan, byle się zachowała spokojnie, pewną być może mojéj protekcyi.

Raz pierwszy w mém życiu odezwałem się do księdza Anzelma tak dobitnym tonem. Lecz tego wymagała powaga władzy, którą w tej chwili piastowałem, jako dowódzca wojskowéj komendy i zdobywca tej osady pogan. Zrozumiał to mój dawny nauczyciel, i milczącém skinieniem głowy przyznał mi wolne władzy méj użycie.

W czasie téj rozmowy, Ilgoński, jakby w zachwyceniu, ciągle na Roazę wzrok trzymał wlepiony. Ona to spostrzegła, i kiedy ksiądz Anzelm zamilkł, zapytała mię po cichu: — Powiedz mi, mój miły, kto jest ten stary pan, który się we mnie z tak dziwnym wyrazem wpatruje?— Jest to mój przyjaciel, jakby drugi ojciec — odpowiedziałem. Poznasz go, najmilsza, i będziesz kochała.

— Musiałeś mówić z nim o mnie?— rzekła znowu. Odpowiedziałem skinieniem głowy. Roaza spłoniwszy się, spuściła oczy; ja zaś przedstawiłem księdzu pana Ilgońskiego. Starcy przypomnieli sobie, że się kiedyś widywali w Wilnie, ale nie byli przyszli do blizkiéj między sobą znajomości. Wtém wszedł sierżant z raportem. Trzeba mi było oderwać się od Roazy; nie chciałem jednak, aby zostawała dłużéj w chacie swojego wroga; rzekłem tedy: — Trzeba nam opuścić tę obrzydłą chałupę, którą przeznaczam na odwach. Obierzemy sobie inną na główną kwaterę, do któréj was, ojcze Anzelmie i panie ciwunie, zapraszam. A ty, Roazo....

— Mnie pozwól pójść do ojca mego. Matki nie znalazłam już w życiu — odrzekła Roaza, ocierając oczy. Wurszajtas uwięził, jak słyszałam, rodzica mego, bojąc się, aby mu nie przeszkodził zamordować księdza Anzelma.

Ilgoński okazał mocne wzruszenie na te jéj słowa; ja zaś, ukazując na niego, rzekłem do dziewicy: — Rozaljo! poruczam twéj troskliwości tego zacnego gościa. Prowadź go z sobą i staraj się ulokować jak można wygodniéj. On cię bliżéj obchodzi, niż mniemasz, i zasługuje na wszelką cześć z naszéj strony. Ojca Anzelma polecać ci nie mam potrzeby. Idźże z niemi do twojéj niegdyś chaty. Ja wkrótce nadejdę, bo w téj chwili oddać się muszę całkiem obowiązkom komendanta.

Ledwiem to wyrzekł, usłyszeliśmy wielki przed domem hałas. Spieszę tam, i spostrzegam kupę chłopstwa, słyszę głos moich dwóch usarzy: — Precz! w tył, do wszystkich katów, pogańskie plemie! Panie sierżancie! więzień uciekł! łapaj go! łapaj! A tu coraz więcéj lud się kupi przed chałupą — wyjść niepodobna. Wydobywszy zza pasa pistolet, wystrzeliłem ponad głowami tłuszczy. Pierzchła z przestrachu i otworzyła nam drogę. Wpadamy — a tymczasem zbiegają się moi ludzie; sypią się rzęsiste płazy po grzbietach Łotwy; krzyk, pisk, wrzask podnosi się do najwyższego stopnia; rozbiegają się nareszcie, i kryją się w różne kąty, ale wurszajta niéma. Pytam w największym gnie-

wie usarzy: czemu go upuścili? Powiadają mi, że zaledwie się ta kupa zebrała, on nagle, nie wiedzieć jakim sposobem, zerwał swe więzy, i wydarłszy się im z rąk nadludzką siłą, wyskoczył za drzwi, wpadł między swoich i zniknął. Ściślejsze badanie odkryło, iż jedna z dziewek weszła do sieni z konwią piwa. Żołnierze spragnieni wyrwali od niéj naczynie, i nuż się spierać między sobą, kto piérwszy łyknie? a tymczasem chytra Łotewka zbliżyła się do więźnia, i, mając zapewna przy sobie noż ukryty, przecięła powroz krępujący jego ręce i ułatwiła mu przez to ucieczkę. Kazałem szukać, ale napróżno. Czy się schował w jakim lochu, czy niepostrzeżenie wpadł do lasu, nikt powiedzieć nie umiał. Dwóch jego spólników cyganów znikło także w ogólném tém zamięszaniu.

Ta niepomyślna przygoda zafrasowała mię niepomału. Zbrodzień, którego spodziewałem się widzieć na szubienicy za tak okropne i zuchwałe prześladowanie Roazy i księdza Anzelma, uszedł przed mą zemstą. Bolało mię to tém bardziéj, żem się sam poczuwał w tym razie do wielkiéj niedbałości. Radość z oglądania, z oswobodzenia kochanki, odjęła mi była pamięć wszystkiego. Spiesząc do niéj, wydałem naprędce niedostateczne względem strzeżenia więźnia mojego rozkazy, nie zamknąłem go zaraz w bezpieczném miéjscu, zdałem go na ręce dwóch gapiów, i skutkiem téj nierozwagi była jego ucieczka. Ale kto zważy mój wiek i niedoświadczenie, a szczególnie uczucia, któremi w téj

chwili wzruszone było me serce, ten zbyt surowo przewinienia mego, mniemam, osądzić nie zechce.

Ksiądz Anzelm, świadek téj sceny i mojego nieukontentowania, nic mi nie powiedział; ale uśmiech, co lekko igrał mu na ustach, dowodził, iż starzec rad był z tego zdarzenia. Brzydził się on bowiem przelewem krwi nawet zbrodniarza i nieprzyjaciela, a wiedział, że takiego jak wurszajt winowajcę, kara śmierci by nie minęła; wolał tedy, że on uszedł bezkarnie, tém bardziéj, iż czytał jasno w méj duszy, jaką czułem ku człowiekowi temu nienawiść, z jaką radością widziałbym na nim spełnioną mą zemstę. Pojąłem należycie wysokość tych uczuć w sercu świątobliwego kapłana, podziwiałem je, ale podzielać nie byłem w stanie. Rozkochany młodzian odpuści własną by najcięższą urazę, ale przebaczyć nie zdoła krzywdy wyrządzonéj przedmiotowi jego miłości. Pan Ilgoński z innego powodu obojętnym był na ucieczkę złoczyńcy. Oczy jego i serce poznały w Roazie dziécię, po którém lat tyle przepłakał! Podobieństwo jéj do matki nie zostawiło w nim żadnéj wątpliwości. Kilkakrotnie otwierał ramiona, żeby się rzucić jéj na szyję; bezustannie szeptał mi do ucha: — To ona! — czuł atoli potrzebę wstrzymania się z wyjawieniem téj tajemnicy do swobodniejszéj chwili. Jego tedy nic już nie obchodziło na świecie. Wszystkie myśli i czucia zbiegały się w nim do jednego punktu. Roaza okazała znów w tém zdarzeniu całą swéj duszy szlachetność. W kilku czułych sło-

wach prosiła mię, abym się nie frasował zbytnie. — Zważ — dodała — kochany Jordanie, ile mamy pobudek dziękowania Bogu za szczęscie, którego doznajemy w tej chwili. Nie dośćże dla ciebie pociechy i wesela, żeś ojca Anzelma i mnie oswobodził z rąk niezbożnych, abyś jeszcze czegoś więcej żądał? Ja przebaczam z całego serca mojemu prześladowcy; i ty, według słów Boskich, nie pragnij śmierci ślepego grzesznika, ale, żeby się oświecił i poprawił. Na słodkie te słowa zamilkła we mnie chęć zemsty, i oddałem się urokowi szczęścia, które się do mnie uśmiechało. Roaza powiodła gości do swego dawnego mieszkania, a jam się zajął urządzeniem chaty wurszajta na odwach.

Jak wszystkie inne, chałupa ta niezgrabnie z krągłych kloców była zbudowana. Izba w niej dwa miała okienka, czyli kwadratowe bez szyb otwory, zasuwane wewnątrz deszczką. Pułap z żerdzi okopcony dymem. Podłoga z ubitej surowej gliny. Po lewej stronie od wejścia piec gliniany bez komina. Pod oknami ławy z grubych dylów. Stół niezgrabny i łoże, a raczéj barłog, pokryty zgrzebniną. W dwóch kątach police, na których stały dwa posążki, jeden z miedzi w kształcie węża zwinionego w pierścienie, stojącego na ogonie, a głowę mającego ludzką, drugi niezgrabnie z drzewa wyciosany bałwan pękaty z rożkami na głowie; pierwszy miał wyobrażać bożka wód zwanego *Antrymp*, drugi Bachusa łotewskiego, którego oni na-

zywają *Babilos*, *Bubbulis*, *Bublos* i *Trympus* (*). Widać, że do tego bożka wurszajtas Wannags szczególne miał nabożeństwo. Po ścianach wisiały na kołkach rozmaite narzędzia i różne ozdoby głowy, rąk i piersi, w kształcie wężów, pierścieni, obręczyków, łańcużków i sprzążek, z mosiędzu lub miedzi dość misternie wyrabiane. Różna przytém starożytna broń łotewska, jako to: siekiery i groty kamienne, maczugi, dzidy, noże i łuki z długiemi strzałami. Były też i znaki dostojeństwa kapłańskiego: laska u wierzchu zagięta, płachta biała, którą się przy ofiarach przepasują, i wieniec z gałązek i liści dębu. Stały jeszcze na półce naczynia ofiarne, czary gliniane i drewniane, tudzież kilka kubeczków ze szkła zielonego do zbierania, jak mi powiadano, łez wylewanych nad umarłemi.

Kazałem oczyścić niezwłócznie izbę z tego pogańskiego plugastwa i zamieniłem ją w odwach. Zebrawszy potém ludność osady do 50-ciu dusz płci obojéj wynoszącą, przemówiłem do tych prostaków krótkiemi i dobitnemi wyrazami, wyrzucając im na oczy zbrodnię, jakiej chcieli się dopuścić na osobie księdza Anzelma; oni zaś składali całą winę na wurszajta. —

(*) Trzy pierwsze nazwy mają podobieństwo z łacińskim wyrazem *bibulus* (pijak), a ostatni z niemieckim *trinker*. Litwini zwali bożka tego *Ragutis*, od wyrazu *ragutas*, znaczącego proste sanie, jak wnosi P. Narbutt; a to ztąd, że posąg jego wożono ode wsi do wsi na saniach w czasie jego święta przypadającego w lutym.

A czemużeście go teraz nie chcieli imać, kiedy uciekał?— pytałem.

— Bo nam nie wolno tknąć się osoby poświęconéj służbie bogów. Prócz tego Wannags jest wróżbitem, umie ludzi tumanić, że mu nic nikt nie zrobi.

— Niech-no ja go tylko złapię — powiedziałem — takiego mu zadam tumanu, że się nie obejrzy, jak będzie wisiał na haku. I z was każdego to spotka, jeżeli nie będziecie spokojni i posłuszni. Ale wam przyrzekam przebaczenie wszystkiego, co się stało, i opiekę nadal, byleście już nic przeciwko nam nie zamyślali.

— Bądźcie w téj mierze spokojni — odrzekł jeden starzec — poddajemy się wam bez oporu, bo jasno widzimy, że Bóg chrześcijański zwyciężył naszych bogów. Kiedy Perkunas milczy, mając pioruny w swém ręku, cóżbyśmy słabi ludzie mogli przeciw wam dokazać? Bogowie powinni bronić ludzi, nie zaś ludzie bogów. Naszych panowanie skończyło się, widać: bo i nasz *Baublis*, dąb święty, który zawsze niemylne wydawał wyroki, skłamał tą razą, jak człowiek.

— Jakże się to stało? — pytałem.

— Dnia wczorajszego rano — mówił tenże starzec — kiedyśmy się dowiedzieli, że wurszajtas przywiódł księdza i zbiegłą córkę Uzulina, przejął nas wielki strach; i zebrawszy się, naradzaliśmy się, cobyśmy czynić mieli, ażeby ujść gniewu i zemsty Auleńskiego pana; i wyrzucał Uzulin Wannagowi, że taką rzecz uczynił,

która może ściągnąć ostatnie nieszczęście na nas wszystkich. Wtedy wurszajt powiedział nam, że to uczynił z rozkazu bogów; i aby o tém przekonać, powiódł nas dziś rano do świętego dębu, i sprawił *wiktums* (*). Zaledwie się podniósł w górę płomień ofiarny, usłyszeliśmy głos wychodzący z wnętrza dębu, który mówił: — Nie bójcie się, a słuchajcie wurszajta, który wié, co się podoba bogóm, i zasłoni was od zemsty niewiernych. Upadliśmy wszyscy na twarze, i nie śmieliśmy już potém sprzeciwiać się Wannagowi. Ale teraz widzimy, że nasz Baublis błędnie wyrokował, na naszę i na własną swą zgubę.

Przekonam was, moje dzieci, — rzekłem do tych prostaków, — że ten cud mniemany był oszukaństwem. Dąb ten jest zapewne duplasty, a bezbożnik Wannags musiał wsadzić weń kogo ze swoich, nauczywszy, co ma powiedziéć. Idźcież teraz do domów i żyjcie w pokoju, a nic się wam złego nie stanie. Żołnierze was krzywdzić nie będą, lecz wy dajcie najlepszą, jaką możecie, strawę.

Potém najsurowiéj przykazałem ludzióm moim, żeby się nie dopuszczali względem mieszkańców żadnego gwałtu lub obelgi, lecz obok tego zaleciłem przez ostróżność, wszelką broń, jaka się po chatach znalazła, zabrać i odnieść na odwach. Po ukończeniu tych rozporządzeń, udałem się do chaty Uzulina, ojca Roazy.

(*) *Wiktums*, po litewsku *wejktime*, ofiara, wyraźnie z łacińskiego wyrazu *victima*.

Znalazłem księdza Anzelma i pana Ilgońskiego w rozmowie siedzących przed chatą na pryzbie. Roaza była z ojcem wewnątrz domu. Poznałem z twarzy missjonarza, że się już dowiedział o naszéj tajemnicy. Długo się namyślał, i pokilkakroć wpatrywał się to we mnie, to w Ilgońskiego, z uwagą, jakby chciał nam czytać z oczu, jakby o szczérości naszéj powątpiewał. Nakoniec rzekł: — Być może, i kombinując wszystkie okoliczności, przyznać muszę, że domysły wasze nie są bez pewnego fundamentu; ale trzeba dociekać prawdy rozważnie i bez zapału; trzeba z ostróżnością wybadać starego Łotysza, i skłonić go łagodną perswazyą do wyznania. O, gdyby się dał oświecić w wierze świętéj! wtedy jużby rzecz poszła najsnadniéj; ale dopóki trwać będzie w błędach bałwochwalstwa, nieufność pobudzi go do skrytości i fałszu. W oczach tych prostaków każdy z nas jest barbarzyńcem, okrutnikiem i niewiernym. I możnaż się temu dziwić, wiedząc, jakich krzywd i ucisków lud łotewski doznał w ciągu wieków od chrześcijan? jakich się gwałtów dopuszczali nad ujarzmionémi poganami dawniéj Rycerze Mieczowi, a w późniejszych czasach i niektórzy z braci Polaków, nabywszy dobra w Inflantach? — Na te słowa westchnął ciężko pan Ilgoński, snać przypomniawszy sobie okrutne swe rządy niegdyś w téj stronie.

Weszliśmy do ciemnéj, brudnej izby, i znaleźliśmy Roazę ze starcem, któremu opowiadała swoje przygo-

dy. W niéj widać było córkę, ale w nim niktby nie poznał ojca. Zmiana, jaką widział w całéj jéj postaci, przejmowała go pewnem ku niéj uszanowaniem; zdawał się być chłopem rozmawiającym z jaką panią; nie śmiał ją nazywać córką, ale mimowolnie wyrywało mu się słowo *jumprawa* (panna). Daremne były usiłowania Roazy, aby go przywieść do dawnéj z nią poufałości.— Nie mogę— mówił— być z tobą po dawnemu. Byłaś moją córką, lecz już nią nie jesteś: bom ja chłop, a ty pani, bo twój Bóg nie jest moim Bogiem.—

Uzulin był sędziwy starzec, pospolitego ale przyjemnego oblicza. Prostota jego miała w sobie coś ujmującego; poczciwość malowała się w jego fizjognomji. Nie postrzegłem w nim żadnego znaku radości z oglądania córki; nie taił owszem swego strapienia, że z przyczyny niegodziwego wurszajta odkryte zostało ich schronienie, i że ostatni dzień panowania w téj stronie łotewskich bogów zaświecił. O jedną rzecz błagał najgoręcéj, aby nie ścinano świętego dębu, który przetrwał wieki we czci u jego narodu. Mniéj go martwiła utrata swobody, jak ta myśl, że dąb ukochany padnie pod chrześcijańską siekierą. Uspokoiliśmy w téj mierze biédnego starca, a ks. Anzelm powiedział mu: —Dąb ten stać będzie, dopóki ty sam, mój kochany, z dobréj woli nie zgodzisz się poświęcić go prawdziwemu Bogu, którego poznasz i z całéj twéj duszy miłować będziesz. Na to mu starzec powiedział te słowa:

—*Baznickungs!* (*) kiedy ciebie nasz wurszajtas chciał zabić, jako nieprzyjaciela bogów, byłem temu przeciwny, i naraziłem się na srogi gniew jego. Nie zmuszajże ty mnie do odrzeczenia się mojej wiary, która mnie równie jest droga, jak tobie twoja.

—Niech mię Bóg broni— odpowiedział ksiądz Anzelm— ażebym gwałtem zmuszał ciebie do poznania prawdy. Tego ja nie uczynię i Bóg mój tego zakazuje. Przeciwnie, chcę się postawić za równego tobie. Pozwalam więc i proszę nawet, ażebyś najswobodniej mówił mi o swoich bogach, bylebyś potém nawzajem cierpliwie słuchał tego, co ja ci powiém o moim Bogu.

Łotysz, ledwie uszóm swoim wierząc, patrzył na księdza w zadziwieniu, i rzekł potém: —Chyba więc ty nie jesteś Niemcem, mój ojcze, gdy chcesz ze mną rozmawiać jak z równym sobie?

—Jestem człowiekiem, mój kochany, i ty nim jesteś; jesteśmy synami jednego ojca, który mieszka w niebie, a przeto jesteśmy bracią.

Śród tak rozpoczętéj między missjonarzem i Łotyszem rozmowy, któréj się P. Ilgoński przysłuchiwał z wielkiém zajęciem, wyszliśmy z Roazą przed chatę, gdzie usiadłszy na pryzbie, prosiłem, aby mi opowiedziała przygodę swego porwania.

—Muszę— odpowiedziała z niezwykłą niespokojnością— zrobić tobie wprzódy jedno pytanie, które

---

(*) *Baznickungs*, kościelny pan, tak Łotysze nazywają księży.

już miałam po razy kilka na ustach.... Czy jesteś narzeczonym panny Jodkówny, lub nie?

—Mogę cię upewnić, że nie, chociaż prawda, miałem w tém sobie przez ks. Anzelma objawioną wolę moich rodziców.

—A więc będziesz, jeśli jeszcze nie jesteś?—ciągnęła dalej Roaza drżącym głosem, wpatrując się we mnie z trwogą.

— Nie jestem i nie będę — odpowiedziałem spokojnie.

—Wbrew woli twoich rodziców?—pytała znowu okazując zdziwienie, że mię widziała tak spokojnym.

— Obejdzie się bez nieposłuszeństwa; ale w tej chwili jeszcze nie mógłbym ci tego należycie wytłómaczyć. Bądź tylko pewną, że ten projekt szczęśliwie upadł, i już nie powstanie.

Roaza dalej już nie badała, ale, popatrzywszy mi w twarz uważnie, wolniej odetchnęła i tak poczęła mówić:

—Pisałam do ciebie o domysłach, jakie obudził we mnie ks. Anzelm. Przeczuwałam, że chcą cię ożenić, alem nie myślała, żeby ten zamiar tak prędko uskutecznić mogli; ufałam przytém nieograniczenie twojemu sercu, i byłam, jak mi się zdawało, bez trwogi; ale za powrótem ks. Anzelma z Fejman, ujrzałam niebezpieczeństwo bliższém, groźniejszém, aniżelim przewidywała. Jéjmość zwierzyła się wszystkiego Petronelli, a ta swoim zwyczajem przedemną się

wygadała. Nie potrafiłabym ci opisać, co się ze mną wtedy działo; ale tak nagła, tak gwałtowna zmiana zaszła w mém sercu, żem sama siebie nie poznawała. Cicha po tobie tęsknica zmieniła się we mnie w okrutny niepokój, łagodne uczucia w niecierpliwe, ufność w podejrzenie. Raz pierwszy uczułam w sobie coś straszliwie szarpiącego serce, jakąś w niém gorycz nieznaną, jakąś złość i nienawiść do osoby, któréj nigdy nie widziałam, która mię niczém nie obraziła. Panna Jodkówna stała mi ciągle w myśli, straszniejsza, obrzydliwsza od samego wurszajta! Czułam, że gdybym się z nią spotkała, byłabym w stanie wydrzeć jéj oczy. Stroniłam od księdza Anzelma, uważając w nim głównego sprawcę mego nieszczęścia. W modlitwach moich wznosiłam ku niebu skargi na nieszczęsne me przeznaczenie. Dziatki nawet poruczone méj pieczy zaniedbywać zaczęłam, przesiadując godzinami samotna w pasiece pod ulubionym dębem, lub pływając w czółenku po jeziorze. Słowem, wszystko się tak we mnie zmieniło, że już ludzie na mnie wielkiemi oczyma poglądać zaczynali; jejmość łagodnie upominała, jegomość często się marszczył i laską w ziemię postukiwał, ks. Anzelm długie lubo bezskuteczne czynił mi reflexje, a Petronella śmiała się złośliwie, powtarzając ustawnie: — A co? alboż nie mówiłam, że z téj dziewczyny nic dobrego nie będzie? Udawała jagnię, ale oto już wychodzi z niéj na jaw koziełek.— Poznałam wtenczas, jak łatwo być dobrą kobiecie ko-

chającej, i pewnéj że jest kochaną. W tym błogim stanie duszy swej, miłuje ona Boga z zapałem, miłuje bliźnich z czułością; ochoczoby własne swoje uszczęśliwienie rozlała na wszystko, co ją otacza; żaden dobry uczynek nie jest dla niéj wtedy trudnym, żadne poświęcenie się nie jest niepodobném. Takąm ja była, dopókim się mniemała od ciebie kochaną całém sercem i na wieki; dopóki wierzyłam, że, lubo nie będę twoją małżonką, nie ujrzę cię przecięż nigdy mężem drugiéj kobiety. Ale skoro tylko ta wiara zachwiała się we mnie, ścisnęło się wnet serce i stało się już mniéj przystępne dobrym natchnieniom, a głowa rozmaite marzyć zaczęła dziwactwa. Jak piérwéj wszyscy byli mnie miłémi, tak nieznośnémi potém wyglądali w mych oczach.

—Dzień zawczorajszy był pogodny i cichy. Jegomość wyszedł rano na polowanie, a jejmość usnęła po obiedzie, pozwoliwszy mi nawiedzić moję chrzestną matkę. Wyprosiłam tedy u Łukasza czółenko i puściłam się Siewierzem do pani Platerowéj. Staruszka przyjęła mnie jak zwykle, z dobrocią; lecz w rozmowie mimo chęci zraniła mi serce, napomknąwszy o twym związku z panną Jodkówną (o którym się właśnie co była dowiedziała) i chwaląc bardzo twój wybór. Słuchałam jéj w milczeniu, ale na twarzy mojéj malowały się zapewne bolesne uczucia méj duszy. Przekonywałam się coraz mocniéj, iż wszyscy byli niejako przeciwko mnie, że nie miałam nawet zwierzyć się ko-

mu z mojego frasunku, że mi trzeba było zagrzebać w głębi mego serca najczystszą miłość, jakby jaką zbrodnię przed światem. Pani Platerowa postrzegłszy dziwną we mnie zmianę, pytała o przyczynę mego cierpienia. Odpowiedziałam, żem nie zdrowa, i pożegnałam ją po krótkiej chwili. Kiedym się znowu ujrzała samotną w mojém czółenku, na wzdętém od silnego wiatru jeziorze, zapłakałam gorzko nad losem, i mówiłam do siebie z niewymówną boleścią serca:— Ach! czemużeśmy z nim raczéj nie zginęli w tych toniach w owéj chwili, kiedyśmy społem walczyli przeciwko burzy! Uratowałam go..... ale uratowałam dla innéj! I krew we mnie zawrzała, i wiosło w mym ręku próło gwałtownie nurty i wyrzucało do góry tysiące kropel, które spadając na mnie, rozlewały chłód na me członki, lecz nie mogły ostudzić żaru palącego me wnętrzności. Wkrótce znużona takiém wysileniem, opuściłam wiosło i pogrążyłam się w smutnych dumaniach. Łódka tymczasem, popychana falą, zmieniła kierunek, i uniosła mię w stronę aż ku téj zatoce pod lasem, kędy jest chata gajowego. Głośne wołanie wyrwało mię z otrętwienia. Poznałam głos ojca Anzelma i ujrzałam go idącego brzegiem jeziora. Wtenczas opamiętawszy się, wzięłam się do wiosła i skierowałam ku niemu. Proszę go, żeby wsiadł do czółna; lecz on mówi, że chciałby ze mną zajść do Agnieszki; dowiedział się bowiem po drodze, iż bardzo zasłabła, a męża jéj nie było w domu, bo go pan cześnik wziął z so-

bą na polowanie w odległe gdzieś knieje, zkąd dziś zapewne nie wrócą. Usłuchałam, i poszliśmy do chaty gajowego. W saméj rzeczy, znaleźliśmy biédną kobiétę wcale słabą, i nikogo przy niéj, bo małą swoję wnuczkę właśnie wysłała była do dworu, prosić u Petronelli o ziółka na lekarstwo. Chcieliśmy doczekać powrótu téj dzieweczki, aby chora nie została zupełnie samotną; ale że słońce miało się już ku zachodowi, i nie można było dłużéj bawić, wyszliśmy więc w nadziei, że Urszulka nadbieży, i mieliśmy przysłać jéj do pomocy dziéwkę ze dworu. Ledwieśmy zeszli z podwórka i zapuścili się ścieżką w las, który otacza chatę gajowego, gdy z gąszczu wypadło cztérech ludzi, między któremi poznałam mojego prześladówcę wurszajta. Widok téj poczwary tak mię przeraził, żem nie znalazła w sobie siły do wydania krzyku. Rozbójnicy porwali nas w okamgnieniu, i wlokąc z sobą, szybko zbiegli w parów; tam się zatrzymawszy, naradzali się z sobą pocichu; poczém zawiązali nam oczy, i grożąc śmiercią, jeślibyśmy najmniejszy krzyk wydali, powiedli nas daléj. Wannags z jednym z towarzyszów, ująwszy mię pod pachy, unosili prawie nad ziemią, inaczéjbym też zdążyć ich krokóm nie mogła. Co się z księdzem stało, nie wiedziałam. Po godzinie lub więcéj takiéj podróży, znowu się zatrzymali. Widać, że ich tam oczekiwali nowi towarzysze z końmi. Potém wurszajt otulił mię grubą płachtą, wcisnął na głowę czapkę, podniósł i posadził na konia. Jeszcze

jednego konia słyszałam za sobą stąpanie; tęn zapewne niósł księdza. Hultaje szli piechotą, bom z pod chustki na oczach widziała ich nogi, dopóki ciemność nas nie ogarnęła. Wyszedłszy z pierwszego odurzenia. cała okropność mego losu stanęła mi przed oczyma. Widziałam się zgubioną bez ratunku. Nie mogłam już liczyć na niczyją, nawet na ojca mego pomoc, wyrzekłszy się dobrowolnie pogańskiej wiary. Żaden już poganin nie śmiałby, myślałam, wziąć mojej strony, przeciw prześladówcy memu. Ten zaś czegoż nie był zdolny w zapędzie swych zwierzęcych chuci! Dawniejszy mój zamysł zostać Wajdelotką nie był dziś do wykonania. Żadnego więc środka do uniknienia hańby! Śmierci się nie lękałam — śmierć byłaby dla mnie szczęściem: ale tejby mi niegodziwiec nie zadał, aż chyba nasyciwszy wprzód swą zemstę najokropniejszemi obelgami, jakem to ze słów jego łatwo przewidywać mogła. Rozpacz mię ogarnęła, nie mogłam się modlić, zwątpiłam w Bogu, zły duch natchnął mię myślą występną. — Sromoty méj nie przeżyję — mówiłam sobie — lepiej więc uprzedzić ją śmiercią, aniżeli wprzódy zostać pastwą téj potwory. Przypomniałam, żem przypadkiem miała przy sobie dużą stalową iglicę, postanowiłam wbić ją sobie w serce. Zapomniałam o zbawieniu; bojaźń sromoty, jaką mi gotował bezbożnik, opanowała wszystkie władze méj duszy; nie mogłam wznieść myśli do Boga. Jużem sięgała po iglicę, kiedy ks. Anzelm, który widać odmawiał swoje

pacierze, wyrzekł głośniej te słowa: „*Spera in Deo.*” Słowa te wpadły mi do serca jak balsam gojący, i oświeciły razem zaćmiony mój rozum. Spytasz: jakem je zrozumiała, nie umiejąc łacińskiego języka? Sama tego dobrze nie wiém, ale rzecz niezawodna, żem pojęła, iż mi kazały pokładać nadzieję w Bogu. Myśl samobójstwa odbiegła odemnie bez powrotu, a smutek, który mię ogarnął, więcéj był rozczuleniem jak boleścią. Teraz mogłam płakać, mogłam się już modlić.

Przybyliśmy nakoniec do granic tajemniczego ostępu. Tu iść trzeba było pieszo i przy świetle ognia. Wannags zdjął mi z oczu chustkę, abym mogła przebywać trzęsawiska po ślizkich kładeczkach i patykach. W innéj chwili zajmowałby mię widok odwiecznéj puszczy oświeconéj światłem smolnego łuczywa. Drżąca pod naszemi stopami ziemia, czarne sklepienia drzew rozłożystych, czerwone, jaskrawe światło, wędrujące wężykiem śród grubych cieni, okropne postacie rabusiów, wszystko to przywodziło mi na pamięć obrazy owych krain podziemnych bajecznego Poklusa, któremi straszono mię, kiedym była dzieckiem. Czasami ułuda tak była silną, że się mniemałam w mocy duchów piekielnych, i zmysły mię odchodziły z przestrachu. Przebywszy nakoniec *Gniły ruczaj*, ujrzałam się na téj ścieżce, po któréj, rok temu trzeci, uciekałam przed wurszajtem; i tenże Bóg, który mię wówczas z rąk jego oswobodził, czuwał opatrznem okiem i teraz nademną.

— Zbliżając się ku wioseczce, zgasili rabusie światło. Wannags wiódł nas cichutko do swéj chaty, i tam w osobnéj mnie ulokował komorze, przywiązawszy za ręce i nogi do ławy. Odchodząc, powiedział te słowa: — Nie wyjdziesz ztąd, aż się chyba zgodzisz oczyścić z twéj niewierności bogom, wrócić do wiary ojców, i zostać moją żoną.

— Przepędziłam resztę téj straszliwéj nocy we łzach i modłach; szczęśliwie atoli, bo nienapastowana od mojego wroga. O świcie zasnęłam siedząca. Sen, choć krótko, pokrzepił osłabione me siły. Prześladówca mój nie mógł w ciągu dnia tego dręczyć mię swoją obecnością, będąc zbyt zatrudniony własném niebezpieczném położeniem i obawą buntu mieszkańców. Nikogom dnia tego nie widziała, prócz Gribula, któremu udało się w powszechném zamięszaniu przekraść się pod moje okienko. Poczciwy ten chłopak powiedział mi z ujmującą prostotą:—Płakałem kiedyś uciekła, i płaczę, widząc cię znowu. Nie sądzono mnie być twoim mężem, i o tém nie myślę wcale; ale nie mogę patrzeć na twoje nieszczęście. Zabiłbym Wannaga, gdyby on nie był wurszajtem.

— Możesz — odpowiedziałam mu — innego użyć sposobu do mego ratunku. Na ciebie nikt tu nie zważa, starajże się dostać do Auleńskiego dworu, a tam znajdziesz pomoc. Gribul, pomyśliwszy rzekł: — Niełatwo to zrobić, bo nie znam drogi; ale ponieważ chcesz

tego, sprobuję. Wolę już zginąć, jak widzieć ciebie w mocy tego człeka.

— Złamałam więc postanowienie moje niewydawania mych ziomków; ale mogłamże inaczéj postąpić, widząc śmierć grożącą księdzu Anzelmowi? Cudzego życia poświęcać nie wolno dla swoich własnych zasad, choćby te były najświętsze. Takie przynajmniéj mam wyobrażenie o powinnościach moich względem bliźniego. Wreszcie sam Wannags, zaślepiony zemstą i namiętnością, odkrył zuchwałym czynem drogę do tajemniczéj osady. Ojciec mój i wszyscy rozsądniejsi mieszkańcy zaraz mu to powiedzieli, i przygotowani byli do najgorszych skutków, ale on ich oszukał kuglarstwem, i byłby dokonał ostatecznéj zbrodni na księdzu Anzelmie, gdyby cię Bóg tu nie zesłał.

— Jak więc mówiłam, Wannags nie miał czasu pastwić się nademną, bo mu dużo wprzód do czynienia zostawało. Zamysł obałamucenia ludu przez mniemaną wyrocznię zajmował go całkowicie. Przed sprawieniem *wiktums* czyli wielkiéj ofiary, trzeba mu było oczyścić się postem i przebyć na osobności najmniéj jedną dobę. Wyraźnym więc cudem Opatrzności wyszłam z rąk téj poczwary bez obrazy. Jakże potrafię odwdzięczyć Bogu za to dorodziejstwo? jak odpokutować za występny zamysł samobójstwa?

— Była to — rzekłem — chwila obłąkania, którą wymawia straszliwe twoje wonczas położenie. Każda uczciwa niewiasta byłaby na twojém miejscu w toż sa-

mo wpadła pokuszenie, ale nie każdaby je, tak jak ty zwyciężyła i odżałowała. Znalazłaś łaskę u Boga, kiedy cię On tak cudownie wybawił, a dostatecznie odpokutowałaś za ten moment krewkości umysłu, cierpliwém wytrzymaniem niedoli, która cię tak okrutnie uciskała. Bądź zatém spokojną, mając zwłaszcza w ojcu Anzelmie światłego dyrektora twojego sumienia. Biedy się nasze, sądzę, skończyły — oddajmy się nadziei szczęśliwéj przyszłości. Powiedz mi, najmilsza, myśliszże ty szczerze, iż stary ten Uzulin jest twym ojcem?

— A mogłażbym myśleć inaczéj?

— Czujeszże ku niemu to przywiązanie, tę cześć które Bóg wlał w serca dzieci względem rodziców? ujrzałaśże go z tą roskoszą duszy, która się w nas objawia na widok drogiéj osoby po długim z nią rozdziale?

— Dziwne mi zadajesz pytania, kochany Jordanie! a jednak wyznać muszę, żeś zajrzał cokolwiek w głąb' mojego serca; i kiedy chcesz koniecznie całéj prawdy odemnie, powiém ci ze wstydem, że tego uniesienia, téj roskoszy wewnętrznéj, o któréj mówisz, nie doznałam w sobie na widok mojego ojca, że moje ku niemu przywiązanie więcéj jest skutkiem uczucia obowiązków córki, aniżeli pociągiem serca. Przypisałabym to nowym wyobrażeniom, nabytym od czasu mego z nim rozstania; ale wychowanie, które wam winnam, powinno było przeciwnie rozwinąć we mnie uczucia synowskiéj miłości. Myślałabym, że oddanie tobie mojego serca zmniejszyło w niém miłość ku ojcu; ale wiém,

że te dwie miłości wzajem sobie nie szkodzą. Nie poczuwam się także, abym się wstydziła urodzenia i prostactwa mego rodzica. Wnosić tedy muszę, że albo miłość synowska słabszą jest z natury swej od miłości rodzicielskiej, albo że ten brak czułości we mnie wadą jest szczególną mojego serca.

— W szlachetnem, jak twoje sercu, wadaby taka nie postała. Musi być więc inna temu przyczyna. Mnie się zdaje, że Uzulin nie jest twym prawdziwym ojcem.

— Co ty mówisz? A któżby nim być mógł?

— Ktoś godniejszy tego szczęścia.

Roaza wlepiła we mnie piękne swe, pełne wyrazu oczy, jakby do głębi duszy mej przeniknąć chciała, i rzekła mocno wzruszonym głosem:

— Chciałżebyś ty mnie łudzić? Jordanie! chciałżebyś w zamiarze podniesienia mię z mojego nizkiego stanu, przeistoczenia mię sztuką w szlachciankę, zabić do reszty we mnie miłość ku temu, który mi dał życie? odebrać biednemu starcowi najdroższą jego własność, serce jego rodzonego dziecka? Drżę na samą myśl tak niecnego zamysłu!

— Ja chcę przeciwnie, abyś całem sercem kochała tego, który ci dał życie! Moim zamiarem jest wrócić biednemu starcowi własność, wrócić mu rodzone, jedyne dziecię, które był utracił!

— Tej zagadki nie odgadnę.

— Wytłómaczę ci ją niezabawem, a na teraz, wróćmy do chaty, i ty bądź jeszcze córką Uzulina, a przy-

najmniej spełniaj obowiązki gospodyni domu. Wszyscyśmy głodni i znużeni, pomyśl więc o posiłku i wygodzie twych gości.

Znaleźliśmy ks. Anzelma i pana Ilgońskiego w żywej rozmowie z Uzulinem, lecz za wejściem Roazy stary Łotysz nagle zamilkł, spuszczając oczy w ziemię, właśnie jak się to zdarza winowajcom, gdy ujrzą nagle *corpus delicti.* Missjonarz rzekł do mnie po łacinie: — Człek ten nie uczynił jeszcze wyznania, ale okazał pomięszanie, dając nową wagę naszym domysłom. Małéj rzeczy trzeba, żeby mu wydrzeć prawdę. Z Łotyszem rzecz nie łatwa, gdy chodzi o przełamanie jego uporu. Ma on w tém cokolwiek podobieństwa do osła: kiedy go ciągniesz, popychasz, poganiasz, iść nie chce, a gdy na chwilę zostawisz spokojnym, namyśli się i pójdzie. Zostawmy go więc do jutra pod tém piérwszém wrażeniem, a ulegnie może za drugiém natarciem.

Tymczasem Roaza krzątała się w izbie, szukając po wszystkich kątach i schowach rzeczy potrzebnych do sporządzenia dla nas posiłku. W tym celu chcąc znaleźć białą płachtę do nakrycia stołu, przewrócić musiała napełniony ubogą bielizną i różnemi rupieciami kubeł. Dobywając zeń rzeczy, których potrzebowała, wpadł jéj w ręce na dnie krzyżyk metalowy zawieszony na tasiemce. Wydobyła więc z wielkiém zadziwieniem przedmiot tak niezwyczajny w domu bałwochwalcy. Na widok tego krzyżyka Uzulin wykrzyknął: — *Waj! waj! Diws Krystiejtu laužu!* Myśmy się zaś skwapliwie rzu-

cili do oglądania tej osobliwości. Lecz któż opisze moję radość, gdy Ilgoński, pochwyciwszy drżącą ręką ów krzyżyk, i pilnie się weń wpatrując, jakby go chciał pozrzeć oczyma, wykrzyknął: — Wielki Boże! toż to jest krzyżyk nieboszczki méj żony, który od urodzenia nosiła na piersiach! Przyskoczywszy potém do starego Łotysza, zapytał go piorunującym głosem: — Jakim sposobem rzecz ta dostała się tobie? — Uzulin, niżéj jeszcze opuściwszy głowę, nic nie odpowiadał. Wtenczas ks. Anzelm, przystąpiwszy do niego i kładąc mu na ramieniu rękę, rzekł łagodnym tonem: — Nie prawdaż, mój kochany, że ty zdjąłeś to wieszadełko z szyi dziecięcia, które ci było przyniesione?

—Jużciż prawda — mruknął Łotysz. Przed wami na nic się nie przyda zapierać, bo wy umiécie czarować. Ja przecie żonie mojéj kazałem zakopać ten znaczek głęboko do ziemi, i byłem pewny, że to uczyniła; aż oto on się znalazł w moim kuble. Wielka jest moc waszego Boga!

— A dziécię, na którém był ten znaczek, jest oto ta wasza mniemana córka? nie prawdaż? — pytał powtóre kapłan.

—Jużciż prawda—odmruknął znowu Łotysz. Kiedy wam wszystko wiadomo, to się i pytać nie potrzebujecie. Moja godzina już przyszła, róbcie więc ze mną, co chcecie. Nie mieliśmy dzieci. Cyganka przyniosła nam potajemnie śliczne niemowlę. Żonie mojéj zachciało się koniecznie wyhodować je dla siebie na córkę. Ja

się zrazu wahałem w obawie jakiej biedy, ale potém dałem się nakłonić, zwłaszcza, iż cyganka przysięgła, że nikt się o tém nie dowie. Żona moja udała zatém przed sąsiadami, że sama urodziła tę dzieweczkę. Wszyscy temu uwierzyli, i tak ją wyhodowaliśmy jak swoję.

Tu się zaczęła scena, któréj żadne pióro opisaćby nie zdołało. Stary Ilgoński, aczkolwiek przygotowany do szczęśliwego tego wypadku, omal jednak życiem nie przypłacił osiągnienia celu wszystkich swoich życzeń. Pieszczoty córki zwróciły sercu jego ruch zatamowany gwałtownością uczuć. W Roazie wszystkie władze duszy zwróciły się w téj uroczystej chwili całkowicie ku ojcu. Jam się widział od niéj zapomniany. — Zostawmy ich — rzekł do mnie ks. Anzelm — nie odbierajmy biednemu starcowi ani jednéj kropli z téj czary wesela, którą Niebo napawa spragnione jego serce. Odzyskał stracone dziecię, niechże wszystkie uczucia tego dziecka nań się teraz wylewają. Ty, mój synu, udaj się do twojéj komendy, i czuwaj pilnie, aby się żołdactwo niedopuszczało żadnego bezprawia. Tego wymaga nawet własne nasze bezpieczeństwo. Jesteśmy wprawdzie zdobywcami téj osady, ale pomnijmy, że mieszkańcy nienawidzą nas, mniemają, że gotujemy dla nich kajdany. Kto wie, do czego w takim razie rospacz przywieść może. Przeto ostróżność i wojskowa karność powinna być jak największa.

— Myślałem już o tém, mój ojcze, i chcę wysłać do Aulji umyślnego z wiadomością o naszém tu poło-

żeniu. Możeby nawet lepiéj było, żebyście wy z Rozalją i z panem Ilgońskim odjechali ztąd zaraz do domu moich rodziców. Sam towarzyszyć wam nie mogę, bo toby się sprzeciwiało rozkazowi mego naczelnika, ale odważę się dać wam eskortę dla bezpieczeństwa.

— Zapomniałeś, mój synu — odrzekł uśmiechając się ks. Anzelm — że jeśliś ty żołnierz Rzeczypospolitéj, jam żołnierz Chrystusów, i że tu jestem z rozkazu mojego Mistrza dla stoczenia walki z czartem przywłaszczającym sobie dusze tych nieszczęśliwych pogan. Zostańmyż oba każdy na swém stanowisku, a ty myśl o wyprawieniu Ilgońskiego z córką. Nie możesz jednak, mojém zdaniem, osłabiać szczupłego garnizonu. Lepiéj będzie zatém, gdy pan cześnik tu przybędzie ze swoją komendą, bo już on ma hufczyk nowego zaciągu Łotyszów pod bronią.

Uradziliśmy zatém wysłać gońca do Aulji. Rzecz nie była łatwa — z ludzi moich żaden nie wiedział drogi. Padł więc los na Stefanka, jako cokolwiek znającego położenie tych lasów; ale że już się zbliżał wieczór, odłożyć musiałem wyprawienie jego do następującego ranka.

Ks. Anzelm, przyzwawszy do siebie starego Uzulina, uspokoił go zapewnieniem, że nie tylko nie dozna prześladowania, lecz może oczekiwać nagrody za przytulenie i wyhodowanie Roazy. Zalecił mu oraz powiedzieć mieszkańcóm, aby się nie trwożyli o swoję swobodę.

Wieczerzaliśmy poźniej społem. Spartańska to była uczta co do gatunku jadła; ale po trudach i całodziennym poście, a szczególnie mając tyle radości w sercu, wszystko nam wybornie smakowało. Wypiliśmy nawet po kubeczku wina z flaszki, która z łaski pana La Montagne znalazła się w mych olstrach.

XIV.

Nazajutrz rano przyszedł do mnie Uzulin, i w imieniu całéj gromady prosił o pozwolenie pogrzebienia zabitego nad przeprawą Łotysza podług starodawnego ich zwyczaju. Chętnie na to przystałem, ciekawym będąc widzieć pogański ten obrzęd.

Kiedyśmy weszli do chaty zmarłego, ujrzeliśmy trupa przystrojonego w świąteczną odzież z watmalu (*) z rozmaitemi ozdobami. Wierzch głowy pokryty był czapeczką kształtem jarmółki, czyli misiórki złożonéj z mosiężnych na rzemyk nanizanych walcowatych sztuczek; na szyi podobnaż spięta obręcz większego rozmiaru, otoczona zewnątrz wieszadełkami czyli blasz-

(*) *Watmalem* zowią Łotysze rodzaj samodziału czyli tkaniny, któréj osnowa ze lnianych nitek, a wątek z wełny.

kami miedzianemi trójkątnej formy; na piersiach wisiały mosiężne łańcużki z większych i mniejszych kółek, jak w naszych kołczugach, a na rękach manele z tegoż kruszcu; obówie nakształt kapucyńskich trepek z rzemykami oplatającemi nogi niżej goleni. Tak ubrane ciało posadzono na zedlu, naprzeciw drzwi, oparłszy je plecami o ścianę, aby miało postać osoby żyjącéj; za pas zatkano mu siekierkę, szepcąc przytém niewyraźnie jakieś słowa, a które, jak mi później Roaza wytłumaczyła, znaczyć miały: „Idź, nieboże, na „tamten lepszy świat, gdzie panować będziesz nad „Niemcami, i dręczyć ich będziesz, jak oni nas tu„taj dręczą.”

Dopieroż zgromadzeni w izbie goście zasiedli ławy, mieszcząc się jak można, a zmarłego najbliższy krewny, sprawujący obowiązek gospodarza, częstował ich piwem. Krążyły tedy drewniane konwie z tym napojem, a każdy z pijących zadawał nieboszczykowi pytania. I tak, pytał go jeden, czy przeto świat ten opuścił, że mu brakowało chleba? Inny, czy przeto, że nie miał wozu? i t. d. Kiedy już wyczerpano wszystkie pytania i całe piwo z cebra, ostatnie hausty szły z pożegnaniem na dobranoc, i prośbami, aby nie zapomniał na tamtym świecie o swych krewnych, przyjaciołach i znajomych. W tej chwili żona, matka i siostry zmarłego, a wraz z niemi najęte płaczki podniosły lament i wrzask głuszący, śród którego każda zapytywała nieboszczyka o przyczynę śmierci, i wyli-

czała wszystko, co go do życia przywiązywać mogło: miłą żonę, piękne dzieci, żwawego konia, mleczną krówkę i t. d. aż do najdrobniejszych rupieci, które tu posiadał, a których z sobą zabrać nie może, powtarzając pytanie:—Czemużeś więc umarł?—Po skończonéj téj ceremonji, wyniesiono ciało, i złożywszy je na wózku, prowadzono do mogiły. Za wozem jechali na koniach i szli pieszo krewni i przyjaciele zmarłego, niosąc rozmaitą broń, którą ciskali w powietrze z wielkiemi krzyki, aby tym sposobem od ciała odstraszyć *pokolów* czyli złych duchów. Kobiety idące za wozem wydawały płaczliwe krzyki; ale przyprowadziwszy do granicy pola, wróciły do wioski. Za przybyciem na wzgórek obrosły drzewami, między któremi były groby, spuszczono ciało, bez trumny, do wykopanego w ziemi głębokiego dołu, a z niém naprzód dzidkę i kamienny pocisk, mające oznaczać, że nieboszczyk był wojownikiem; potém dwa bochenki chleba, ażeby miał się czém posilać i razem co rzucić w paszczę psu strzegącemu wrót raju (Cerber?), tudzież dwa szelągi dla przewoźnika (Charon?), nakoniec spuszczono do grobu konewkę z piwem i mały gliniany kubeczek ze łzami płaczek. Po wypełnieniu dołu ziemią, usypano nad nim mały wzgórek (kurhanek), na wierzchołku którego ułożono krąg z kamieni. W zimie kładą na mogile stos drewek i kożuch, ażeby dusza zmarłego miała się czém ogrzać. (1)

---

(1) Patrz przypisek na końcu Tomu.

Pogrzebowy ten obrzęd nowém i dziwném dla nas był widowiskiem, i nie jeden z moich ludzi z trudnością wstrzymał się od głośnego śmiechu, szczególnie w czasie odpędzania złych duchów od ciała prowadzonego do grobu. Nie zaszła jednak żadna nieprzyzwoitość, i mieszkańcy nie tak już złem na nas spoglądali okiem. Pan Ilgoński każdą rodzinę obdarzył pieniędzmi, dziekując za miłość, którą okazywali jego córce czasu jéj małoletności. Ojciec Anzelm trafił słodką swoją wymową do serca mężczyzn, a pieszcząc się z dziatkami, ujął sobie niewiasty. Roaza przywitała najuprzejmiéj dawne swoje przyjaciółki i znajome, które się dziwiły zmianie, jaką w niéj spostrzegały, a jeszcze bardziéj temu, że zostawszy *jumprawą*, nie stała się dumną i po dawnemu z niemi obcowała. Wierny Gribul nie był też zapomniany. Obdarzyliśmy go wszyscy tak hojnie, jak kto mógł; ale uważałem, że go najwięcéj uradowała srebrna spinka, którą mu podarowała Roaza. Spiął nią zaraz kołnierz swojéj zgrzebnéj koszuli, przyrzekając, że ją do śmierci zachowa i z nią pogrzebać się każe. — Żal mi — rzekł do niej — żeś została wielką panią, ale ja to wolę, jak żebyś miała być żoną Wannaga. Nie mogę być twoim mężem, ale będę twoim sługą, będę drwa rąbał do twego pieca, będę wodę dla ciebie nosił, izbę twą umiatał, a twój Bóg będzie moim Bogiem, bo i na tamtym świecie służyć tobie pragnę. To mówiąc otarł oczy; a Roaza z rozrzewnieniem zapewniła go, że z wdzięcznością

przyjmuje dobre jego chęci, i nie zapomni tego, co uczynił dla niéj.

Nazajutrz, jeden z mieszkańców wyprawiał ucztę weselną. Syn jego, trzema dniami przed naszém przybyciem, obyczajem pogańskim porwał był upatrzoną sobie na żonę jedną z dziewek osady. Wesele przerwane zostało wiadomym niespodzianym wypadkiem. Prostacy, ośmieleni teraz dobrém z naszéj strony obejściem się z niemi, postanowili uzupełnić przerwany obrzęd, mając już potrzebne do téj uroczystości przygotowania. Były to ich weselne gody, odbywające się zwykle we trzy dni po wprowadzeniu oblubienicy do domu małżonka. Na téj uczcie rodzice jéj mogą już być obecni. Poszliśmy tam z Roazą, i trafiliśmy szczęśliwie na koniec bankietu; ile bowiem uważać mogłem ze szczątków potraw, były to przysmaki dla łotewskiéj jedynie gęby. Nas poczęstowano kwaśném mlékiem, miodem i plackami z tatarczanéj mąki. Musieliśmy takoż skosztować piwa, owego to nektaru, którym, podług ich mytologji, napawają się bogowie. Ale niéma czego zazdrościć mieszkańcóm łotewskiego Olympu, jeżeli ich *Alus* (*) takiego jest smaku. Po uczcie, białogłowy otoczyły Roazę, głaszcząc ją i zadając jéj pytań bez końca. Utrudzona temi pieszczotami, przyzwała do siebie dwie młode dziewki, zwane Egle i Styrna (**),

(*) U naszych Łotyszów *Alas.*

(**) *Egle* po łotewsku jodła, a *Styrna* sarna.

prosząc, aby dla nas zaśpiewały swoję dawną narodową piosnkę. Po niejakiém ociąganiu się (snać mnie się sromały), zanóciły miłemi dość głosy, ale jakąś dziwną piskliwą nótą, pieśń mającą wyrażać rozmowę dwojga kochanków, którą tu umieszczam przetłumaczoną dość wiernie wierszem polskim:

PIERWSZY GŁOS.

Jurgo! Jurgo! czy już pora?
Czym się czasem nie spóźniła?

DRUGI GŁOS.

Nie chodź teraz moja miła!
Czemużeś nie przyszła wczora?
Ja samiutki byłem wczora,
Dziś nas pięciu jak na licho!
Przychodź jutro ranną chwilką,
Znów sam będę; przychodź cicho;
Strzeż się, moje dziecko, tylko
Na rosie zostawić ślady,
Suwaj więc wielkiemi skoki;
Lub też przychodź pod tę porę,
Kiedy wąż i mniejsze gady
Już na słońcu grzeją boki.

PIERWSZY GŁOS.

Ahi! jakże się wybiorę?
Wtedy liczną trzodę naszę
Pędzić mi trzeba na paszę. (*)

(*) Hrabia de Bray w dziele swojém (Essai critique sur l'histoire de Livonie) umieścił tę piosenkę wyjętą z kroniki Kelcha w ję-

Po téj piosence, rozdzieliwszy kilka tynfów między śpiewaczki i gospodarstwo, opuściliśmy chatę nowożeńców, nie czekając, ażby nas z resztą kompanji wyprosili dymem za drzwi. Jest to bowiem u Łotyszów zwyczajem, iż w podobnych zdarzeniach gospodarz, chcąc się nareszcie pozbyć utraktowanych dostatecznie gości, rozkłada ogień w piecu, i wnet walącym się zeń kłębami do izby dymem wygania ich niby politycznie z domu.

Dzień się schylał ku wieczorowi, a nie widać było nikogo z Aulji. Czyniło mię to niespokojnym z uwagi na niewielką odległość miejsca. Ksiądz Anzelm, zajęty myślą o nowych katechumenach, a pan Ilgoński odzyskanym swym skarbem, nie podzielali méj niecierpliwości. Tymczasem Roaza z miłą skwapliwością zastawiła nam na murawie przed chatą skromną wieczerzę z mleka, jaj świeżych i placków, które jéj się dobrze udały. Widok téj lubéj gosposi zmienił kierunek méj myśli: pogrążyłem się z roskoszą w obrazach przyszłości, wystawiałem sobie moję ulubioną na czele kiedyś domostwa, umilającą mi wszystkie chwile życia. Ze wszystkich mar młodzieńczéj méj imaginacyi, powabniejszéj nad tę nie pomnę.

---

zyku estońskim. Kelch atoli zapewnia, iż ona winna swe nastanie Liwóm. Jest to jeden z rzadkich zabytków starożytnéj tego ludu poezji. Inne dzisiejsze śpiewy Łotyszów datują z późniejszéj chrześcijańskiéj epoki, i po większéj części są nabożnéj treści.

Niebo było pogodne, w powietrzu cisza, taż pogoda i cisza była i w duszach nas czworga w tej chwili. Dwaj starcy siedzieli na ławie z darnia, (którą niegdyś Roaza własnemi udziałała rękami) pod piękną jarzębiną zwieszającą swe gałęzie obciążone gronami szkarłatnych jagód; ja zaś i Roaza, u nóg ich na trawie, a wkoło nas gromadka igrających dziatek. Śmielsze zbliżały się czasem po kawałek placka, aby potém uciekać ze swoją zdobyczą przed towarzyszami. Ksiądz Anzelm miał na kolanach ładne czteroletnie pacholę, które spokojnie zabawiało się jego różańcem; na plecach zaś Roazy wspierała się malutka dzieweczka, przypatrując się ciekawie granatkóm zdobiącym jéj szyję. Był to obraz wystawiający w szczupłym obwodzie trzy główne życia ludzkiego doby.

Takeśmy siedzieli, nie rozmawiając prawie, bo każdy z nas miał z myślami swemi do czynienia— wtém ojciec Anzelm spostrzegł wracającego z weselnych owych godów żwawym krokiem Uzulina. Staruszek był troszkę podchmielony, bo głowę niósł prosto i uśmiech miał na ustach. Widząc dobry ten jego humor, przywołał go ksiądz do siebie, i prosił, aby usiadłszy opowiedział nam historję swojéj osady, stykającą się podaniami z odległą starożytnością łotewskiego ludu. Dał się uprosić starzec, i zająwszy miejsce na tejże darniowéj ławie, uraczył nas długą powieścią, któréj treść, ile ją dziś spamiętać mogę, była następująca.

— Pierwsi nasi praojcowie nie tu się narodzili. Ich

ojczyzna była ztąd bardzo daleko, w stronie, kędy słońce wschodzi. Tam nigdy wody nie marzną, śnieg pola nie kryje, ziemia wydaje zboże bez uprawy, a rzeki po złotym piasku płyną; słońce tam jaśniej świeci, gwiazdy takiego są blasku, że noc tameczna piękniejszą być ma od dnia tutejszego. Pod takiem niebem wszystko też inaczej rośnie. Drzewa wierzchołkami sięgaja prawie obłoków, trawy i kwiaty równają się wzrostem z naszemi lasy. Oto jest jeden z kwiatów, którego nasienie praojcowie nasi ztamtąd z sobą przynieśli. (Tu nam ukazał *słonecznik* pod okienkiem chałupy bujnie rosnący.) Porównajcież, mówił, wzrost jego z ziółkami, co go otaczają; a trzeba wiedzieć, że on z tęsknoty po swej ojczyznie okrutnie zmizerniał i zmalał. Zaledwie słońce wznijdzie, kwiatek ten wnet ku niemu twarz swą obraca, jakby chciał się wyrwać z obcej ziemi i lecieć do swoich (*). Cóż więc za dziw, że w tak roskosznym kraju mnożą się ludzie jak liście na drzewach, a żyją długo jak dęby lub kruki? Stało się więc im ciasno, zaczęło brakować pożywienia, i wszczęły się kłótnie, niezgody, zabójstwa i srogie wojny. Wtenczas najstarszy kapłan zwołał lud i objawił mu wolę bogów, żeby się rozdzielili i żeby jedna część została w kraju ojców, druga zaś szła na zachód słońca aż do morza, w którém *Auksa* (**) się kąpie; że tam znajdą

(*) Do dziś dnia Łotysze nasi mają wielkie w słonecznikach upodobanie, i radzi je zasiewać przy swoich mieszkaniach.

(**) *Auksa*, bogini zachodzących promieni słońca, czyli *zorza wieczorna*.

ziemię pustą, a na niej lasy, w których dostatek zwierza, oraz wiele rzek i jezior obfitujących w ryby; że tam rosną święte dęby strzeżone od *Perkuna*, i bez *Puszkajtowi* luby (*); że chociaż tam co roku srogie zimno po letnich następuje upałach i ziemia bez ciężkiej pracy człowieka nie wydaje owoców, ale się ta ziemia nie trzęsie pod biczem starego *Liktens* (**), przyjmie ich więc i wyżywi; a byle nie stracili pamięci o swych bogach, i wzajem się nie zabijali, duchy ich po śmierci przylecą do ojców krainy i złączą się z niemi na zawsze. Nikt atoli nie miał ochoty iść w tak daleką drogę; starzy nadewszystko woleli, choćby natychmiast, umrzeć na rodzinnej ziemi. Zatém kapłan rozkazał młódszéj braci opuścić kraj; i usłuchawszy, poszli młódsi na zachód, a przeszedłszy góry tykające wierzkołkami niebios, przebrnąwszy rzeki, okrążywszy morze, po długiéj, długiéj podróży i po różnych przygodach, przybyli nareszcie na brzeg rzeki, co się dziś zowie *Daugawa* (***), płynącej śród krainy przeznaczonéj im od bogów za nową ojczyznę. Zajęli więc na prawym brzegu Daugawy wielką przestrzeń aż do morza, i nazwali ten kraj *Widdu-zemme* (kraj środkowy, Inflanty), a lewemu brzegowi dali imie *Zemmes-*

(*) *Puszkajtus*, bóg ziemi, mieszkający pod krzakami bzu.

(**) *Liktens*, *Pramżu*, zwany także *Drebbkuls* od trzęsienia ziemią; kiedy się bowiem rozgniewa, ćwiczy ją niemiłosiernie, aż się ona z bolu i przestrachu trzęsie.

(***) Łotewskie miano Dźwiny.

gals (koniec ziemi, Semigalia), mniemając, że się tam już kończyła ziemia. Ale się w następności okazało, że z tamtéj strony ku morzu na zachód był kraj piękny, o którym gdy się ojcowie nasi dowiedzieli, zrazu wątpiąc o tém, pytali: *Kur-Zemme?* (to jest: *gdzie ten kraj?* Kurlandya), i odtąd ziemi téj nazwisko to pozostało. Ziściły się owe słowa najstarszego kapłana. Wędrowcy osiadłszy na téj ziemi, cieszyli się dobrym bytem; bogowie, których cześć tu przynieśli i rozszerzyli, błogosławili im; a plemie ich rozmnożone zajęło ogromne kraje, na północ aż do *Pinu-zemmes* (Finlandya), a na zachód i południe aż do *Wac-zemmes* (Niemcy): bo i *Lejti-zemme* (Litwa) zaludniła się szczepem ich niezliczonego rodu (*). Kraj był podzielony na osady *Killegunde* zwane, któremi rządzili *Wecumes* (starszyzny) i mieszkali w chatach okopanych głębokiemi rowami i obwiedzionych płotem z ostrokołu (**). Szczęśliwe to miały być czasy! Ludy łotewskiego plemienia żyły z sobą w jedności, i zgodnie się broniły od napaści obcych. Z sąsiedniemi *Kreewsami* (Rusinami) żyli w pokoju i prowadzili handel. Ale zamorscy *Sweedry* (Szwedzi) zazdrośném poglądali okiem na ich piękną ziemię. Długo jednak nabrzeżne tylko kraje

(*) Łotysze mniemają siebie narodem pierwotnym, wszystkie zaś pobratymcze ludy uważają za późniejsze odrośle pnia swojego. Jest to wreszcie słabość wszystkim ludóm pospolita, chełpić się dawnością swojego rodu.

(**) Są jeszcze w Inflantach rudera zwana *Baur-bürge*, chłopskie twierdze.

Estu-zemme (Estonja) i *Kur-zemme* (Kurlandya) napadane były od tych łupieżców, aż nakoniec jeden z potężnych ich królów (*) z taką siłą najechał te strony, że ojcowie nasi, nie mogąc mu się oprzeć, poddać się dobrowolnie musieli. Od tego czasu dola mieszkańców pogorszała się coraz sroższemi wojny, coraz częstszemi rozruchy. Zmuszeni zawierać przymierza z ościenną *Kreewu-zemme* (Rusią), dostali poźniej królów ze krwi tego narodu. Ci zaczęli budować zamki i grody, zniewalając lud nasz do robot i nakładając nań różne daniny. Powstało wielkie miasto *Gercike* nad Daugawą, między dzisiejszym *Naujenes-Pillis* (**) (stary Dyneburg) i *Kokenois* (Kokenhauz).

— Ale był to tylko początek upadku naszego swobodnego nad temi ziemiami panowania. Cudzoziemcy Wacisi wypowiedzieli bogóm naszym wojnę w imie wielkiego *Diwa Kristejtu laužu* (chrześcjańskiego Boga). Pod ich siekierą padały święte dęby, młoty ich rozwalały nasze ołtarze, a na miejscu tych świętości stawiali jakieś słupy z poprzeczką u góry, na których wisiała rozpięta ludzka postać, przybita za ręce i nogi do drzewa. Zrazu wprawdzie nic dokazać nie mogli.

(*) Może to był *Eryk* król Szwedzki, Gocki i Duński, około 259 lat przed Nar. Chryst.

(**) *Naujenes Pillis?* czy nie jest to, co w mowie naszych Łotyszów wyraża się przez *Nowiejgas Pollis*, zgubne śmiertelne zalewy, albo rozlewy? co łatwo daje się zastosować do położenia *dawnego* Dyneburga, podległego corocznym zalewóm Dźwiny.

Odważny jeden chrześcjański *krewe* (kapłan) zaszedł aż wgłąb' naszego kraju, ogłaszając nowego Boga i z dziwną mądrością nauczając lud wielu dobrych rzeczy. Był to czarownik wcale osobliwy, bo nikomu nie szkodził, owszem pomagał każdemu, uzdrawiał chorych, cieszył zasmuconych i dawał co miał potrzebującym. Ludby go wielbił i miłował; ale że on powstawał przeciw bogóm i znieważył ich świątynię, kapłani nasi pòświęcili go ich zemście; przywiązany więc został do słupa i przeszyty siedmią włóczniami; poczém ucięto mu głowę, i uroczyście po wszystkim kraju obnoszono, jako znak zwycięztwa nad chrześcjańskim Bogiem (*).

Drugą przyczyną upadku naszego narodu była chciwość. Nie przestając na dobrodziejstwach, których im tak obficie dostarczały żyżne pola, pełne źwierza lasy i pełne ryb wody, zachciało się Łotyszóm błyskotek niemieckich. Stało się, iż *Wacisy*, pływając na wielkich łodziach po morzu dla frymarczenia różnemi towarami, jedna z tych łodzi przypadkiem (czy też może skierowana przez Boga chrześcjańskiego?) trafiła do ujścia Daugawy w morze i zatrzymała się na brzegu *Widuzemskim* (Inflanckim). Mieszkańcy, zamiast coby mieli odegnać tych przybyszów, połasili się na ich błyskotki, weszli z niemi w przymierze i zaprzysięgli

(*) Zapewne Św. Wojciech, umęczony przez pruskich pogan w roku 997; ale podania łotewskie naznaczają miejsce jego śmierci w Inflantach (patrz *Hiärans--Esth-und Lettlandiche Geschichte*, wydanie Napierskiego, 1835, pag. 61.),

zgodę i przyjaźń, zwyczajem naszym na wierzbowe gałęzie. Odtąd corocznie już przybywali chytre *Wacisy* po zboża, wosk, skóry i inne nasze bogactwa, oszukując, jak sami chcieli, prostych ludzi; wyprosili sobie nawet wolność założenia głębiej w kraju składu swoich towarów w osadzie zwanéj *Ikoskulla* (dzisiaj *Uekskul* albo *Ixkul*). Zaledwie się tam ulokowali, aż się zjawił znowu chrześcjański kapłan, ogłaszający nowego Boga ludowi. Z tym już nie było żartu, bo nie tylko był mądry, ale bitny oraz wojak. Obronił Ikoskullę od napadu *Lejtysów* (Litwinów) połączonych z *Krewsami* (Rusinami), i przez to zwycięztwo zjednał sobie ufność w kraju (*). Wielu tedy odwrócił od czci bogów, a między temi był możny jeden *Kungs* (pan) na imie *Kobbe*, którego przykład pociągnął do wiary chrześcijańskiéj mieszkańców jego obszérnych włości. Wystawiono światynię nowemu Bogu, który, usadowiwszy się tym sposobem na ziemi naszéj, szérzył daléj i daléj swoje panowanie, wyzuwając łotewskich bogów z odwiecznego ich dziedzictwa. Usiłowali wprawdzie ojcowie nasi bronić swéj wiary i swych swobod. Następca rzeczonego *Krewe* (**) zabity został w bitwie przez sławnego łotewskiego wojownika *Imanta*, bogowie byli pomszczeni, cześć ich powrócona, ale ta pomyślność trwała niedługo. Przybył z za morza stra-

---

(*) *Meinhard*, piérwszy biskup Inflancki, apostoł Łotwy w XII wieku.

(**) *Bertold*, drugi biskup Inflancki, na schyłku XII wieku.

szliwszy i potężniejszy *Krewe* z wojskiem (*), i wszystko przed nim korzyć się musiało. Zbudował nad Daugawą niedaleko Holmu (**) miasto *Righe* (Ryga), zburzył i spalił sławny gród *Gercyke*, a z nim i święte Romnowe. Kapłani nasi, z Krewe-Krewejtą na czele, uciekać musieli. Na dobitek zaś, zwycięzca poddał lud pod panowanie Niemców. Przybysze ci nazywali siebie *Diwa Karawejry* (***), zapewne dla tego, że nawracali do swego Boga mieczem i ogniem.

Potęga ich rosła, a chciwość nie znała granic. Kto tylko nie mógł się przed niemi schronić, stać się musiał ich niewolnikiem. Pod ich toporami waliły się święte drzewa, konie ich pławiły się w świętych jeziorach, posągi bogów i ozdoby kapłańskie z kruszcu przetapiali w swoich kuźniach na liche narzędzia, a przed chutliwem ich okiem trudno było ukryć grosz pracą nabyty, a trudniej jeszcze dziewkę urodziwą. Długo jednak okolice tutejsze swobodne były od ich napadów. Dziadowie nasi słyszeli wprawdzie o niedoli swych ziomków, szczęk broni obijał się czasami i o nasze lasem obrosłe wzgórza, ale w tych puszczach oddychali jeszcze Łotysze dawną swobodą, bogowie

---

(*) *Albert*, trzeci biskup Inflancki, na początku XIII wieku.

(**) Była to jedna z najpierwszych łotewskich osad. Miejsce to zowie się teraz *Kirchholm*, pamiętne zwycięztwem Chodkiewicza nad Szwedami.

(***) *Diwa Krawejry*, wojownicy Boga. Krzyżacy mieli rzeczywiście nazwanie: *Fratres Militiae Christi.*

Łotwy dawną cześć jeszcze odbierali. Mieszkańcy żyli w ubóstwie, ale szczęśliwi, bo wolni. Przyszła jednakowoż i na tę cząstkę kraju kolej. Starszyzna niemiecki w *Naujenes-Pillis* (*), rozszerzając swoje włości, przysunął się aż do naszéj Killegundy. Temu już będzie lat dwa razy tyle, jak mam ich dziś na głowie, bo ojca mego wtedy jeszcze na świecie nie było, a dziad mój był starszyzną osady. Człek to był mądry, (jak mi o nim w młodości méj powiadał ojciec, oraz inni starzy ludzie), gorliwy w służbie bogów, widział świata, chodził na Litwę i do Pruss do tamecznego *Krewe-Krewejty*, i z wielą innemi mądremi i bogobojnemi ludźmi przestawał. A co od nich słyszał, to sobie w pamięć wraziwszy, opowiadał potém swoim dzieciom. Tak się te rzeczy do mojéj wiadomości dostały. Otoż dziad mój, zasłyszawszy o gotującéj się w te okolice wyprawie Niemców, zebrał pobliższych mieszkańców i rzekł im: — Bracia! oto najezdcy idą do nas, aby nas ujarzmili. Mamyż się bronić? mamyż się im poddać? i jedno i drugie z naszą byłoby zgubą. Bronić się nie zdołamy, bośmy zbyt przeciw nim słabi, a poddając się, wyrzecbyśmy się musieli swobód i bogów naszych! Cóż więc uczynimy? Rozdzielimy się, mili bracia, na małe gromady, i opuszczając domy, pola i mogiły ojców, pójdziemy na północ ziemi naszéj w głuche lasy, któremi *Puszkajtas* (może przewidując

(*) Zapewne dyneburgski komptur czyli komandor krzyżacki, bo dobra Auleńskie należały do téj komandorji.

naszą dzisiejszą niedolę) okrył tę krainę, szukać ukrytych ostępów, niedostępnych ostrowi, gdziebyśmy od napadu najezdników bezpieczni być mogli, dopóki ich zbrodnie nie zmordują cierpliwości bogów, dopóki my pokutą i ofiarami nie przebłagamy tychże bogów obrażonych widać naszą o cześć ich nieczułością, naszemi wewnętrznemi niezgody i różnemi nieprawościami łotewskiego ludu. — Wielki powstał płacz i narzekanie na te słowa, ale nie było co czynić. Uznano ich mądrość i postanowiono usłuchać. Rozdzielił się zatém lud na gromady od trzech do cztérech rodzin; w każdéj obrany został starszyzna, pod przewodnictwem których udały się, zabrawszy z sobą, ile było można, dobytku, wgłąb' lasów ku połnocnéj stronie. Mój dziad, ze swoją rodziną i powinowatęmi, nie szedł daleko; obrał bowiem sobie w puszczy ten oto ostrów, otoczony bagnistym ruczajem i trzęsawiskami, i tu się bezpiecznie usadowiwszy, złożył obarczoną latami głowę, zostawując młodemu synowi swemu, a mojemu ojcu, władzę starszyzny, nauczywszy go, jak się ma we wszystkiém zachować co do zarządu w osadzie; na przypadek zaś, gdyby się w niéj ludność zbytnie powiększała a brakowało sposobów wyżywienia wszystkich, zalecał przedsięwziąć rozdział, upatrzywszy wprzódy miejsce przydatne do ukrycia przed okiem wrogów nowéj osady. Tym porządkiem od śmierci mojego dziada, dwa razy już z sioła naszego wyszły oddzielone od gniazda gromadki, do obranych w północnéj stro-

nie, daleko ztąd, miejsc bezpiecznych; ale jak się tam im powodzi, o tém nie wiémy, ani też oni o nas. Dąb ten zasadzony przez mojego dziada (z żołędzia świętego *Baubli*, co mu dał litewski Krewe-Krewejto, i poświęcony Perkunowi) patrzcie jak jeszcze czerstwy. Widział on początek naszéj osady, ujrzy niebawnie jéj koniec; a byłby długo jeszcze napawał się krwią i dymem lubych jemu ofiar, gdybyśmy mieli bogobojnego wurszajta. Na nieszczęście, Wannag, człek bezbożny, winien swoję dostojność ofiarnika nie zasługóm swoim, ale urodzeniu: bo ród jego idzie ze krwi kapłańskiéj. Lecz się niecnota odrodził od świątobliwych ojców. Bogowie wymagają po swych sługach czystego serca, a jego było skalane. Obrzydzili zatém sobie ten ostatni czci swojéj przytułek, i opuścili nas widać na zawsze; odebrali wurszajtowi rozum, bo on się rozmiłował w młodéj dziewczynie, i chcąc dogodzić swéj chuci, wszedł w przymierze z niewiernemi, z cyganami, za pomocą których dokazał wprawdzie swego, ale to wszystko obróciło się na jego i naszę zgubę...... Może wreszcie wasz Bóg to wszystko sprawił... może też on mocniejszy od naszych bogów...—

—Tak, a nie inaczéj, mój kochany! — wykrzyknął ks. Anzelm — nasz Bóg to sprawił, ale nie na zgubę waszę. On jest mocniejszy od wszystkich bogów, ale nie pragnie, tylko zbawienia wszystkich ludzi. Drogi jego są niezgłębione, zawsze atoli mądre i dobroczynne. Pociesz się więc, starcze! Smutek twój

zmieni się w wesele. Żyłeś poczciwie, zasłużyłeś ujrzeć przed śmiercią prawdziwe światło. Dziękujemy ci za twoję powieść. Nie dziw, żeś powziął wstręt do ludzi, którzy plemie twoje przez tyle czasu srodze nieraz uciskali i krzywdzili; ale nie sądź podług tych nieprawych czynów o wszystkich, co uznają chrześcijańskiego Boga; osobliwie zaś nie bierz miary z postępków ludzkich o dobroci i sprawiedliwości Boskiéj. Przekonasz się, poznawszy Jego wolę, że pomiędzy chrześcijanami ci tylko są złemi, którzy nie pełnią przykazań Jego, a przeto nie warci tego imienia i odrzuceni są od tego Boga na wieki.

XV.

Nadeszła wreszcie chwila spoczynku. Ksiądz Anzelm udał się z panem Ilgońskim do małéj stodołki na świéże siano, Roaza ulokowała się w izbie Uzulina, przybrawszy sobie za towarzyszkę noclegu młodą Łotewkę Styrnę. Moją kwaterą była mała komora na drugiéj połowie chaty.

Nie zdejmując z siebie odzieży, odpasawszy tylko szablę, rzuciłem się na twarde posłanie, bom się spodziewał przybycia mojego ojca, i chciałem być w każdéj chwili gotowym na jego przyjęcie. Dowodzący kapral miał rozkaz obudzić mię za piérwszém hasłem.

Księżyc świecił w pełni, ale gęste obłoki przesuwały się po jego tarczy, mrok więc i jaśnia panowały na przemiany. Szum wiatru dolatywał z puszczy i ła-

godnie do snu mię kołysał. Po dziennym trudzie, z umysłem spokojnym, z sercem pełnem słodkich nadziei, zasnąłem jak dziecię u matczynéj piersi.

W takim śnie pogrążony czuję się ujętym za ramię, ktoś do mnie mówi, lecz nie wiém, czy to słyszę przez sen, czy na jawie. Radbym spać jeszcze, nie chcę dać siebie obudzić, dąsam się jak dziecko we śnie, ale nakoniec słyszę głos Roazy wołającéj mi do ucha: —Na miłość Boga, wstawaj Jordanie! Zdawało mi się widzieć jakiś ruch, słyszałam dziwny szmer, coś nadzwyczajnego dziać się musi w siole!

Na wpół senny podnoszę się machinalnie na posłaniu, i z oczyma jeszcze zamkniętémi mówię do Roazy: — Nie frasuj się, moja miła! to zapewne ojciec mój z ludźmi swémi do nas przybył.— Ale wprzód nimem to wymówił, drzwi chałupy skrzypnęły, i szczęk oręża głucho rozległ się w sieni. W téjże chwili księżyc wynurzając się z obłoków, jasne rzucił światło przez otwarte okienko na wchodzących do mojéj komory kilku zbrojnych, a Roaza przeraźliwie krzyknęła:— *Wannag!*— Zrywam się, w mgnieniu oka chwytam szablę leżącą obok mnie na ławie, a tymczasem wróg mój z podniesionym nożem skoczył jak mię ugodzić. Byłbym zginął niechybnie, gdyby Roaza poświęceniem własnego życia nie odwróciła odemnie morderczego ciosu. Nimem wyrwał szablę z pochew, już wielkomyślna dziewica rzuciła się na spotkanie zbójcy, a wtém światło księżyca nagle zniknęło w grubym obłoku,

czarny mrok ogarnął wszystkie przedmioty, usłyszałem tylko lekki jęk, który mi serce boleśniej niż żelazem przeszył, i cień upadającej postaci mignął przed mojem okiem. Bezprzytomnie prawie wyprężyłem uzbrojone me ramie, i uczułem ostrze mego żelaza torujące sobie drogę przez ludzkie ciało, podczas gdy lewa ma ręka, którą się machinalnie zasłaniałem, boleśnie została ugodzoną. Wtem księżyc zajaśniał znowu, i promienie jego okropny oświeciły widok. Przede mną szkaradny wurszajt przygięty na jedno kolano, z rozdziawioną, spienioną krwawą paszczą, z wytrzeszczonemi w słup oczyma; szabla moja aż po rękojeść prawie utkwiona w jego łonie, i tak zagrząźniona w kościach, żem jéj nie mógł wyrwać; u nóg moich Roaza rozciągniona bez ruchu, i cała krwią zbryzgana; tuż za wurszajtem kilku szwedzkich rajtarów z gołemi pałaszami— oto, com przez chwilę miał przed oczyma!— Jeszczem nie wyszedł z mego osłupienia, nie wydobył mego oręża z cielska mego wroga, kiedym się ujrzał napadnięty i rozbrojony.

—Jestem waszym jeńcem— rzekłem— uciekać nie myślę, ale wy, jeśli macie cokolwiek ludzkości, pozwólcie mi nieść ratunek téj niewinnej niewieście, którą źwierz ten drapieżny (wskazując na tarzającego się po ziemi niegodziwca) wściekle zamordował.— A któż jéj winien?— odpowiedział mi jeden z rajtarów?— po co się mięszała nie w swoje rzeczy? Wszakże masz satysfakcyą, boś zabił to łotewskie bydlę, i tego ci

za grzech nie poczytamy, ale bawić nie mamy czasu. Tę dziewczynę opatrzą tutejsze baby, a ty, panie oficerze, ruszaj z nami, dokąd cię powiedziem. Komenda twoja cała w naszym ręku. Usarze, kozaki i ciury, wszyscy leżą powiązani jak barany. Może się którego i nie doliczysz, bo się głupcy bronić chcieli. Zatém marsz do koni, a ty Stefensonie wyciągnij pałasz z ciała tego psa poganina, i każ go oddać jego rodzinie, chociaż nie sądzę, żeby się wylizał, chyba że łotewska dusza nazbyt rogata. Wbił się samochcąc głupiec na żelazo tego młokosa, jak dzik na oszczep łowca... Otoż i wyzionął ducha. Niechże odpoczywa.

To mówiąc, on i towarzysze jego wywlekli mnie z chaty. U progu drzwi wchodowych, odwróciwszy w tył głowę, ujrzałem w sieni Ilgońskiego, i te tylko do niego wymówić mogłem słowa:—Ratuj Roazę!— Na szczęście, rajtary wzięli go widać za Łotysza, bo się wcale o niego nie troszcząc, powiedli mnie pod dąb, gdzie była cała ich komenda. Ujrzałem moich ludzi rozbrojonych i związanych. Sierżanta nie było, nie dał się bowiem stary wojak wziąć żywcem; wprzód zaś nim poległ, dwóch Szwedów pod szablą jego padło.

Dowodzący tym szwedzkim podjazdem wachmistrz, obejrzawszy i policzywszy jeńców, rzekł:

—A gdzież jest jezuita? Cyganie mi powiadali, że znajdę tu starego papiezkiego wyjadacza. Mamy ordynans brać w niewolę tych fanatyków, którzy podżegają lud przeciwko naszemu królowi. Przetrząść mi wszyst-

kie kąty i przyprowadzić go! Ruszajcie-no do téj chaty, gdzieśmy pojmali tego oto panicza (wskazując na mnie). Tam go niezawodnie znajdziecie.

Kilku rajtarów pobiegło wykonać rozkaz wachmistrza, i niebawnie wrócili, wiodąc ks. Anzelma, którego łagodna i poważna postawa zrobiła niejakie na wachmistrzu wrażenie.

—Jesteś moim jeńcem— rzekł on do kapłana— ale się nie bój, będę miał dla ciebie wzgląd jak dla starego człeka, radzę ci tylko trzymać język za zębami.

—Ojcze mój!— wołałem, wyciągając ręce ku mojemu nauczycielowi— ona nie żyje!

—Niech z nią i z nami dzieje się święta wola Boga— odpowiedział z czułością ks. Anzelm. Korzmy się przed Panem, ale nie okazujmy słabości przed ludźmi.

—No, no,— przerwał mu wachmistrz — schowaj twoje kazanie na czas późniejszy, a teraz *silentium*, jak mawiał mój magister Urselius w Helsinborgu. Ruszajmy, aby nas Polacy czasem nie naskoczyli. Hola! ty szatański synu cyganie! wyprowadź nas z tego bagniska, kiedy już twój Łotysz zadarł nogi, a patrz, żebyś nie zbłądził, bo pójdziesz go szukać na dnie piekła u wspólnego waszego ojca.—

Na te słowa wysunął się z pomiędzy żołnierzy cygan, zakrywając twarz, snać abym go nie poznał, i poszedł przodem ku przeprawie; a za nim ruszyli Szwedzi, wiodąc nas po jednemu przez manowce i trzęsawiska aż do naszych kładek na Gniłym Ruczaju, po

przebyciu którego ujrzeliśmy nasze konie, ale już pod strażą Szwedów.

—*Optime!*— wykrzyknął wachmistrz, wskazując na konie— powsadzać jeńców na ich własne szkapy; nie mamy potrzeby obciążać naszych; a możemy się puścić kłusem, bo *periculum in mora*, powiedziałby nieboszczyk Urselius. Ty Stefensonie weź pod opiekę pana oficera i trzymaj mu blizko ucha pistolet, a byle zrobił minę do ucieczki, wpakuj mu do łba kulę bez żadnéj ceremonji. Ja biorę na siebie jezuitę, bo ze starym szczwanym lisem trzeba się mieć więcéj jeszcze na ostróżności. A przytém jesteśmy oba ludzie uczeni i lubimy kontrowersyę. Jak go wprowadzę w dysputę teologiczną, już wtenczas nie odczepi się odemnie, choćbym go odganiał. Ty, bracie Nolken, pilnuj przewodnika, trzymając go dla bezpieczeństwa na powrozie. Chceszli, żeby ci człek był wierny, trzeba go do siebie *przywiązać*. Otoż jak mądrze mówi orator: *Nihil est copulatius*, *quam funiculus.* Cha! cha! cha! oj dałby mi Urselius za takie profanowanie Cycerona (*). Ale wy kamraci jesteście *profani*, i nie rozumiecie tych uczonych facecyj, z których ja niegdyś słynąłem w Helsinburskiéj szkole. Ksiądz jezuita mógłby w nich smakować, ale się zatopił w swoim brewiarzu, szukając

(*) Cycero powiedział: *Nihil est copulatius*, *quam morum similitudo;* wachmistrz żartobliwie zamienił *morum similitudo* (zgodność obyczajów) na *funiculus* (postronek).

Przyp. ks. Jordana.

tam zapewne jakiego tekstu Pisma, którymby mógł mnie wojować w dyspucie. Zobaczymy, jak mu się to uda; a tymczasem śpieszmy z naszémi jeńcami w bezpieczniejsze miejsce, bo ta część Inflant jest najbardziej sfanatyzowana przeciwko wielkiemu naszemu królowi.—

To powiedziawszy, uczony wachmistrz uszykował swoję komendę, i wiódł jak mógł pośpiesznie; lecz niewygodne przeprawy, wązkie śród lasów manowce i inne podobne zawady, hamowały co chwila jego usiłowania, i wyrywały mu z ust klassyczne złorzeczenia. Dotychczas mi jeszcze w pamięci stoi śmieszna figura tego pedanta, pół-żołnierza a pół-teologa: nizki, krępy, plec szérokich, rąk długich, głowa kształtu harbuza na krótkiej osadzona szyi, czupryna, rzekłbyś, kądziel żółtych pakuł, twarz krągława z wypukłémi rumianémi policzkami i sutym podbrodkiem, nos purpurowo-fioletowy, gałkowato nad széroką gębą wznoszący się; oczy malutkie, szarawe, z pod brwi nawisłych bystro zérkające; głos chrapliwy, ruchy ciała flegmatyczne, wyjąwszy, gdy z kim o swéj ulubionéj teologji dysputował. Nazywał się Ryszard Krahe.

Wcale do niego niepodobny strażnik mój Stefenson, młody, łagodnego oblicza, otwarty człowiek, zdawał się, po krótkim czasie, brać niejaki udział w mojém cierpieniu.—Dziwna rzecz,—rzekł do mnie— że twarz wasza jest mi jakby znajomą. Musiałem zapewne widzieć kogoś bardzo do was podobnego. Żal mi was

trochę, chociaż wolałbym, żebyście biedę swoję znosili wesoło. Ale już zgaduję.... Zapewne to śmierć tej biednej dziewczyny tak was trapi? bo juściż-byście się nie frasowali tak srodze z obecnego waszego losu. Na podobne koleje wojny każdy z nas jest wystawiony; a chociaż niewola jest rzeczą bardzo niewesołą, nie przywodzi atoli mężnego żołnierza do rozpaczy. Więc tu wyraźnie wnosić mi trzeba, żeście byli szalenie w tej pogance rozkochani; ale niech zginę, jeśli pojmuję, jak wam mogła do tego stopnia zawrócić głowę Łotewka! Może ta lepiej wyglądała od innych tutejszych chłopek, bom nie mógł jej się przypatrzyć; ale założyłbym się, że być musiała niechlujna i głupowata, jak wszystkie jej ziomki. Nie podobna, zdaje się, żeby człek waszego stopnia mógł rozpaczać po takiej miłośnicy!—

—Pozwalam wam, przyjacielu!—odpowiedziałem—myśleć jak się podoba, bo nacóżby się wam przydało wiedzieć o istotnej przyczynie ciężkich mych frasunków? Ale ponieważ jesteście litośni i chcielibyście przynieść mi niejaką ulgę, więc opowiedzcie z łaski swojej, jakim sposobem udało się wam wyśledzić nasze stanowisko? Zapewne to ten Łotysz, któregom ja zabił?

—Mogę wam to wyjawić teraz, kiedyście już w naszym ręku. Otoż, Łotysz ten tyle myślił o nas, ile my o nim. On od was uciekał, jak nam opowiedzieli towarzyszący mu dwaj cyganie, i przypadkiem spotkał

się z nami, o kilka mil ztąd, w lesie. Bo trzeba wiedzieć, że nasz podjazd wysłany dla furażowania trafił na złego przewodnika i stracił zupełnie dyrekcyę. Dywizya nasza, nie mogąc widać nas doczekać, pociągnęła sobie swoją drogą do Kokenhauzu, a nam, by się z nią złączyć, wypadło obejść Dyneburgskim traktem wielkie jezioro. Na nieszczęście zetknęliśmy się tam nos w nos z Polakami na przeprawie. Djabli ich przenieśli przez wodę. Musieliśmy tył poddać, straciliśmy oficera, i schroniwszy się w lasy, tułaliśmy się, wypatrując pory wykonania naszéj retyrady, i sądząc się prawie za zgubionych.

—Wiem cokolwiek o téj utarczce nad jeziorem Rossenem— powiedziałem.

—Jakto?— zapytał Stefenson— wyście tam byli? Ha, w saméj rzeczy, poznaję was teraz, panie młody zuchu! Więc to wy przepłynęliście samowtór przez tę małą zatokę i piérwsi skrzyżowaliście z nami szable? Tak, tak, ta sama twarz! Pomnę dobrze piérwsze wasze cięcie. Rapir mój nosi znaki waszego żelaza.

—Jam to był istotnie— odpowiedziałem— ale z łaski mojego konia, który mię uniósł. —

—Do czego te wybiegi?— przerwał mi rajtar. Może myślicie, że wam to weźmiemy za złe? Oh, bynajmniéj! Szwedzi umieją szacować waleczność nawet w nieprzyjaciołach. Oto moja ręka. Będę się tobą opiekował, jak bratem; chyba gdybyś chciał uciec, w takim razie wybacz. Panie wachmistrzu!— zawołał—

mamy tu znajomego między naszémi jeńcami! Ten młody oficer bił się walecznie z nami na przeprawie. Poznałem go należycie, i wy go, sądzę, poznacie, bo on był piérwszy, który nam zajrzał w oczy, i który— dodał cicho z uśmiechem— ujrzał potém nasze grzbiety.

—*Favete ore*, Stefensonie!— ozwał się poważny głos wachmistrza.— Przeciąłeś mi napoły piękny syllogizm, którym pokonać miałem papieżnika teologa. *Quid tum inde?* Cóż ci ztąd, żeś go poznał? Oto chyba, że baczniejsze nań mieć powinieneś oko. Mam ja teraz ważniejszą rzecz przed sobą. Chce mi się z jezuity zrobić protestanta. Oto wtedy byłbym *voti compos*, jak mówił Urselius.

—Rzecz nie tak łatwa— szepnął do mnie Stefenson— jak się temu pedantowi zdaje. Ale już to jego choroba. Bo trzeba wiedzieć, że nasz waleczny wachtmejster chybił swego powołania, i był powinien zostać pastorem. Ojciec przeznaczył go do stanu duchownego i kazał mu studjować teologję; ale młody Ryszard Krahe, nie skończywszy nauk, wpadł, z łaski jednego ze swych kollegów, w awanturę, o któréjby długo mówić, i uciekłszy z Helsinborga, zaciągnął się do wojska. Trzeba mu oddać słuszność, że na dobrego wyszedł żołnierza; ale na biédę naszą nie zapomniał swojéj teologji; a byle się nadarzyła zręczność dysputowania, wnet o niczém inném nie myśli, będzie ciągle tokował, jak cietrzew na wiosnę. Niechże się wygada, a ja tymczasem, rad z waszéj znajomości, do

kończę mego opowiadania.— Mówiłem tedy, żeśmy się sądzili za zgubionych; i w samej rzeczy o mało chodziło, żeśmy nie wpadli, dni temu kilka, Polakom w ręce. Gdyby nie Cygan, który nam służył za szpiega, byłoby to z nami, co dziś jest z wami. Szło tylko o pół-godziny, a żadenby z nas nie uszedł.—

Westchnąłem ciężko na te słowa, a Stefenson uśmiechnąwszy się, mówił dalej:

—Kiedy już szczęśliwie przeminęła ta nawała, wachmistrz, wybadawszy Cygana, postanowił ciągnąć do Kokenhauzu manowcami, rzucając Dünaburski trakt na lewo. Właśnieśmy ruszyli w tym kierunku, kiedy się nam nawinęło dwóch Cyganów, a z niemi Łotysz, poczwara, jakiej w życiu jeszcze nie widziałem. Oni tedy nam powiedzieli o waszém stanowisku, zapewniając, że z łatwością opanujemy je i pobierzemy was śpiących. Powiész, żeśmy nierozważnie zaufali tym ludziom, którzy mogli nas wprowadzić w zasadzkę. Prawda. Ale nasz wachmistrz, który nigdy nie traci głowy, i obok swojej teologji lubi dobra ziemskie, skombinowawszy snadnie, że jeśliby mu się udało przyprowadzić z sobą do Kokenhauzu jeńców, natenczas niechybnie byłby awansowany, zdecydował się potentować losu, tém bardziej, że nas widział ochoczych; bo prawdę mówiąc, tak już koło nas kuso, że z desperacji odważylibyśmy się na wszystko. Połowa roboty udała się jak najlepiej; idzie teraz o drugą: o dostanie się z wami do Kokenhauzu.—

W téj chwili podjechał ku nam wachmistrz i rzekł do Stefensona: — Kamracie! daj mi na chwilę pomówić z tym młodzieńcem, a sam zajmij moje miejsce przy księdzu. Radzę ci jednak nie wdawać się z nim w dysputę o wierze, boś ty niezbyt tęgi w cytacyach Pisma, jezuita zaś jest *ex numero disertorum;* a chociaż erudycya jego, jak mówi Seneka, *plus sonat, quam valet*, wyznać muszę, że jak na papieżnika, nieźle wcale argumentuje. Wystaw sobie, że on lepiej może od ciebie zna exegezę Lutra.

—Wierzę temu— odparł śmiejąc się Stefenson— bo ja nie wiém nawet, co to jest exegeza.

—*O caput bubula!* — wykrzyknął wachmistrz — niedawnom ci to jeszcze tłómaczył, pomnisz, na przedostatnim noclegu.

—Pamiętam tylko, żem głodny usnął, i że mnie się potém cóś strasznego śniło. Może to była ta wasza exegeza.—

To mówiąc, odjechał, by zająć ukazane miejsce obok ks. Anzelma, a wachmistrz ze złości nie mógł przez chwilę wyrzec słowa; zawołał nakoniec z westchnieniem:— Ach! coby na to powiedział nieboszczyk mój Urselius! — i wnet odchrząknąwszy, zaczął mi prawić moralną naukę, i dowodzić bardzo gruntownie, że waleczność bez dobrych obyczajów źle zdobi żołnierza, że dowódzca powinien podkomendnych swoich budować dobrémi przykłady, nie zaś gorszyć ich rozwiązłémi postępkami. Wszystkie swoje uwagi popie-

rał jak mógł cytacyami Pisma i krasił sentencyami klassyków. Zrozumiałem, iż te napomnienia ściągały się do mojéj przygody, z któréj poczciwy wachmistrz niesłusznie powziął złą opinję o mojéj moralności. W téj chwili atoli obojętnym będąc na wszystko, nie dałem sobie nawet pracy wyprowadzania go z błędu, i słuchałem długiéj jego perory z bezwładnością posągu. Tym jednak sposobem zjednałem, wcale o tém nie myśląc, serce jego ku sobie. Dobry ten dziwak brał moje milczenie, moje ciche łzy, za skutek zbawiennéj kaznodziejskiéj swojéj wymowy; rad więc, że mię skruszył, i pełen nadziei, że się dam nawrócić, rzucił na księdza wzrok tryumfujący. Odpocząwszy nieco gorliwy apostoł, zbliżył się w kolei do jednego z moich usarzy i jął z nim rozmawiać, a po krótkiéj chwili wpadł zwyczajem swoim na materję religijną. Usarz Mazur, frant niebity w ciemie, ziewał okropnie śród homilji Wachmistrza, a w końcu rzekł doń, bełkocąc i słaniając się na siodle:— Jakem katolik, aż mi w uszach dzwoni od waszego kazania. Ani chybi, musieliście być kiedy bombizą. Ale muszę wam powiedzieć, że mię Bóg widać skarał dziwną chorobą, że byłem usłyszał bajanie kaznodziei, wnet mi się spać chce na dobre, jakby po kwarcie starego miodu.— To powiedziawszy, opuścił całkiem głowę na piersi i zaczął potężnie chrapać.

Wachmistrz zmarszczył brzwi; a usłyszawszy około siebie śmiechy, poznał, że ma do czynienia z fran-

tem; udał się więc do zadnich szeregów, gdzie było kilku moich kozaków pod strażą. Lecz i tam mu nie lepiéj powiodło. Bo gdy jednego z nich badał o jego rodzie, Zaporożec jął mu prawić niestworzone rzeczy o swojéj Siczy, i zakończył śpiewając:

„Dywy sia, ta hadaj, ta ba newhadajesz,
Widkyl ja rodom niczyrk neznajesz.
Komu traplałoś choć raz w stepu hulaty,
To może toj i prozwyszcze moje uhadaty.
W mene imia nę odno, je ich i do kata,
Tak zawut, jak natrapysz na jakoho swata:
Żyd, z łycha za ridnioho bat'ka maje,
Miłostiwym Dobrodijom Lach nazywaje,
A ty jak chocz nazowy, na wse pozwalaju,
Aby łysz ne *Szwedem*, bo za to i połaju. (*)

—A toż mi *natione et ratione barbarus!*— wykrzyknął rozdąsany wachmistrz. Wlej takiemu Madianicie w usta najsłodszego miodu czystéj nauki, on go splunie, jakby to była żółć z octem! Azaliż nie powiedziano: *Nolite dare sanctum canibus, neque mittatis margaritas ante porcos?* Wolę już tedy dysputować ze starym jezuitą; chociaż bowiem fanatyk i uparty jak kozieł, ale ocierał się koło nauki i ma oléj w głowie.—

Ujrzałem się więc znowu obok Stefensona; i gdybym nie był przygnieciony tak srogim smutkiem, rozśmiaćbym się musiał na to, co mi opowiedział o swéj

---

(*) Wyjątek z dawnéj Zaporozkiéj dumy (ob. w Stannicy Hulajpolskiéj Edwarda Tarszy Tom III. str. 109).

z ks. Anzelmem rozmowie: albowiem podczas, kiedy żarliwy protestant wachmistrz usiłował nas katolików na swoję nawracać wiarę, stary missjonarz chciał takoż widać korzystać z przygody, co go wtrąciła między inowierce, aby którą z tych zbłąkanych owiec zapędzić do owczarni. Nie lepiéj mu się to udało, jak tamtemu; ale że oba w dobréj czynili wierze, powzięli tedy jeden ku drugiemu szacunek. Dysputowali wciąż na zabój; lecz wachmistrz nie nazywał już księdza *papolatrą*, ministrem Baala; szanował owszem w nim świątobliwą starość, i powtarzał: *Ignosco senectae non turpi;* a jezuita z swojéj strony strzegł się wyrazów twardych, np. *heretyka*, *kacerza* i tp., przywodząc te słowa z Listu Ś. Pawła do Galatów: „Jeśliby też człowiek pościgniony był w jakim upadku, wy, którzy „duchowni jesteście, nauczajcie takiego w duchu łagodności, obaczając samych siebie, abyście i wy nie „byli kuszeni.”—Dobry ten przykład sprawił, iż szwedzkie żołdactwo nie wyrządzało nam żadnéj obelgi.

XVI.

Szliśmy, jak mówiłem, manowcami, kierując się ku rzece Ewikszcie na *Prekul* i *Warkow*; ale zostawiwszy za sobą jezioro Rossen, zbiliśmy się z drogi i ujrzeliśmy się ku wieczorowi pod Fejmanami. Na widok tego dworu ucieszyli się Szwedzi, obiecując sobie wygodny nocleg i zdobycz; ale baczny wachmistrz zatrzymał się w miejscu ukrytém, chcąc się wprzód upewnić, azali tam nie znajdzie silnego oporu; wysłał więc jednego ze swych ludzi z przewodnikiem dla dostania języka. Spójrzeliśmy z ks. Anzelmem jeden na drugiego z bolesnym wyrazem, bośmy wiedzieli, że pan Jodko ze swojémi zbrojnémi był w téj chwili pod Marynauzem, że tedy dom jego, a nadewszystko żona i córka (jeżeliby się na nieszczęście w nim znajdować miały) wy-

stawione będą na niebezpieczeństwo rabunku. Pomyśliwszy trochę, rzekł ksiądz do wachmistrza, iż, jako znajomy dziedzicowi Fejman, bierze na siebie ułatwić komendzie wejście do dworu, wygodny nocleg, i opatrzenie się w żywność na dalszy pochód, byleby mu tylko dał uroczyste słowo, że żaden z jego podkomendnych nie wejdzie do mieszkalnego domu, i niczego się samowolnie nie tknie. Na to mu Szwed tak odpowiedział:— Mądra to propozycya, ale nieco zawczesna. Jeżeli bowiem dwór jest bez obrony, w takim razie bez żadnych kondycyj otworzyć nam powinien bramę i zdać się na łaskę: *In victoris arbitratum se dedere*, jak mówi wielki Cezar. To pierwsza uwaga. Druga: ostróżnie przyjmować dary od nieprzyjaciela. *Timeo Danaos et dona ferentes.* Zaczekajmy tedy na pewniejsze wieści o stanie garnizonu tego niby warownego dworku, a potém zważymy *prudenter*, ile Waszmości, *qua* jezuicie, zaufać można.—

Ks. Anzelm przygryzł sobie wargi, nie mogąc nic odpowiedzieć na te uwagi ostróżnego wachmistrza. Po niedługim czasie wrócili wysłani na zwiady z doniesieniem, iż we dworze, oprócz ekonoma i kilku sług domowych, nikogo nie było.—A nie powiedziano wam, gdzie jest pan tego dworu?— zapytał Krabe.

—Wyciągnął ze swojemi zbrojnémi w pole i być musi przy wojsku Polskiém— była odpowiedź przewodnika.

—Zaręczasz mi to na twą głowę?—

—Zaręczam. --

Wachmistrz rzucił na księdza wzrok tryumfujący, i powiódł komendę ku dworowi.

Weszliśmy bez oporu. Przestraszony ekonom zdał się na łaskę, i oddał wachmistrzowi klucze od wszystkich składów. Rajtary okazywali wielką ochotę do zwiedzenia piwnicy i przedrabowania kufrów, ale na szczęście, ich komendant nie był tego zdania.—Wara, bracia— mówił do nich— od wszelkich gwałtów, rabunków i swawoli! Pomnijcie, że wielki Król nasz surowie nam tego zakazał. Nie myślcie atoli, iżbym zapomniał, żeście głodni, spragnieni, jako też, że wam tego i owego do ochrony ciała braknie. Spuśćcie się na mnie. Znajdę środek prawny zaopatrzenia was we wszystko. —

To powiedziawszy, rozkazał komendzie rozłożyć się w budowach folwarcznych, że wszelkiémi wojskowémi ostróżnościami tak względem jeńców, jako i własnego bezpieczeństwa; sam zaś z kilką tylko żołnierzami wszedł do domu, i przywoławszy ekonoma, wypalił do niego perorę religijno politycznéj treści, wyrzucając Polakóm, i mianowicie jego mecenasowi, zaślepienie ich i niewdzięczność dla Gustawa Adolfa, prawego ich króla, z czego wziął assumpt do obłożenia pana Jodkę winą za jego przestępstwo. Z całéj téj przemowy szpikowanéj łaciną, ekonom to tylko zrozumiał, że mu trzeba było złożyć *hic et nunc* w pieniądzach, fantach wiktuałach wcale znaczną summę. Po długich exku-

zach, prośbach i targu, zeszli się wreszcie na *certum quantum*, i na zgodę wypili z sobą gąsiorek wina.

Widać, że wachmistrz kontent był z téj konferencyi, bo pozwolił ekonomowi widzieć się z ks. Anzelmem. Po wzajemnych kondolencyach opowiedział nam biédny gubernator treść swojéj z nieprzyjacielem tranzakcyi, dziwiąc się, że strona silniejsza okazała w tym razie tyle umiarkowania.

—Ja to pojmuję— rzekł ks. Anzelm—i winienem oddać Krabemu tę sprawiedliwość, że rostropnie w tém sobie postąpił. Położenie jego wymaga ostróżności, najmniejsze zatém pofolgowanie komendzie w dyscyplinie mogłoby go wystawić na niebezpieczeństwo, osobliwie gdyby się żołdactwo dobrało do piwnicy. Woli tedy przestać na mniejszym, ale pewniejszym zysku. Co za szkoda, że ten człowiek, mający niektóre dobre przymioty, zaślepił swój rozum sofizmami fałszywéj nauki... Ale gdzie się obraca pani Podczaszyna i panna....?—

Jeszcze nie skończył, kiedyśmy ujrzeli na progu wachmistrza, który wykrzyknął:

—Hola! panie Gubernatorze! *moras pone, manum extremam operi impone!*— jeszcześmy się nie rozliczyli całkowicie. A waszmość, doktorze teologji, pofatyguj się ze mną. Mam na wasze usługi godzinkę czasu przed zaśnięciem. Obrócimy ją pożytecznie, dyskurując o rzeczach nieśmiertelnych. Albowiem powiedziano jest: „*Nolite thesaurisare vobis thesauros in terra. Quaerite primum regnum Dei et justitiam ejus.*

et haec omnia adjicientur vobis. Właśnie mam dla waszmości przygotowaną kwestyjkę o dziesięcinach. Ty zaś, Stefensonie, strzeż mi pilnie pana oficera (wskazując na mnie) i nie dawaj mu rozpraszać ducha, albowiem on stoi jedną nogą na dobréj drodze; utrzymuj go w tém położeniu, dopóki mu i drugiéj tamże nie postawię. Jutro przed świtem uczynię sumienny podział fantów i wiktuałów.

— I pieniędzy — przerwał Stefenson.

— *Favete linguis!* I pieniędzy, które na cześć moich kamratów *aequabiliter* podług mojéj uwagi przypadną, poczém *sine mora* wsiądziemy na koń.

— Znam ja to jego *aequabiliter* — rzekł do mnie Stefenson po odejściu wachmistrza — i pewny jestem, że przynajmniéj połowę pieniędzy *aequabiliter* do swéj kieszeni włoży, a za to wynagrodzi nam jakiemi gratami, które będziemy musieli rzucić, jako niepotrzebny ciężar. Muszę teraz pójść obejrzeć te, jak on nazywa, fanty, ażeby mi się z nich czasem nie dostał jaki czepiec niewieści w podziale. Słuchajcież, panie towarzyszu! mnie się wcale nie chce trzymać was na uwięzi, a sami wiecie, że za was odpowiadam grzbietem; więc jeśli mi dacie uczciwe żołnierskie słowo, że nie pomyślicie o ucieczce, natedy was tu zostawię bez zamka i straży.

— Daję wam je — odpowiedziałem, wyciągając ku niemu prawicę.

— A więc do zobaczenia, i to niezabawem, a spo-

dziewam się przynieść z sobą co na wieczerzę dla nas obu.— I poszedł, nócąc ulubioną swoję niemiecką piosenkę:

„Morgenroth lügt nicht,
„Dicke Magd trügt nicht;
„Ist nicht Regen so ists Wind” etc.

Zostawiony sam sobie, wyszedłem na dziedziniec, i w smutnych przechodząc się myślach, zbliżyłem się do kaplicy, któréj okna słabo się oświecały drzącym płomykiem lampy, gorejącéj przed obrazem Matki Boskiéj. Drzwi były na klucz zamknięte. Ukląkłem więc na kamieniu przed progiem i zacząłem się modlić. Piérwsza to była moja od owego nieszczęsnego momentu z Bogiem rozmowa. Przez dwie doby nie miałem siły jednego zmówić pacierza, a tylkom niekiedy ciężkie, ale niepokorne słał w niebo westchnienia. Widok kaplicy, łagodne światło wychodzące z jéj wnętrza, zwróciły myśl moję ku Bogu, a ściśnięte rospaczą serce zbywało się powoli swego ciężaru, rosząc oczy gorącemi łzami. Zatopiony w modlitwie, nie dałem prawie baczenia, iż ciemna wysoka postać koło mnie się przesunęła i za kaplicą znikła. Po chwili słyszę lekki szmer w świątyni, potém szczęknienie klucza we drzwiach wchodowych, te się zwolna otwierają, i zdumiony postrzegam rękę dającą mi znak ze środka. Odurzony, osłabiony na umyśle straszliwą moją przygodą, rozrzewniony modłami, biorę to, co widzę, za cóś cudownego, i bezprzytomnie prawie wchodzę do kaplicy, w téj myśli, że

mię duch jaki tam wzywa. Wnet się drzwi za mną zamykają, klucz obraca się w zamku, i w przytłumionem światełku lampy widzę przed sobą dwie niewiasty, w których poznaję panią Jodkowę i jéj córkę.

—Łatwo, choć bardzo boleśnie mogę się domyślić— rzekła piérwsza— żeś waszmość wpadł w niewolę. Smutny to jest los dla żołnierza; ale smutniejby jeszcze było, gdybyś został zabity. Uważam, żeś nadzwyczajnie strapiony, i nie dziwię się temu, ale trzeba mieć ufność w Bogu. My także byłyśmy w okropnéj trwodze, i ledwieśmy miały czas, zabrawszy co było z klejnocików i sréberka, schronić się w tym domu Bożym przed nieprzyjaciołmi. Mamy tu na ostatni przypadek kryjówkę w sklepiku pod ołtarzem. Na szczęście, nikogo tam jeszcze nie pochowano, bo nie wiém, czyby Kostusia nie umarła ze strachu, gdyby, broń Boże, przyszło nocować z nieboszczykami.—

Panna Konstancja nic na to nie rzekła, zdając się być boleśniéj dotknięta moją otrętwiałością, niż własném swojém położeniem. W saméj rzeczy każdy inny narzeczony okazałby radość przy podobném spotkaniu; na mojéj zaś twarzy nie ujrzała zapewne nic, prócz wyrazu głębokiéj i niczém nieukojonéj boleści serca. Zdobyłem się wprawdzie na słów kilka, by uspokoić te panie co do ich osobistego bezpieczeństwa; ale słowa moje, wyrzeczone bez uczucia i jakby z musu, zdumiały matkę a obraziły w sposób najdotkliwszy córkę.

— Wybacz mi, panie Jordanie!— rzekła pani Jod-

kowa z małym przekąsem — ale za mało okazujesz w téj przygodzie męztwa. Upadłeś, widzę, na sercu gorzéj od niewiasty. Fe! czy to przystoi na szlachcica, na wojaka? a co większa, w obec swojéj narzeczonéj!

— Ach! niech Jejmość Dobrodziejka nie wspomina o tém — zawołała panna Konstancja bolesnym głosem.

— A to czemu? moja Panno! — odparła Podczaszyna z nieukontentowaniem.— Alboż te rzeczy nie są już należycie ułożone? czyż ks. Anzelm nie prosił nas w imieniu państwa Cześnikowstwa o rękę waćpanny dla pana Jordana? i czy nie otrzymał naszego zezwolenia? czy ten układ nie był późniéj przez nawzajemne listy zobopólnie zatwierdzony? Żeście jeszcze nie zamienili pierścionków, to rzeczy nie odmienia. Jesteście, mówię, narzeczeni, obiecani sobie, to fundament, a zaręczyny, to tylko zewnętrzna ceremonja.

— Ach! to być nigdy nie może!— rzekłem ponurym głosem, opierając się o ławkę, bom się nie mógł utrzymać na nogach.

— Nie może? jak to nie może? — pytała z żywością i zadziwieniem pani Jodkowa. — Albożeś zwątpił w miłosierdziu Boga? straciłżeś na zawsze nadzieję wrócenia z niewoli?

— Najmilsza matko i dobrodziejko! — błagała ze łzami panna Konstancja — wyrzeczmy się tego nieszczęsnego związku! Ach, jam przeczuwała, że się tak stanie! — I zakryła twarz chustką, by swe przytłumić łkania.

— Cóż się tej znowu marzy ?— krzyknęła gniewnie Podczaszyna.— Oboje, Boże odpuść, zwarjowali!

— Tak jest, Mościa Dobrodziejko! — rzekłem — nie było snać woli Boga, abym dostąpił zaszczytu połączenia się z przezacnym domem waszmościów państwa. Choćbym więc wrócił z niewoli, niepodobna mi jednak będzie...

— Jordanku! drogie moje dziécię! nie kończ téj bezrozumnéj mowy! — ozwał się za nami głos przenikliwy z kąta ciemnego kaplicy; a gdym się obejrzał, ujrzałem z przerażeniem zbliżającą się ku nam cygankę Małachnę.

Czarne jéj błyszczące oczy utkwione były we mnie z wyrazem gniewu i czułości. Twarz wychudła, włos czarny popruszony szronem starości, wzrost wysoki, giesta gwałtowne, a nadewszystko niespodziewana jéj obecność w tém miejscu i w téj chwili, odurzyły mię całkowicie. Straciłem na czas władzę zmysłów, i zdawało mi się, że wszystko, co się w koło mnie działo, snem tylko było okropnym.

Cyganka, pogładziwszy mię po czole, zwróciła się ku pani Jodkowéj i rzekła do niéj:

— Nie wierz mu, Miłościwa Pani! on nie przy sobie. Ja wiém co mu jest. Biedny mój Jordaś oczarowany. Ale odeń odpędzę te czary. On się opamięta. Ja go uprowadzę z téj niewoli, i panienka mieć go będziesz.

— Nie chcę go, nie chcę — bełkotała panna Konstancja, nie odsłaniając twarzy.

Pani Jodkowa, którą ostatnie moje słowa tak boleśnie dotknęły, że w pierwszéj chwili nic wyrzec nie zdołała, uhamowawszy w sobie gniew, a dając tylko w sercu swém miejsce uczuciu obrażonéj godności, rzekła teraz z zimną powagą:

— Oczarowany lub nie pan Cześnikowicz niegodzien już jest ręki méj córki; i jedno mię to tylko boli, że się ta obelga stała domowi naszemu od syna zacnych przyjaciół i kolligatów. Odejdźmy ztąd, Konstancjo, i zostawmy sampana z Małachną. Przyzwoitsza to dla niego teraz komitywa, niżeli nasza. Pomnę wszelako na afekt przyjaźni, łączący nasz dom z państwem Cześnikostwem, i przez tę pamięć zostawują tobie, moja kochana, tę drobnostkę, którą oddasz panu Cześnikowiczowi, jeśliby w swéj dzisiejszéj niepomyślnéj doli, jak jeniec, nie miał czém opędzać swych potrzeb.—

To mówiąc, rzuciła Cygance sakiewkę i odeszła z córką do zakrystji. Zostaliśmy więc sam na sam z Małachną.

Wróciła mi teraz przytomność: zbrodnie téj niewiasty stanęły mi w pamięci, gniew i zemsta ogarnęły mą duszę straszliwym płomieniem. Byłbym się może targnął na jéj życie, gdyby świętość miejsca nie wstrzymała méj zapalczywości.

—Ha! więc cię znalazłem, nędznico! — rzekłem do niéj głosem drżącym od gniewu i zgrozy — wilczy-

co pożerająca niemowlęta i nienasycona w twéj krwawożerności!—

Małąchna wlepiła we mnie oczy z przestrachem i niepewnością.

— Mniemasz może, żem oszalał? Nie będziesz miała téj pociechy, nie okryjesz tą zasłoną twéj zbrodni. Na dowód, żem przy rozumie i pamięci, pytam: coś zrobiła z dziecięciem, z córką pana Ilgońskiego?—

Stara Cyganka zadrżała, spuściła oczy, i stała bez ruchu, jak posąg.

— Nie odpowiadasz? Więc ja ci powiém, coś uczyniła. Wiedziona piekielną zemstą, wykradłaś niemowlę, i podarowałaś je, jakby jakie szczenię, poganom na wieczną jego zatratę. Ale tą zbrodnią nie nasyciłaś twéj zemsty. Nie dość ci więc było przyprawić o śmierć matkę, o rozpacz ojca, nie dość twego nieprzyjaciela wygnać z tych okolic i pogrążyć w nieutulonym smutku— przeniosłaś wściekłość twéj niewygasłéj zemsty na tęż niewinną jego córkę; i kiedy w kilkanaście lat potém Opatrzność wyrwała cudownie z rąk pogańskiéj dziczy to dziécię chrześcijańskich rodziców, tę dziedziczkę szlachetnego rodu, tyś ją znowu z szatańską złością potrafiła porwać z domu, w którym ona znalazła przytulenie, a dla którego ty miałaś obowiązki wierności i wdzięczności, i rzuciłaś ją w szpony jéj prześladowcy plugawego poganina, gorszego od najdrapieżniejszego zwierza. Mało tego, podniosłaś świętokradzką rękę na kapłana prawego Boga, na świętego starca, który cie-

bie tylokrotnie obdarzał i wspomagał, który tak gorąco pragnął zbawienia czarnéj twojéj duszy!...—

Tu schylona dotąd i jakby martwa postać Cyganki podniosła się i ożywiła nagle, oczy jéj zabłysnęły, i uroczystym głosem, mowę mi przerywając, rzekła:

— Na wszystko, co jest u mnie i u was świętém, przysięgam, że raz piérwszy słyszę o porwaniu panny i księdza. Dziwi to was? niewierzycie? Więc się późniéj przekonacie, że Małachna kłamliwie nie przysięgała. Nie zapieram się piérwszéj méj winy, jeżeli tak się wam podoba nazywać najsprawiedliwszą zemstę; ale gdybyście mnie na wolnym ogniu piekli, nie przyznałabym się do tego drugiego porwania, bo nic o niém nie wiém. Zgaduję zarzuty, jakiemi chcecie mnie przywalić. Pozory są przeciwko mnie, Nie broniłabym się nawet, bo na cóżby mnie się to nawet przydało? Głowy mojéj témbym nie zasłoniła, kiedym się już zeznała do porwania dziecka. Wszakże mię dwa razy śmiercią karać nie będą. Jeżeli więc chcę was wyprowadzić z błędu, to jedynie dla tego, żebyście po mojéj śmierci podwójnie mię nie przeklinali. Ach! mnie dość już tego, co teraz spadło na mą głowę! Każde obelżywe słowo, któreście wyrzekli, uczułam w mych wnętrznościach jak ostrze morderczego noża. Staliście się zarazem moim sędzią i katem. Słuchajcież ostatniego wyznania umierającéj. Nie mogę dzisiaj sobie wytłómaczyć wrażenia jakie na mnie sprawiły słowa téj dziwnéj kobiety. Jéj głos, a szczególnie wzrok nadzwyczajnie

wymówny, przenikliwy, owładały moim gniewem, skrępowały, rzekłbyś, moję wolę. Mimowolnie wyższéj jakiejś ulegając sile, musiałem skłonić ucha na jéj opowiadanie.

— Z tego — mówiła — co wam się z ust wyrwało, łatwo się domyślam, że wszystko, co się między mną a moim i rodu mojego prześladowcą Ilgońskim stało, jest już wam wiadomém. Było, widać, w przeznaczeniu, żeby się rzecz ta odkryła; mało mię to więc obchodzi, bom aż nazbyt długo i nazbyt nędznie żyła na téj ziemi. Ale że ty, któregom karmiła piersiami, masz powód brzydzić się mną i nienawidzieć mię na wieki, że krwawa śmierć moja nie wyciśnie tobie z serca jednego westchnienia, jednéj łzy litości z oczu, to jest nieszczęście, to cios najokrutniejszy złego mego losu. Wszystkie moje cierpienia, (a miałam ich bez liku), porównane z obecném, zdają mi się niczém. Mówiłam ci już nie raz, moje dziecię, jak mi jesteś drogim, jakie na tobie dla biednego rodu mojego budowałam nadzieje. Nie mogłam ukryć mej odrazy do córki Ilgońskiego, bo to jest plemie mordercy mojego syna. Drżałam na samą myśl małżeństwa między nią a tobą. Życiabym własnego nie żałowała, żeby temu przeszkodzić; ale wystawić ją na śmierć lub sromotę, oddając w ręce dzikiego, nieludzkiego poganina, tegobym za nic nie uczyniła. A tem bardziéj jeszcze wzdrygałabym się na samą myśl wydania na pastwę łotewskiéj dziczy poczciwego jak ksiądz wasz starca!!

Alboż mnie rodzice nie uczyli dobrém płacić za dobre, a szkodzić tylko tym, co nam szkodzą? alboż mi nie zakazywali godzić na życie człowieka? (bo wzięte dobro może doń kiedykolwiek wrócić, a zaś odjęte życie nigdy). Otoż, czém u was są przepisy Religji, tém są u nas Cyganów rodzicielskie przestrogi i nauki. Jam zawsze postępowała tak, abym kiedyś na tamtym świecie ojcu i matce śmiało mogła pójrzeć w oczy (*). Nazywasz mnie zbrodniarką, porównywasz z wilczycą, za to, żem Ilgońskiemu porwała jego dziécię. Prawda, uczyniłam to, ale nie dla podłego zysku, nie z okrucieństwa. Ugodziłam go w serce tak, jak on wprzódy, i daleko srożéj, ugodził w moje; bo ja mu wzięłam żywcem niemowlę, on zaś w oczach moich zamordował haniebnym sposobem dorosłego mojego syna, jedyną moję podporę! Za cóż zamordował? — za mizerną kradzież, za jaką dośćby go było ochłostać, nie zaś wieszać jak rozbojnika, i to jeszcze bez urzędu, samowolną władzą, jakby poddanego chłopa! I toby miało ujść zabójcy temu bezkarnie? i jabym miała się wyrzec zemsty? A toćby mi duch mego zamordowanego pierworodnego nigdy nie przebaczył. Każdéj nocy stawała przede mną postać jego z bladą wykrzywioną twarzą, i ukazując piętno haniebnego stryczka na posiniałéj szyi, domagała się zem-

(*) Obacz o religji, moralności, obyczajach i charakterze Cyganów, wyborne dziełko P. T. Narbutta p. t.: rys Historyczny ludu Cygańskiego. Wilno 1830.

sty! I ślubowałam mu ją, bo inaczej wyrodną byłabym matką. Wzdrygasz się na to, bo tego nie rozumiesz; bo tobie przeznaczono było urodzić się szlachcicem, mnie zaś cyganką; tobie miłować córkę Ilgońskiego, a mnie pomścić się śmierci i hańby mego syna na ojcu twéj miłośnicy. Nie wiesz przytém, co to jest miłość niewiasty dla swojego dziecka, osobliwie w biednym naszym stanie, pozbawionym wszelkiéj innéj pociechy, wszelkiego szczęścia. Dla cyganki dziecko jest droższym nad życie skarbem. Alboż my winne temu, że krew, co w żyłach naszych płynie, gorętszą jest niż u waszych niewiast? Kochamy więc i nienawidzimy bez granic; a kto prawą cygankę obrazi w tém, co ona miłuje, pobudzi ją do niczém niepohamowanéj zemsty. Przebiegłość zastępuje w nas miejsce siły; a nie mogąc walczyć otwarcie z mocniejszym wrogiem, używamy podejścia. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci opowiedziała wszystkie trudy, zabiegi, przez które usiłowałam pomścić się za mojego syna nad jego zabójcą. Miałam inne, łatwiejsze środki; ale wyczytałam w sercu Ilgońskiego, że tém goręcéj żądał potomstwa, im mniéj się szczęścia tego spodziewał. Powiedziałam więc sobie: ukąszę go w serce, choćbym, jak pszczoła, zostawić miała życie moje wraz z żądłem w jego ranie. I zrobiłam to, i biedny mój Dżęga pocieszony jest na tamtym świecie, i byłam spokojną. A co do dziecięcia, nic pewniejszego, że je ocalić chciałam; i gdybym mogła lepiej gdzie ulokować, nie oddałabym nie-

winiątka pogaństwu. Ale myślałam, że kiedy ojciec nie godzien imienia chrześcjanina i szlachcica, niechże córka będzie poganką i chłopką. A do tego wiedziałam, że będę ściganą, i że mnie na tém niedostępném ostrowiu nie znajdą, bo ukryci w nim Łotysze z naszą tylko gromadą tajemne mieli porozumienia. Przebywszy u nich czas niejaki, wyniosłam się potém kradkiem za Dźwinę, i nierychło wróciłam w te strony. Wędrowałam lat z dziesiątek z gromadą mych ziomków po Litwie i Rusi, ale mię cóś zawsze do Inflant ciągnęło. Odważyłam się nakoniec, będzie temu lat cztéry, zajrzeć w okolice Auleńskie, i z wielką radością znalazłam was w tém miejscu, gdzie był wprzódy Ilgoński. Ze wszystkich jego domowników jedna tylko Agnieszka żona gajowego pozostała; lecz od téj nie byłam poznaną, bo troski i nędza srodze mię zmieniły. Jakież zaś było moje szczęście ujrzeć znowu ciebie, drogi mój gołąbku! Zdawało mi się, żem już nie bezdzietna, że się smutne moje sieroctwo skończyło. Postanowiłam więc osiąść na zawsze w pobliżu waszego dworu, abym cię mogła widywać co dnia. Spokojna już co do siebie, zachciało mi się wiedzieć, co też się stało z córką mego wroga? Dowiedziałam się, że z niéj się zrobiła urodziwa dziewka, i że miała zostać, mimo swéj chęci, żoną łotewskiego pogańskiego wurszajta. Żal mi się cokolwiek zrobiło dziewczyny; ale powiedziałam sobie: ha! to jaszczurcze plemie, to krew Ilgońskiego, nie warta więc lepszego

losu. Wystawże sobie moje przerażenie, kiedy wkrótce potém pan Cześnik ułowił ją w lesie. Wtedy już jéj i twoja przyszłość groźnie stanęła przed mojemi oczy. Przewidziałam, że ją polubisz sercem; i sam osądź, czy mię to mogło nie czynić niespokojną? Wyznaję, że mi nieraz do głowy przychodziły złe myśli, alem je precz odganiała z wrodzonego wstrętu od zbrodni. Zemstę nad Ilgońskim winną byłam synowi memu, i ta była spełnioną; gubić zaś tę dziewczynę, byłoby okrucieństwem, niesprawiedliwością i występną walką z przeznaczeniem.

— Z drugiéj zaś strony struchlałam na samą myśl połączenia się twojego z rodem tak mi nienawistnym. Jedna mię tylko cieszyła nadzieja, że się państwo rodzice twoi na to nigdy nie zgodzą. Tymczasem postanowiłam szukać dla ciebie panny godniejszéj twéj ręki. Córka jedynaczka państwa Jodków zdawała mi się zasługiwać na pierwszeństwo. Znalazłam więc przystęp do ich domu, i tyle matce i pannie naprawiłam, nawróżyłam o tobie, żem je obie znalazła nakoniec ku tobie skłonne. Dalejże ja wtedy do naszéj pani Cześnikowéj, ostróżnie, pomaleńku, chwalić pannę Konstancyę, liczyć jéj bogactwo. Słowem, że ledwieś ty odjechał, wnet i ks. Anzelm, jakby ze mną był w zmowie, podał państwu ten projekt, i rozpoczął, za ich zgodzeniem się, swatowstwo. — Tak rzeczy stały, kiedy mię Rozalja wysłała do ciebie z listem. Pamiętasz rozmowę naszą w Dyneburgu. Przekonałam się,

żeś w niéj rozkochany; ale pomimo tego, już przez przywiązanie moje do ciebie, już, jak mówiłam, przez nieprzezwyciężony wstręt do zbrodni, postanowiłam zostawić ją w pokoju, a zdać się na przeznaczenie. Słyszałam wprawdzie od jednego z moich krewnych, że ów ofiarnik łotewski zamyślał o porwaniu Rozalji i namawiał go sobie do pomocy, ale zakazałam mu wdawać się w rzecz tak niegodziwą i niebezpieczną. On mię, widać, nie posłuchał: bo już teraz w młodych niéma téj powolności względem starszych, co dawniéj; lub też może Łotysz znalazł sobie innych spólników. To tylko pewna, że mnie się nie śniło, aby podobne zuchwalstwo udać się mogło; byłam przeto spokojną.

— Po rozstaniu się z tobą w Dyneburgu wracałam do Aulji, aliści na piérwszym noclegu zdjęła mię słabość. Wpadłam w ciężką, niebezpieczną niemoc; przeleżałam kilka niedziel bez czucia; i ledwie dni temu kilka, jak cokolwiek do sił wróciwszy, uprosiłam jadącego z Dyneburga Fejmańskiego chłopa, żeby mię zabrał z sobą. Łatwo ci będzie kiedykolwiek wszystko to wyśledzić, i wtenczas się przekonasz o prawdzie tego, com ci powiedziała. Teraz wiesz już wszystko. Wyspowiadałam się przed tobą, jakby w ostatniéj mojéj godzinie. Masz prawo zemścić się nade mną, wydać mnie w ręce sędziów i domagać się méj głowy. Ta zaś, którąś umiłował, nie jest już chłopką, neofitką;

możesz ją, jako równą sobie szlachciankę i familjantkę. — — —

— Nie kończ! nieszczęsna! — wykrzyknąłem boleśnie — ona nie żyje!

— Nie żyje?! — zawołała Małachna, i oczy jéj zamigotały jakby dziką radością; ale to było uczucie przelotne, bo wnet z największą troskliwością dodała.

— Może się mylisz? możeby ją można jeszcze wyrwać śmierci? możebym ja to zdołała? — Patrzysz na mnie z niedowierzaniem! Otoż przysięgam, że teraz chciałabym ją widzieć żywą; wyrzekłam się méj nienawiści; gotowam ją kochać, jak mą własną córkę: bo czytam w twéj duszy; bo wszystko mnie przekonywa, żeście jedno dla drugiego przeznaczeni; że związek serc waszych w gwiazdach jest zapisany; że będziesz nieszczęśliwy, jeżeli ją stracisz. Słuchajże, moje słonko! nie traćmy czasu. Ja cię ztąd uprowadzę. Okryj się moim płaszczem i śmiało idź za mną.

— Napróżno — odrzekłem smutno — a oprócz tego dałem słowo, że nie ucieknę.

— Rzuć do licha twe słowo, a idź za mną. Zawierz mojemu słowu, ujrzysz twoję Rozalję.

Dziwna ta niewiasta, wyższą, rzekłbyś, obdarzona siłą, naginała mój umysł gwoli swéj chęci, jakby wiotką trzcinę. Pod urokiem jéj słów i wzroku czułem dziwne w sercu mojém zmiany. Gniew i zgroza ustąpiły niepojętéj rzewności. Czułem, iż mi niepodobna było nienawidzieć téj kobiéty. Ostatnie zaś jej

słowa wznieciły w sercu mojém jakąś nadzieję, jakąś wiarę w jéj przepowiednię. Byłem już prawie gotów iść za nią. Na szczęście, głos honoru nie dał się zatłumić wzburzeniem tylu gwałtownych uczuć. Opamiętałem się, i zrzucając z siebie czamarę, którą mnie Małachna już była okryła, powiedziałem jéj nieodzownie, że czci mojéj złamaniem szlacheckiego słowa nie splamię. Wtém ktoś zlekka do drzwi kaplicznych zakołatał, i usłyszeliśmy cicho wymówione słowa: — Swój, Anzelm.

Małachna wahała się przez chwilę, ale nareszcie na mój rozkaz otworzyła; zaledwie atoli ksiądz wszedł do kaplicy, zniknęła mi z oczu, i już jéj więcéj nie widziałem.

— Stefenson szuka ciebie, mój synu! — rzekł missjonarz. — On się lęka, żebyś nie zemknął; ale go upewniłem, że tego nie uczynisz, skoro mu dałeś szlacheckie słowo. Wachmistrz śpi jak zabity; a ja, korzystając z tego, przyszedłem tu cichaczem, pomodlić się, i kiedy się uda, mszą św. odprawić, bo wnet już minie północ. Poczciwy Stefenson nie wzbrania mi téj pociechy, postawi tylko dla ostróżności wartę u drzwi kaplicy. Spiesz więc do niego, żeby cię nie posądzał dłużéj o nieuczciwy postępek; chyba że mu nie dałeś słowa?

— Dałem je i dotrzymam; wy zaś, Ojcze, znajdziecie tu panią Jodkowę i jéj córkę ukryte za ołtarzem w sklepiku.

To powiedziawszy, wyszedłem z kaplicy. Ledwiem zrobił kilka kroków, ujrzałem się otoczonym. Był to Stefenson z kilką rajtarami.

— Ha! więc nie uciekłeś?— zawołał on z radością.

— Gdybym nie był waszym jeńcem — odrzekłem mu dumnie — domagałbym się od was satysfakcyi za posądzenie mię o niedotrzymanie słowa. Nie wiécie, widać, co to jest *verbum nobile!*

— A gdzieżeś u licha tak długo bawił?

— Modliłem się.

— A toż trzeba być okrutnym nabożnikiem, żeby się odrzec wieczerzy dla klepania psalmów. Dokompletujesz więc nabożeństwo postem, jak to wreszcie u was nie nowina. *Tardentibus ossa*, powiedziałby tobie nasz uczony wachmistrz. Pódźmyż do kwatery; a ty, bracie Nolken, stój na szyldwachu pod kaplicą; nie wypuszczaj jezuity i nie wpuszczaj tam nikogo.

Nazajutrz przed samym świtem opuściliśmy z komendą szwedzką Fejmany, ale bez przewodnika Cygana, który w nocy zemknął, okradłszy swoich strażników.

— Przeklęty to naród Cyganie!— ubolewał wachmistrz — są to prawdziwi *pergraphici Sycophantae*, o których mówi Plautus. Nic nie nada nawet trzymać takiego hultaja za kołnierz. *Anguilla est*, *elabitur*.—

Okradzeni żołnierze chcieli sobie zabonifikować szkodę z ruchomości ekonoma; lecz wachmistrz, wziąwszy na rozum, znalazł środek rozsądzenia *aequabiliter* téj

sprawy. Odsądził żałujących od połowy utraconej własności za karę ich niedbalstwa, a drugą połowę z ogólnej zdobyczy dla nich przeznaczył; na ekonoma zaś osobny sztraf nałożył za słabe, nieopatrzone kratą okienko, przez które wyniósł się Cygan; sztraf zaś ten komendantowi pocztu, to jest, sobie samemu przysądził; nakoniec dla naprawienia humoru nieukontentowanych z takiego wyroku żołnierzy dubeltową porcyę gorzałki każdemu z nich z miejscowej piwnicy assygnował.

— Rzecz to nie łatwa, mości teologu! — mówił potém do księdza — wyważać w podobnych okolicznościach sprawiedliwość. Nie spuszczam też z oka przepisu wielkiego Marka Tulliusza: *Judex non solum quid possit, sed etiam quid deceat, pondere debet.* Gmin tego nie pojmuje i sarka przeto na najsprawiedliwsze wyroki.

— Nie wiém — odpowiedział uśmiechając się ksiądz Anzelm — czy zawsze gmin niesłusznie na swych sędziów sarka; ale znałem arbitrów, których dekretom zwykle obie strony złorzeczyły, i którzy ztąd właśnie uchodzili w oczach gminu za sprawiedliwych.

— O, nasz pan wachmistrz uchodzi za *strasznie* sprawiedliwego — odezwał się jeden z rajtarów, a głośny śmiech przebiegł po szeregu. Ale polityka nakazała Krahemu puścić tę zuchwałość mimo uszu. Rzucił atoli wzrok marsowaty na szeregi, i sztrofował niektórych żołnierzy, za niedbałość w utrzymaniu szy-

ku. Najwięcej się dostało interlokutorowi i jego spólnikóm.

Ciągnęliśmy śpiecznie i bez przygody tak, iż trzeciego dnia przed południem ujrzeliśmy się nad brzegiem rzeki Ewikszty o mil cztéry od Kokenhauzu.

Szwedzi podnieśli wesoły okrzyk na widok straży placowéj swojego wojska, zajmującéj brzeg przeciwny rzeki. Wachmistrz szczególnie i dwojako z tego uradowany, wykrzyknął: — *Audentes fortuna juvat!* i z większą jeszcze jak zwykle powagą i dumą wydawał rozkazy do przeprawiania ludzi i koni.

— Mieliśmy was za straconych — rzekł do niego oficer dowodzący placówką — a wy do nas wracacie z jeńcami! Zaiste jest wam czego powinszować. Ale do jakiegoż to regimentu należy ten starzec (wskazując na księdza) w czarnéj sukni z krzyżem na piersiach?

— Jest to *veteranus militiae Antichristi*, panie chorąży! — odpowiedział Krahe — jednóm słowem, Jezuita. *Sat sapienti.*

— Ach! już rozumiem! — mówił śmiejąc się oficer — wzięliście go dla swojéj rozrywki, żeby mieć z kim dysputować o teologji? Nie prawdaż?

— Ważniejszy miałem w tém powód: chcę mu otworzyć oczy na prawdziwe światło Ewangelji.

— Vivat! godne to jest przedsięwzięcie ucznia Helsinborskiéj szkoły. Patrzcie tylko, aby wam do oświecenia starego franta nie zabrakło czasem oleju w lampie. Ale gdzież jest Biström wasz chorąży?

— Wpadł w ręce Polaków.

— Tém gorzéj dla niego, a tém lepiéj dla was, wachmistrzu! Uważam, że i juki wasze nie próżne, Musieliście się urodzić w czepcu! A my tymczasem wycierpieliśmy tysiące biéd; od Liksny do Ewikszty ścigali nas bez odpoczynku Polacy, straciliśmy cały prawie nasz tabor, i djabelnie koło nas kuso. Zaczekajcież chwilkę i opowiedzcie nam swoje przygody.

— Żałuję, panie chorąży, iż chęci waszéj uczynić zadosyć nie mogę — odparł zimno Krabe. Powinnością moją jest śpieszyć do mojego komendanta, aby mu zdać raport. To mówiąc, oddał poważnie wojskowy ukłon oficerowi, i pociągnął wskazaną mu przez żołnierzy placowéj straży drogą ku obozowi szwedzkiemu pod Kokenhauzem. Rozgniewany dowódzca placówki krzyczał mu na pożegnanie: — Bodajbyż cię czart udusił, przeklęty pedancie! niedopieczony teologu! nie napchany miechu! ale te i tym podobne przekleństwa, co się gradem sypały, nie wzruszyły stoickiéj wachmistrza flegmy. Kiwając głową, mruknął: — *Numerus stultorum infinitus*, i spokojnie zapalił fajkę.

XVII.

Główna kwatera króla Gustawa-Adolfa była w Kokenhauzkim zamku; oboz szwedzkiego wojska rozłożony był na pół-mili od zamku między Dźwiną i Dyneburskim gościńcem; dywizja jenerała Laskopela, do któréj należał hufiec prowadzony przez wachmistrza Krahe, zalegała brzeg rzeki na prawém skrzydle obozu. Wypadło nam tedy dla skrócenia sobie drogi zawrócić z gościńca ku Dźwinie, przeszedłszy wprzódy strumień, który o kilka ztamtąd stai, tocząc się z wielkim łoskotem po skalistém łożu, tworzy piękny, długi wodospad. Rzekłbyś, iż to ręka ludzka wyciosała w wapiennéj skale olbrzymie schody, po których spieniony potok, przeskakując ze stopnia na stopień, wpada nakoniec z potężnym łoskotem w objęcia matki rzek Inflanckich. Szum tego wodospadu łączy się dziwną

harmonją z głośnym szmerem Dźwiny, płynącej tu między stromemi, na stop kilkadziesiąt od jéj poziomu wznoszącemi się skałami, po dnie również skalistém. Widocznie rzeka torowała sobie niegdyś drogę przez te ogromne pokłady skał wapiennych, i utworzyła z nich swe wieczyste koryto, otoczywszy się wysokiemi ściany, a wysławszy łoże bryłami tejże opoki. Tak uwięzione jéj wody, ustawne w swym biegu napotykając zawady, już się roztrącają o szkopuły, któremi dno jest najeżone, już wściekle tłuką w niepożyte ściany. Z téj nieustającéj walki rzeki z opoką, powstają wielorakie nurty, któremi pędzą rozhukane fale, i biada statkowi kierowanemu ręką nieświadomego sternika! Jeden ruch fałszywy rudla wpędzić może szkutę na rafę i zatopić lub rozbić nawet w sztuki. A jednak oswojeni ze swoją rzeką Łotysze umieją zręcznie wywijać się między te groźne zapory, i nie tak się często zdarzają rozbicia, jakby z wielkości niebezpieczeństwa wnosić wypadało.

W tém miejscu kazał wachmistrz komendzie zsiąść z konia, wypocząć i opatrzyć się należycie, aby się potém pięknie i szykownie stawić przed dowódzcą.

Rozłożyliśmy się na małéj płaszczyznie nad przepaścistém urwiskiem skały, pod którą szumiała rzeka. Przyległy parów zarosły krzewiną dostarczył paszy dla koni.

Szczęśliwy Krahe przechadzał się z miną tryumfującą, perorował, musztrował żołnierzy, oglądał rzędy

i rynsztunki, pasł z roskoszą oczy widokiem jeńców, nadymał się i puszył w oczekiwaniu spaść nań mających nagród i zaszczytów.

— Jednej mi tylko rzeczy — rzekł do księdza — niedostaje do zupełnego tryumfu. Pobłogosławił Bóg świeckiemu orężowi memu, ale nie tak się stało, co do oręża duchownego. Oparł się tą razą szatan sile mego ramienia, zatwardził wasze serca przywiązane do papiezkiej wiary. Nie zdołałem żadnego z was wyrwać z rąk Antychrysta! Jakaby to była dla mnie sława, gdybym mógł choć jednego z moich brańców katolików przedstawić wielkiemu mojemu monarsze, jak protestanta. Nie takby dumnie wtedy nadworny predykant, a niegdyś szkolny mój kollega, Fabricius na mnie spoglądał.

— Wiecie co? panie Krabe! — odparł ksiądz — lepiejbyście zrobili, wyrzekając się sami waszej wiary, o której błędach dostatecznie, zdaje mi się, was przekonałem.

Na te słowa zaperzył się okrutnie exkandydat teologji Helsinborskiej szkoły, i rozpoczęła się między nim i jezuitą żwawsza niż kiedy religijna dysputa. Gradem leciały cytacye, syllogizmy, dilemmata krzyżowały się bez końca, aż biedny Krabe zupełnie ochrzypł. Nie chcąc jednak ustąpić przeciwnikowi, krztusił i chrachał jak mógł swoje argumenta, nadrabiając słów niedostatek energicznemi giestami, aż wtem niespodziany wypadek przerwał ten scholastyczny pojedynek, i niespodzianie biednego wachmistrza wielkiego nabawił kłopotu.

Na ścieżce wychodzącej z parowu ukazało się kilku jeźdźców. Na ich czele był młody człowiek na pięknym dzianecie, w strojnym myśliwskim ubiorze. Strusie pióra pływały na jego czarnej aksamitnej perłami bramowanej czapce, na ręku miał Norwegskiego sokoła. Niepostrzeżenie zbliżył się do dysputujących, i wstrzymawszy konia, przypatrywał się im chwilkę z wielką ciekawością. Zanosząc się wreszcie od śmiechu, zwrócił na siebie uwagę wachmistrza, który widokiem jego jak piorunem uderzony, stracił przytomność i stał jak skamieniały.

— Kto jest ten młody pan? — zapytałem półgłosem stojącego obok mnie Stefensona.

— Jest to książę Lauenburg, krewny i poufały naszego króla — odszepnął mi rajtar.

— Trafiłem na komedyę — rzekł śmiejąc się książę — aktorowie doskonali, dialog pełen akcyi i zapału... No, dalejże, mistrzowie krotofilnej sztuki! kończcie waszą scenę. Przybycie nasze powinno wam dodać otuchy... Ten siwosz, (wskazując na księdza), odziany w barwę papiezką, reprezentuje zapewne Antychrysta, a ty, mój waleczny, przywdziałeś zbroję i przepasałeś biodra do walki z babilońską nierządnicą. Jutro będziecie musieli powtórzyć wasze *Mysterium* (*) w zamku. Zamelduję was monarsze.

(*) *Mysteriami* zwano dawniej sztuki sceniczne lub dramatyczne religijnej treści.

Wachmistrz, opamiętawszy się, salutował księcia, otworzył gębę, ale schrzypły aż do utraty głosu, chrachał tylko niezrozumiale, wskazując z rozpaczą na swój gardziel.

— Maż to znaczyć — pytał śmiejąc się książę — że twój antagonista rzucił ci kość w gardło? Strzeż się, bracie Mimusie, takiego rozwiązania sztuki. Królby ci to może jeszcze przebaczył, ale żarliwy Fabricius nie ręczę, żeby nie rzucił na ciebie klątwy.

Wachmistrz chciał się tłumaczyć; ale nie mogąc wydobyć głosu, tem gwałtowniej robił giesta z wielką pociechą książęcia i jego assystencyi.

Obracając się do księdza, rzekł książę:

— Ponieważ więc ten głupiec oniemiał, ozwijże się ty, czarny kruku, i zakracz nam jaką antyfonę; a nie, to was obu każę skąpać w Dźwinie.

— Nie udaję kapłana Rzymsko-Katolickiego Kościoła, ale rzeczywiście nim jestem — odpowiedział poważnie ksiądz Anzelm, ukłoniwszy się z uszanowaniem książęciu.

Lauenburg zmierzył go wzrokiem i szyderskim rzekł doń tonem: — A cóż tu porabiasz, mości rzymski kapłanie, śród naszego obozu? Wysłałże cię Gąsiewski nawracać Szwedów do papiezkiej wiary i do króla Zygmunta? Taka missja drogo cię może kosztować.

— Nie z dobrej woli, szlachetny panie, stoję tu przed obecnością waszą, lecz jako jeniec.

— Wojowałeś tedy świeckim orężem? Czyś nie jest czasem legatem papieża w polskim obozie? naśladówcą Adhemarów, Cezarinich i Konsortów?

— Nie mam tego zaszczytu. Jestem ubogi missjonarz, wędrujący po puszczach dla nawracania pogan do wiary Chrystusowéj.

— Pleciesz mi ambaje! Jeżeliś tak łasy na tę apostolską źwierzynę, trzeba ci było pójść w lasy nowego świata. W tutejszych puszczach nie znajdziesz męczeńskiéj palmy, chyba cię wilcy zjedzą na chwałę twojego Boga.

— Przepraszam waszą miłość, są jeszcze w tym kraju szczątki pogańskiéj Łotwy, ukrywające się w niedostępnych lesnych dąbrowach. Właśnie była jedna z takowych osad odkrytą, kiedy mnie żołnierze wasi z pośrodka niéj porwali.

— Rzecz dziwna! Ani mi się śniło, że są jeszcze czciciele dawnych bóstw Inflanckich. Biédni ludzie! wpadli-że w dobre ręce! Szkoda prawdziwie, że nasi żołnierze przeszkodzili tobie pięknéj twojéj robocie. Pozapalałbyś stosy, piekłbyś upartych bałwochwalców. i mniemałbyś się wielkim inkwizytorem, jak ów wasz założyciel *Autodafeów* Dominik lub Torquemada, których posągom kłaniasz się pobożnie. Ale powiedz mi, mój Apostole, jakiém czołem zabraniasz biédnym Łotyszom niewinnego ich bałwochwalstwa ty, który sam jesteś *idolatrą?* Azaliż obaliwszy ich bałwany, nie postawisz im na to miejsce innych swojéj roboty

i w większej daleko liczbie? Wierzaj mi, zostaw im lepiej ich dęby, jemioły, źródła, ich śpiewy, tańce i całopalenia. Obrzędy te przypominają klassyczne piękności starożytnego polyteizmu. Jeżeliś czytał Homera, a chcesz być szczérym, wyznasz, że w nim jest więcéj piękności, aniżeli w całej poezji kościelnéj. Utrzymywać, że Bogu więcéj się podobają wasze hymny i antyfony, albo — dodał półgłosem — choć i nasze protestanckie pieśni i psalmy, jest to odmawiać Przedwiecznemu poetycznego uczucia.

Ksiądz Anzelm nic nie odpowiadając, wlepił w książęcia wzrok pełen politowania, a potém podniósł oczy w niebo, jakby prosił Boga o upamiętanie bluźniercy.

Lauenburg, pomimo swéj nadzwyczajnéj dumy i zarozumiałości, nie mógł wytrzymać potęgi tego wymównego spójrzenia. Cień pewnego zmięszania przemknął po hardéj jego twarzy, i odwracając się od księdza, rzekł niecierpliwie: — Czyliż tu niéma kogo rozsądnego, coby mi wytłumaczył całą tę komedyę.

Wtedy Stefenson, jako najstarszy stopniem po wachmistrzu, widząc, iż ten nie był w stanie zdać książęciu sprawy, przystąpił z uszanowaniem, i oddawszy wojskowy ukłon, opowiedział pokrótce historję całéj swéj wyprawy.

Ksiądz Anzelm tymczasem wrócił na swoje miejsce między nas jeńców, i wtenczas się ode mnie dowiedział o nazwisku tego młodego szwedzkiego magnata.

— Okropny jest stan duszy tego młodziana — rzekł do mnie Missjonarz — pycha owładała nim całkowicie, wysuszyła mu serce, zaślepiła rozum, a wyuzdawszy naturalny dowcip, uzbroiła najzuchwalszém szyderstwem.

Książę Lauenburg, wysłuchawszy raportu Stefensona, zapytał:

— A pocóżeście u licha zabrali tego starego księdza w niewolę? On, spodziewam się, nie dobył na was pałasza?

— Wachmistrzowi naszemu zdawało się, iż go wziąć należało z uwagi, że on Jezuita.

— Jezuita! — zawołał Książę. — Ha! to rzecz wcale inna. Jezuitą gardzić nie godzi się. Lepiéj jednak było obwiesić go na piérwszéj gałęzi. —

To powiedziawszy, ruszył koniem i ku nam podjechał.

Smutna była w ciągu tego czasu postawa biednego Krahe. Stracił nader piękną sposobność zdania książęciu z wielką dla siebie chlubą raportu o tak szczęśliwie odbytéj wyprawie, opisać swe waleczne czyny, i prezentować jeńców jako trofea swego zwycięztwa. Usiłował atoli jakikolwiek mieć udział przy zdaniu sprawy przez swego zastępcę Stefensona; machał więc rękami, kiwał lub trząsł głową i mrugał oczyma, chcąc niejako pomagać mu temi znakami w opowiadaniu wypadków. Komiczne te giestykulacje śmieszyły niepomału assystencję książęcia.

Jakem już powiedział, stanowisko nasze było na małej płaszczyznie tuż przy stromym przepaścistym brzegu Dźwiny. Lauenburg podjechał ku nam, obejrzał nas z zimną pogardą i rzekł do oficera swego orszaku: — Patrząc na tych nędzników, wiesz, Ankerströmie, jaka myśl przyszła mi do głowy? Oto, przypomniałem sobie sposób, jakim niegdyś wódz protestantów we Francji, ów sławny Baron Des-Adrets, expedjował w Delfinacie katolików, co mu wpadali w ręce. Kazał im skakać z wysokiej skały do rzeki. Wielką miałbym ochotę wyprawić tu dla Polaków podobne igrzysko. Jezuita rozpocząłby taniec, i byłoby śmiechu, bo miejsce po temu. Brzeg ten jakby umyślnie stworzony do téj zabawy. Skała stroma i dostatecznie wysoka, aby tancerz wywrócił na powietrzu kilka koziełków, nimby ostatnie zrobił *salto-mortale* w Dźwinie. Djabelna mię bierze pokusa.

— Ale coby na to powiedział Król? Mości Książę! — odrzekł zcicha Ankerström.

— Ha! Król! — wyjąknął Lauenburg z dziwném wzruszeniem, i zwracając się do mnie, zapytał twardym tonem:

— Stopień wasz wojskowy?

— Towarzysz pancerny znaku Wojewody Gąsiewskiego — odpowiedziałem.

— Ha! to was jest tu dwóch towarzyszy, (wskazując z urąganiem na Księdza), bo i to także towarzysz. —

Słowa te przerwał okrzyk z orszaku książęcia: Czapla!

— Gdzie czapla?— zawołał Lauenburg, zwracając nagle konia od Dźwiny, tak, iż ledwie księdza nie stratował.— Aha! widzę ją.— I zdjąwszy sokołowi kapturek z głowy, wykrzyknął:— Dalejże! mój skrzydlaty rycerzu! pokaż nam, żeś prawy Skandynawczyk, król twojego rodu! — Szlachetny ptak, ujrzawszy w powietrzu swoję zdobycz, roztoczył w oka mgnieniu potężne skrzydła. Wtém, bądź że koń książęcy przestraszył się tym niespodzianym szelestem, bądź że niecierpliwy jeździec, zajęty przedmiotem ulubionego jemu polowania, ściągnął nieuważnie cugle, rumak spiął się i bystro cofać się zaczął ku przepaści. Wszystkich oczy zwrócone były w górę, nikt więc zrazu nie dostrzegł grożącego książęciu niebezpieczeństwa. On sam zapoźno je ujrzał. Zadnie kopyta wierzchowca były już na krawędzi urwiska; jeszcze krok wsteczny, a nowy *Des-Adrets* sprobowałby tego skoku w rzekę, na który nas wystawić tak niezmyśloną miał ochotę. Osobliwszém szczęściem byłem blizko niego, i w czas spostrzegłem straszliwe jego położenie. Uchwyciwszy tedy z boku munsztuk u samego wędzidła, targnąłem nim ze wszystkich mych sił, i zmusiłem osadzonego na zadnich nogach konia do skoczenia na przód. Lauenburg został uratowany. Twarz jego okryta była bladością śmiertelną. Chciał coś do mnie wyrzec, ale drgające usta odmówiły mu na ten raz posługi. Zeskoczywszy z ko-

nia, uderzył go silnie pięścią w głowę, i rzekł do jednego ze swych giermków, trzęsąc się od gniewu:— Włóż mój rzęd i siodło na twojego konia, bo na téj przeklętéj bestji nigdy już jeździć nie będę.—

Sokoł tymczasem, szybując powietrznemi szlaki, uganiał się za czaplą. Ptak długo-nogi zaledwie postrzegł nieprzyjaciela, wnet jął ze wszystkich sił unosić się wyżéj i wyżéj, a sokoł go prześcigać, aby nań mógł uderzyć z góry. Ale czapla dziobem ostrym, na długiéj osadzonym szyi, grozi przeciwnikowi jak spisą na wszystkie strony, a zręcznie kołując w locie, zmusza go do ciągłego także krążenia. Po niedługim czasie mieszkaniec skał nadmorskich Norwegji, prześcignąwszy w locie wodoziemnego ptaka, zniknął nam prawie z oczu; czapla zaś, wydając krzyk przeciągły, żałośny, nie mogła już uniknąć dzielnego jego natarcia. Wnet też ujrzeliśmy jak błyskawicę z obłoku spadającego na nią sokoła; lecz w témże mgnieniu oka czapla, zarzucając na grzbiet długą swoję szyję, nastawiła dziob tak trafnie w górę ku nieprzyjacielowi, że rozpędzony w locie sokoł ugodził całym swoim ciężarem w ostrze śpiczastego, twardego jak grot włóczni dziobu, i nawśkróś nim przebity spadł bez duchu na ziemię. Zwycięzka czapla, ogłosiwszy swój tryumf powtórnym przerazliwym krzykiem, uleciała swobodnie za Dźwinę.

— A do miljona kroć set tysięcy djabłów!— zawołał, zgrzytnąwszy zębami Lauenburg — trzebaż, żeby mię w jednéj prawie chwili takie przeklęte spotkały

przygody! Sokoła tego nie oddałbym za tysiąc talarów. Trzeba będzie jeszcze wytrzymać żarciki Najjaśniejszego Pana.—Czy djabli was mi tu nanieśli w złą jakąś godzinę?—rzekł do przerażonego wachmistrza.—Szkoda, żeście nie zostawili kości waszych w tych bagniskach, w którychbeście ułowili tego gada papiezkiego, tego Jezuitę! Śmiałeś się nieraz, Ankerströmie, z méj wiary w prognostyki. Oto patrz, czy nie sprawdził się dzisiaj przesąd łowiecki, że spotkanie księdza lub baby na polowaniu wróży niepomyślność?

— Dziedzic zamku Segewald ma parę jastrzębi, nieźle, jak słyszałem, dresowanych—odezwał się z orszaku sokolnik książęcia.— Onby, zdaje mi się, waszéj ks. mości przysługi téj nie odmówił.

— Idź do djabła z jastrzębiami! stary głupcze!— odrzekł z marsem Lauenburg — chcesz chyba, bym polował z niemi na chłopskie kury!... A to djablica czapla! Nie zapomnę jéj, choćbym miał żyć Matuzalowe lata!— No, wracajmy do Kokenhauzu; tylko proszę, żeby nikt z was nie rozgłaszał tego przypadku, osobliwie w zamku.—To powiedziawszy, dosiadł konia i śpiął go ostrogą, ale raptem osadził go w miejscu, i skinąwszy na mnie, abym się przybliżył, rzekł łagodniejszym tonem:

— Ledwiem w tém zamięszaniu nie zapomniał, ilem ci obowiązany, młody człecze! Możesz liczyć na moję protekcję, a tymczasem odbierz mały ten dowód méj wdzięczności.

Z temi słowy zdjął z siebie kosztowny złoty łańcuch, i rzuciwszy mi go, odjechał.

Nieszczęśliwy wachmistrz podniósł oczy w niebo z bolesnym wyrazem, jakby słał skargi na niesprawiedliwe losy. Po długiém kaszlaniu odzyskawszy cokolwiek głosu, rzekł chrapliwie:— *Eheu! hoc erat in fatis!* Ktoby przewidział tak smutny obrót rzeczy? Utracić głos w chwili, kiedy mi był najpotrzebniejszy! uzbierawszy laury, widzieć je sobie zerwane z głowy wiatrem ślepego trafu! *Veni! vidi, vici,* i cóż mi z tego? *Tulit alter honores*, szczęśliwszy odemnie młodzik, *imberbus*. Amalecyta wziął nagrodę, a mnie obelgi dostały się w zysku. Czy nie skutek przeklęctwa oficera nad Ewiksztą? Fatalna chrypka! drugi raz mi już ona podobny płata figiel. W Helsinborgu, pamiętam, wypadło mi na examinie publicznym z teologji dysputować *de Coena Domini, contra fanaticos Sacramentariorum errores;* i powiém bez próżnej chluby, żem się popisywał jak najpiękniéj; aż tu śród najświetniejszego perjodu, śród zwycięzkiego właśnie argumentu, niegodziwa ta chrypka ni ztąd ni zowąd nagle głos mi zatamowała. Urselius powiedział mi wtenczas: *Sinistro fato genitus es, Ricarde!*— alem ja mu na to odparł, z wielkim applauzem obecnych professorów: *Fatale exitium corde durato feram.* Otoż powtórzę słowa te i w dzisiejszej okoliczności. Jeszcze nie wszystko stracone. Do koni! bracia! Spieszmy stanąć przed wieczorem w obozie, aby słońce dodało świetności wjazdowi wra-

cających zwycięzko z niebezpiecznej wyprawy. Niech żyje król Gustaw Adolf! bohater swojego wieku!—Te ostatnie słowa chcąc wymówić z zapałem, zbyt widać głos natężył niefortunny Krahe, bo się srodze zakrztusił, i chrypka wróciła do swego pierwszego stopnia. Spuściwszy tedy głowę, smutnie chrachnął: *Eheu! hoc erat in fatis!*

XVIII.

Nazajutrz przeprowadzono nas jeńców z obozu do Kokenhauzkiego zamku. Zapomniałem na chwilę o mych cierpieniach na widok cudownego téj twierdzy położenia. Rzec można, iż natura ukochała szczególnie naddźwińską tę okolicę, tak hojnie ją przystroiła w najpyszniejsze wdzięki.

Zamek i miasto Kokenhauz leżą na podłużnym spłaszczonym grzbiecie ogromnego opoczystego wzgórza, wznoszącego się stromo od południowéj strony nad brzegiem Dźwiny. W gęstych jego urwiskach wapienna skała prześwieca się długiemi pasmami, a kolor jéj już białawy, już jasno-żółty, z różowym gdzie niegdzie odcieniem, nader wdzięcznie odbija od zieloności traw i nizkich krzewin, rosnących w miejscach pokrytych ziemią. Z murów zamkowych wzrok naprzód pogrąża się

w prześliczną dolinę zamkniona od wschodu zamkową górą, od zachodu zaś ku północy okolona wązkiém pasmem stromych pagórków, ubarwionych rozliczną zielonością drzew liściowych i krzewów. Tu i ówdzie bieli się śród tych mass zieloności naga opoka, lub srebrzy się ponik wytryskujący z ukrytych w jéj łonie źródeł. Dolinę przebiega bystra rzeczka Kokna (*). Tocząc się po skalistém łożu, pieni się, mruczy, spada podwakroć z łoskotem z opoki, jakby się rwała niecierpliwie ku Dźwinie, która ją pochłonie. Po obu brzegach téj swawolniéj rzeczki wyzierają łączki z pomiędzy kupek drzew rozmaitego kształtu i liścia, a między drzewami sterczą bryły opoki, oderwane pędem wiosennych potoków od ścian skalistych pagórków i rozrzucone po dolinie jakby jakie monumenta. Po tych pięknościach błąka się wzrok roskosznie, dopóki, śledząc kręty bieg strumienia, nie zwróci się ku wspaniałym nurtom Dźwiny, i w końcu nie spocznie na sędziwych basztach twierdzy, wznoszącéj się na przeciwległym brzegu w Kurlandji (**).

W zamku (2) było ludno, albowiem oprócz załogi, cały orszak króla Szwedzkiego z głównym sztabem armji gmachy jego zajmował. Pomimo jednak tak wielkiéj liczby zbrojnych i służby, w ciągłym będących ru-

---

(*) Od téj rzeczki wziął zamek swe nazwisko *Kokenois*, co oznacza: *Przylądek Kokny.* Dzisiaj rzeczka zowie się *Perse.*

(**) Rozwaliny téj warowni widne są jeszcze, i zowią się dziś *Altona.*

(2) Patrz przypisek na końcu tomu.

chu, nie słychać było głośnego gwaru, nie widać było ciżby, wszystko tak regularnym tam szło trybem, tak ściśle zachowywała się karność, tak punktualnie i ochoczo każdy wszelkiego stopnia wojskowy lub dworzanin spełniał swe obowiązki. A co jeszcze godniejsza podziwu i uwielbienia, to, że miłość, jaką Gustaw-Adolf umiał ku sobie natchnąć swoich poddanych, była główną pobudką ślepego ich posłuszeństwa. Wielki ten człowiek wywierał jakiś niepojęty urok na wszystkich, co go otaczali; nieprzyjaciół nawet swoich rozbrajał dziwną swą łagodnością, wzbudzając oraz cześć ku sobie postawą i powagą prawdziwie królewską.

W południowym rogu gmachu, na drugiém piętrze zajmował Monarcha pokoje niegdyś od arcybiskupów zamieszkiwane. Część ta zamku najmniéj ukazywała śladów szturmów i wojennych przygod, których on był w ciągu czterech wieków tyle razy teatrem, a wnętrze pokojów godne jeszcze było mieścić w sobie tak wysokiego gościa. Reszta sal, komnat i korytarzy świadczyła o zaciętych walkach, co się tu staczały, równie jak i o niepospolitéj gruntowności tych warownych murów, okrytych, jak waleczny sędziwy wojak, licznemi bliznami, ale czerstwych i niepochylonych.

Wprowadzono nas do zamku przez Dźwińską bramę. Komendant Szwedzki zszedł na dziedziniec, i odbywszy ze zwykłą formalnością przyjęcie jeńców, rzekł do mnie:

— Mieliście szczęście oddać ważną usługę krewnemu Najjaśniejszego Pana, Książęciu Jmci Lauenburgskiemu. Mam więc rozkaz opatrzyć was we wszystko, co do waszéj potrzeba wygody. Wewnątrz murów zamkowych możecie używać wszelkiéj godziwéj swobody, wyjść wam z nich tylko nie wolno. —

To rzekłszy, rozkazał ludzi moich wieść do przeznaczonego dla nich miejsca, a z niemi i ks. Anzelma, na którego ze wstrętem zdawał się poglądać, tak nienawistni są protestanci ku Jezuitóm.

Ruszyła straż z jeńcami, i ja za niemi; co widząc Komendant, zawołał, żebym się zatrzymał, jako dla mnie wygodniejszą kazał naznaczyć kwaterę.

— Jeżeli łaska pana Generała — odrzekłem — niech mi będzie wolno nie rozdzielać się z moim duchownym ojcem, z księdzem.

— Powiedziałem już, żeście swobodni, a zatém możecie się lokować z kim się wam podoba; ostrzegam tylko, że tam wielkich wygod nie znajdziecie.

— Nie przystałoby mnie w mojém położeniu być wymagającym. Przyjmuję z wdzięcznością oświadczone mi łaski, rad szczególnie, że jw. pan skłanieć się raczysz do méj prośby.

— Przeklęty ten zakon — mruczał odchodząc z nieukontentowaniem komendant — djabelskie widać ma sposoby fanatyzowania młodzieży. Ten młody głupiec dałby się rozsiekać za swojego duchownego ojca, a raczéj zwodziciela! Tpfy!

Zostaliśmy umieszczeni obok głównego odwachu, w obszérnéj, ale źle oświeconéj, wilgotnéj izbie. Proste ławy i stoły za cały sprzęt, a po kulu słomy na człeka dano nam za posłanie. Pomimo atoli tych niewygod, doznawaliśmy pewnego rodzaju pociechy, nie widząc wokoło siebie hardych naszych zwyciężców. Jedną bowiem z największych katuszy niewoli wojennéj jest to być okrążonym ludźmi, z któremi nic nas nie łączy; których myśli i chęci całkiem są naszym przeciwne; których widok boleśnie przypomina, żeśmy się im poddać musieli; których litość nawet jest nieznośną, bo upokarzającą. Dodać do tego jeszcze różnicę religji, niszczącą do reszty braterski między ludźmi związek; a każdy się zgodzi, że posiadający cokolwiek szlachetnych uczuć człowiek nie zdoła znosić obojętnie moralnego stanu takowego udręczenia; chyba że go, jak mnie wówczas, sroższe skądinąd cierpienie duszy uczyni już na wszystko w świecie nieczułym.

Jest jednak siła podnosząca człowieka do téj wysokości, na któréj już go nie dościgają pociski losu, a tą cudowną siłą jest żywa wiara. W ks. Anzelmie jawny jéj widziałem skutek. Moja rezygnacja pochodziła ze wstrętu do życia; w moich podkomendnych widna była bierność dusz gminnych, ograniczonych w sferze fizycznego bytu; jeden tylko kapłan z umysłem wzniosłym, z sercem czułości pełnem, zdołał potęgą czystéj miłości Boga i bliźniego wyprowadzić z samego nieszczęścia źródło prawdziwéj pociechy. Na czole jego

sędziwém jaśniała pogoda, po ustach słodki przebiegał uśmiech, ojcowskie oko rzucało pełne czułości spójrzenie po wszystkich towarzyszach niedoli. Ani się obejrzał w tém smutném mieszkaniu; zapomniał o sobie samym, zajęty cały swojemi, jak nas wszystkich nazywał, dziećmi.

— Uważcie tylko — mówił — najmilsi, jak dobry nasz Bóg, jak pełen ku nam litości! Oto wejrzał miłosiernem okiem na uciśnionych, i zjednoczył braci, aby siebie wzajem pocieszali, dopóki nie wybije dla nich godzina wyzwolenia. Zbyliśmy już połowę biedy, bośmy razem, bo złączonemi synowskiemi głosy chwalić możemy naszego Niebieskiego Ojca. Złożmyż Mu dziękczynienie za to dobrodziejstwo, poświęćmy serdeczną modlitwą ściany naszego więzienia. Dawno już zapewne w tém miejscu nie obijały się pobożne głosy. Niechże dziś czarne te sklepienia zabrzmią chwałą Pana Zastępów.

Padliśmy wszyscy na kolana, i podczas kiedy w przyległéj kordygardzie rozlegał się gwar niesforny Szwedzkiego żołdactwa, z naszéj izby wznosił się ku niebu łagodny szmer wzruszonych głosów, powtarzających za kapłanem modlitwę godną być przez Aniołów zaniesioną przed Majestat Najwyższego. Kiedyśmy powstali, usłyszałem jednego z usarzy mówiącego zcicha do swego towarzysza: — Uwierzysz-li, Stachu, żem zapłakał kromkę? Od śmierci staréj mojéj matki, a już temu lat nie wiem wiele, raz pierwszy taka mię zdybała kon-

fuzja. Dyć to ten dobrodziej Jezuita kiedy się rozgada z Panem Bogiem, to jakby cebulą oczy ludziom nacierał. Oto i u ciebie na' pysku krople. Cieszę się, żem nie ja jeden był kieby baba.

— Dziękujemy ci, Jordanie, żeś nas nie opuścił — rzekł do mnie ks. Anzelm, ściskając mi głowę — i będziesz miał za ten dobry uczynek nagrodę. Ani się spodziewasz, co tobie i tym poczciwym chłopakom gotuję. Oto jutro ze świtem, nim się Szwedzi przebudzą, mszę świętą dla was tu odprawię... Zdziwionyś? bo ty jeszcze nie znasz wszystkich naszych Missjonarskich prerogatyw. Wolnym czasem pokażę ci moje dyspensa, z podpisem *notandum* samego Najwyższego Pasterza. Wolno mi tedy, w pewnych zdarzeniach, podług mej uwagi, w każdem miejscu odprawić ś. ofiarę. Na szczęście, opatrzony jestem we wszystko, co jest koniecznem do tego aktu; albowiem kiedy mnie rabusie porwali w lesie z Rozalją, byłem właśnie wrócił od chorego, i miałem na sobie oto tę moję podróżną missjonarską bursę z całym porządkiem mszalnym. W Fejmańskiej kaplicy opatrzyła mnie pani Jodkowa w opłatki, wino, i woskowe ogarki, bom miał nadzieję w Bogu, że mi będą potrzebne; i oto w samej rzeczy, za łaską Jego, nakarmię siebie i was najmilsi anielskim chlebem. Kto wie, czy nas jutro nie rozłączą. Korzystajmy z tej chwili, której nam Niebo udziela, oczyśćmy sumienie z grzechów, a Przenajświętsze Ciało i Krew Zbawiciela niech nam do duszy wprowadzi pokój, cierpliwość i

ufność w nieprzebranem miłosierdziu Jego. Dzień dzisiejszy obróćmy na ćwiczenia pobożne. Przygotuję was, dzieci moje, do SS. Sakramentów Pokuty i Kommunji. Przed świtem wy odprawicie spowiedź, a ja równo ze dniem odprawię mszę i przypuszczę was do stołu Pańskiego.

Ktoby widział niezmordowany zapał tego świątobliwego starca w ciągu tych kilkunastu godzin, musiałby ze mną uznać, że go Niebieska wspierała siła. Schylony wiekiem, strudzony tylą świeżo poniesionemi trudami i niewygody, po raz drugi w przeciągu dni dziesięciu więzień i ledwie nie męczennik, miasto użycia potrzebnego skołatanemu ciału odpoczynku, dobrowolnie się znowu wystawił na ciężką pracę, ostatki sił swoich z radością niosąc w ofierze chwale Boga i pożytkowi dusz bliźnich. A kiedyśmy go prosili, żeby trochę odpoczął. — O, moje dziatki — odpowiadał z uśmiechem — o to się nie troszczcie. Mój odpoczynek niedaleki. Jak przyjdzie godzina, Pan mój przywoła mnie do siebie na wieczne w Nim odpoczywanie, a tymczasem na tę zapłatę zasługiwać trzeba, pracując ze wszystkich sił w Jego winnicy.— I rozpoczynał znowu duchowną naukę czystym dobitnym głosem, jakby z niewidomego źródła czerpał i przelewał w siebie młodzieńcze siły.

A z jaką to nieprzepartą mocą, z jakiem oraz namaszczeniem wykładał nam święte prawdy wiary, kruszył niemi zatwardziałe serca, oświecał ciemne umysły swoich penitentów, których krwawe rzemiosło, koczu-

jące życie i rozpasane obyczaje, zdawały się czynić nieprzystępnemi wszelkiemu pobożnemu natchnieniu! Cudowna wymowa kapłana przenikała nawskróś szorstką i twardą skorupę serc tych przed chwilą nieczułych, przebijała się przez grube czaszki głów tych pokiereszowanych zewnątrz, a pełnych wewnątrz myśli krwawych lub płochych. Dzień cały przeszedł na modlitwie, nauce duchownéj i rachunku sumienia. Po kilku godzinach snu obudził nas ks. Anzelm, i zaczął słuchać spowiedzi. Ledwie skończył, rozwidniało. Wtenczas kapłan wydobył z bursy święte naczynia, pokrył koszlawy stolik białym płatkiem, i zapaliwszy dwa kawałki gromnicy, przylepił je do stołu. Na tym przygodnym ołtarzu odprawił ś. ofiarę. W chwili, kiedy podnosił Przenajświętszą Hostję, ranne słońce, jakby chcąc oddać z nami cześć swemu Stworzycielowi, ukazało się w wązkich oknach, a raczéj w strzelnicach naszego więzienia, i otoczyło promieńmi swemi kapłana. O święta wspaniałości bezkrwawéj ofiary Chrystusowego Kościoła! niéma na ziemi tak pustego, ciemnego miejsca, któregobyś nie napełniła, nie oświeciła jasnością niebieską, wywierającą na duszę człowieka wpływ najzbawienniejszy. W żadnéj z najwspanialszych świątyń naszych, jakie w dalszym ciągu życia mego po różnych nawiedzałem krajach, nie uczułem mocniéj obecności żywego Boga, jak w téj ponuréj, pustéj Kokenhauzkiéj ciemnicy, czasu mszy ks. Anzelma. Żołnierze moi przystępowali do kommunji z tém szczérém nabożeństwem,

które tak jest ujmującem w człeku prostym, bo odbija wiernie głęboką wiarę, przenikającą serce jego w téj chwili.

Po skończonym świętym obrzędzie, ks. Anzelm krótką miał jeszcze naukę, zalecając penitentom wytrwanie w dobrych przedsięwzięciach, i prosząc aby pamiętali, że ta izba, uświęcona obecnością żywego Boga w tajemnicy ołtarza, stała się odtąd miejscem godném szczególnego uszanowania, domem niejako Najwyższego; żeby tedy dzisiejsi jéj mieszkańcy nie śmieli jéj znieważać żadną sprosnością, zachowując się w niéj jak przystoi chrześcijanom. Usiłowania te świętego męża nie zostały całkiem bez skutku; bo kiedy się któremu z tych gburów wyrwało z gęby jakie bluźnierstwo, wnet go kamraci sztrofowali za to, nazywając bezbożnikiem. Sprawowali się tedy biedni jeńcy ile mogli spokojnie i obyczajnie. Najprzykładniejsi dostali w nagrodę od ks. Anzelma krzyżyki z błogosławieństwem do noszenia na piersiach pod suknią, i cieszyli się z tego niepomału. Tak to kapłan prawy zawsze i wszędzie prawie znajdzie sposobność rozkrzewiać wiarę i dobre obyczaje między ludźmi. Dla niego niéma nic nadto nizkiego, ani też nadto wysokiego na ziemi. Widzieliśmy ks. Anzelma z Łotyszami i z prostemi żołnierzami, ujrzymy go wnet w obec jednego z potężnych władzców ziemi.

XIX.

Dzięki religijnym pociechom, co z ust ks. Anzelma jak gojący balsam w zbolałe me serce wpłynęły, zacząłem znosić ciężką mą niedolę mężniejszym coraz umysłem. Łagodny smutek zajął miejsce srogiéj rozpaczy, a myśl odrywając się od ziemi, podnosiła się zwolna do dziedzin wieczystych człowieka, zakrytych przed okiem jego zmysłowem, ale duchowi w sobie skupionemu dostępnych. Świątobliwy kapłan posiadał widać tajemnicę udzielenia innym pokoju, którym oddychała piękna jego dusza. W jego ustach słowa te: »Tak Bóg chce, poddajmy się Jego świętéj woli," miały w sobie moc jakąś nieprzezwyciężoną, korzyły umysł, a napełniały serce pociechą niewypowiedzianą. Jak kwilące niemowlę słodko usypia kołysane piosnką matczyną, tak usypiały we mnie boleści na głos pełen słodyczy i mocy duchownego mojego ojca.

Tegoż dnia ku południowi wszedł do nas oficer wyższego stopnia i skinąwszy na ks. Anzelma i na mnie, za sobą nam iść kazał. Wiódł nas korytarzami ku małym wschodom, po których weszliśmy na górne piętro zamku; tam przed małemi drzwiami stały dwa szylwachy. Przewodnik nasz lekko w drzwi zapukał, a gdy się otworzyły, ujrzeliśmy pazia w bogatéj barwie, znać oczekującego na nasze przybycie, bo wnet, postępując przed nami, podniósł szkarłatną zasłonę u drugich drzwi téj małéj, skromnie przybranéj izby, i wprowadził nas do królewskiéj komnaty. Tejbym opisać nie zdołał, bom w niéj na nic nie zwrócił uwagi prócz na samego Gustawa-Adolfa. Obraz tego bohatéra tak mi żywo stoi dotąd w pamięci, jakbym go miał dziś przed oczami. Rzadko natura wydaje podobnych ludzi pod względem nawet składu ciała. Liczył sobie wtenczas wieku lat 30. Wzrostu prawie olbrzymiego, bo się wznosił całą głową nad wszystkie męże Szwecyi, silnéj i udatnéj razem budowy, każde w nim poruszenie ciała było piękne, majestatyczne. Na twarzy powaga z nadzwyczajną łagodnością połączona. Szlachetność i odwaga jaśniała w dużych żywych oczach, lubo krótkiego nieco był wzroku. Włos gęsty prześlicznej jakby jasno-złotéj barwy, spływał wdzięcznemi kędziory na bieluchną szyję. Głos męzki dźwięczny i donośny, wymowa płynna, barwna i silnie zaostrzona dowcipem. Takim był ów młody Szwedzki monarcha, ubóstwiany od swych poddanych, groźny

w boju, litościwy i ludzki po bitwie, nie zmordowany, wytrwały i mądry w przedsięwzięciach, przywiązany do luterskiej wiary, za którą poźniej wojując życie swe położył, ale daleki od prześladowania innych wyznań; sam pobożny, szanował szczerą pobożność bez różnicy religii, a brzydził się jedynie obłudą i pochlebstwem.

Król siedział przodem do drzwi w krześle, przy stole, pokrytym bogatym kobiercem, na którym leżały księgi, mappy i pargaminowe zwoje: u rogu tegoż stołu stał hrabia Aksel Oxenstierna Kanclerz państwa, a we framudze okna książe Lauenburg.

— »Albercie (rzekł monarcha do księcia, odpowiedziawszy nam poważném i pełném wdzięku skłonieniem głowy na oddany mu pokłon) tenże to jest młodzian, który ci tak ważną oddał usługę?"

— Ten sam N. P. Znalazł się, niema co mówić, przytomnie i zręcznie. Bez niego miałbyś może W. K. M. w téj chwili mniéj jednym wiernym sługą.

— I nie potrzebuję cię upewniać, jakbym wiele cierpiał nad tą stratą. Panie oficerze (dodał obracając się do mnie) szczerze wam dziękujemy za tak chętne i skuteczne podanie pomocy księciu Jegomościu naszemu krewnemu w niebezpiecznym razie. Pomyślimy o nagrodzie, jaka się od nas słusznie wam należy za tę usługę.

Uczyniłem moją powinność N. P. — odrzekłem — a książe Jegomość hojny mi już za to dał upominek swej wspaniałości. Lecz gdybym był nawet cóś praw-

dziwie wielkiego uczynił, zaszczyt, jakim mię najłaskawsze słowa W. K. M. okryły, byłby dostateczną dla mnie nagrodą.

— Wam tak przystoi mówić, nam nie przystałoby ograniczyć nagrodę w słowach, lubo jak mniemaćby należało, nie radzi przyjmujecie dobre ku wam chęci.

Zdumiony patrzałem na króla nieśmiałym pytającym wzrokiem.

— Odrzuciliście ofiarowane wam gościnnie wygody w tym zamku — mówił dalej Król.

Zarumieniony spuściłem wzrok ku ziemi, mówiąc: »Wdzięczność dla W. K. M. w mem sercu jest bez granic.

— Bez ujmy atoli tej, którą winniście waszemu duchownemu nauczycielowi, nie prawdaż? i tego nie weźmiemy wam za złe — dodał z tym uśmiechem, który mu podbijał serca — *Praeceptoribus nunquam satis*, mówi stara maxyma szkolna. Winszuję wam Mości księże jezuito (rzekł potem obracając się do ks. Anzelma) tak wdzięcznego ucznia. Dowód oczewisty, żeście pilnie się nim zajmowali.

— Jest to raczej dowód N. P. (odrzekł ksiądz), że Bóg młodzieńca tego dobrem udarował sercem.

— Jeśli tak, więc macie przynajmniej tę zasługę, żeście mu je nie zepsuli.

— Szczególne zaiste młody ten człowiek musi mieć serce, kiedy wyszło całe z rąk jezuity" — wrzucił

szydersko książe. (Król rzekł doń słów kilka po szwedzku i Lauenburg już się więcej nie mięszał do rozmowy, ale stał znowu nasępiony we framudze okna).

— Kościół rzymski zowie się wojującym, *militans?*. (rzekł Gustaw Adolf do księdza). Widząc was, mój Wielebny, naszym jeńcem, lękamy się, azali jezuici nie ogłosili przeciwko nam Krucyaty, i czy nie mamy tu przed sobą nowego Piotra Pustelnika.

— N. panie (odpowiedział ks. Anzelm) mogę się zaiste w pewnym sensie zwać żołnierzem, ale broń moja nie zabija ani kaleczy. Wojuję w duchu Kościoła i zakonu mego, z wiecznym nieprzyjacielem dusz ludzkich — jestem, jednym słowem, missjonarz — jezuita do usług W. K. Mości.

— Missja wasza tyczy się więc nas heretyków, bo inaczej posłanoby was w kraje ztąd bardzo dalekie wojować z nieprzyjacielem dusz ludzkich?

— Mamy, co może W. K. Mość zadziwi, bałwochwalców w Inflantach. Missja moja do tych się wprost stosuje.

— Nie wiedziałem o tém — rzecze Król — i jeśli tak jest, pochwalam to poświęcenie się wasze, (a obracając się do kanclerza powiedział coś do niego po szwedzku, na co ten schyleniem głowy potakując odpowiedział. Ks. Anzelm rozumiejący język szwedzki, wytłómaczył mi potém te słowa, które znaczyły, że Gustaw nie był kontent z uwięzienia missjonarza).

— Wiek wasz pochylony — mówił znowu Król do księdza — daje wam prawo do wypoczynku po pracy, bo zapewne nie od dzisiaj już pełnicie wasz urząd.

— Rok będzie 50ty, jak mam szczęście być kapłanem towarzystwa Jezusowego, ale dopóki mi Bóg sił udziela, nie mam prawa do odpoczynku, godziwego tylko kalekim i całkiem niedołężnym starcom.

— Pięćdziesiąt lat na służbie i jeszcze nie chcesz być na łaskawym chlebie zakonu! Jest ci czego powinszować mój księże. Wieleżeś odbył przecie wypraw, nie licząc w to Inflanckiéj?

— Jeżeli W. K. M. raczysz przez to oznaczać mizerne uczęstnictwo moje w pracach apostolskich mężów świątobliwych naszego zakonu, odpowiadam na rozkaz pański; iż za szczególną łaską Ojca Aquaviva naszego jenerała, młody jeszcze wysłanym byłem do missyi naszych w Indjach wschodnich. Pięć lat przebyłem w Goa, trzy na Ceylonie, dwa na półwyspie Malakka. Wróciwszy ztamtąd otrzymałem w lat kilka pozwolenie udać się do Paragwarji.

— I byliście tam także? — Zawołał Król ze zdumieniem.

— Dziesięć lat blizko, N. P. Ach, te lata liczę do najszczęśliwszych mojego życia.

— Słyszysz Oxenstiernie! ten człek widział więcej niż my z tobą świata! Księże musicie mi coś powiedzieć o tém waszém Amerykańskiém królestwie. . . Ale uważam, że się nogi pod wami chwieją; ha, bo kto też

całe pół wieku wędrował *pede apostolico* w dwóch światach, nie dziw, że ma nogi strudzone: taki może już być uwolniony od ścisłej etykiety dworu. Usiądź przeto, starcze — usiądź, rozkazuję wam.

— Słucham Miłościwy panie, bo uległość rozkazom W. K. M. poczytuję sobie za powinność.

To mówiąc schylił głowę przed monarchą i usiadł na taburecie przy drzwiach, w postawie pełnéj uszanowania. Książe Lauenburg zaś prosił Króla o pozwolenie oddalenia się, i otrzymawszy je, wyszedł z komnaty przygryzając usta.

— Założenie w Paragwaryi Rzeczypospolitéj teokratycznéj pod tytułem missyi, jest wypadkiem politycznym i nader ważnym, jest spekulacyą obrachowaną z głębokością czyniącą zaszczyt dyplomatyce jezuickiego towarzystwa — rzekł Król po małéj chwili do księdza.

— Wszelkie korzyście N. panie, jakie pod względem politycznym, nowe te osady kiedyś przynieść mogą, będą na rzecz Króla hiszpańskiego, do którego część ta Ameryki należy. Jezuici nie mają i mieć nie mogą innego widoku prócz nawrócenia dzikich Indyanów do wiary chrześcjańskiéj, wyprowadzania ich z barbarzyństwa i przeistoczenia w naród spokojny, pracowity, i obyczajny. Forma rządu na pozor teokratyczna, wypadła z konieczności, albowiem żadna inna nie zdołałaby doprowadzić do skutku tego przedsięwzięcia.

— Niechże i tak będzie, kiedy, jak uważam, naprożnobyśmy was od téj myśli odwrócić usiłowali. Wiemy tylko, że Najjaśniejszy brat nasz Filip Katolicki nieufném pogląda okiem na tę wzrastającą Rzeczpospolitę, hołdującą mu wprawdzie do czasu, ale mogącą się już uważać za zdobycz możnego zakonu.

— Z osobistego przekonania mego N. panie, śmiem to uprzedzenie przypisać zabiegom władz królewskich w tym kraju, przewidujących tamę gotującą się przeciw ich drapieżności względem mieszkańców.

— Nie wątpię, iż wasz zakon, jakoby dobry Pasterz, broni swych owiec od obcych nożyc, dla zachowania w całości ich wełny.

— Nie wiele jéj N. panie, potrzeba na ubogą suknię missionarza — odrzekł pokornie ks. Anzelm, poglądając na swoją wytartą odzież.

— Nie zawsze suknia świadczy o dostatku człeka, i właśnie wasz zakon dowodem jest téj prawdy. Pojedyńczo ubodzy, składacie całość bogatą w skarby tedoczesne, od których odwracacie z pogardą oczy gromadząc je skwapliwie rękami.

— Nie odwracamy dobrodziejstw, ale je poświęcamy Bogu, Miłościwy Królu, wznosząc na cześć Jego świątynie, i opatrując bliźnich,

— I budując ogromne Kollegia — przerwał Król — i zakładając szkoły dla młodzieży gwoli widokom waszéj polityki — ale próżno was w téj mierze skłaniać do wyznania, mówmy lepiéj o Paragwarji. Opiszcie mi

tę waszą Rzeczpospolitę. Rad byłbym dowiedzieć się w tym względzie cóś pewnego, i nie mógłbym lepiéj trafić, jak do jednego z jéj założycieli.

— Założycielami téj duchowno-towarzyskiéj budowy, byli godniejsi ode mnie Chrystusowi słudzy N. panie. Aie ponieważ miałem zaszczyt być w liczbie ich robotników, mogę przeto uczynić zadość wysokiéj woli W. K. Mości, skreślając choć niedokładny obraz tego, iż tak rzekę, rozsadnika chrześcjaństwa w dzikiéj i ludożercami dotąd zamieszkałéj krainie.

— Usiądź kochany hrabio, rzekł Król do kanclerza, jeżeli masz czas i ochotę przysłuchać się téj powieści.

— Będę korzystał z miłościwego porwolenia W. K. Mości (odpowiedział Oxenstierna) bom także ciekawy poznać tę próbkę jezuickiéj teokracji.”

Poczém ks. Anzelm tak zaczął:

»Kraj nieźmierzony, N. panie, we śrzedzinie którego missjonarze nasi założyli chrześcjańskie osady, bierze swe nazwisko od rzeki *Paragwaju*, wpadającéj do morza Atlantyckiego pod nazwiskiem *Rio de la Plata*. Do téj ogromnéj rzeki wpływają potężne dwie inne zowiące się *Parana* i *Uragwaj*. Nie wiem, czy jest na kuli ziemskiéj kraj inny podobny temu, już to pod względem swéj obfitości w dary przyrodzenia, już pod względem rozmaitości widoków. Długie pasma gór niebotycznych, tysiące rzek, potoków i strumieni, ciemne puszcze napełnione rozliczném źwierzem, zielone

gaje obciążone wszelkim owocem i ożywione rojami najcudniejszych ptaków; żyżne choć nieuprawne pola okryte najrzadszemi rośliny, i obok nich bagniska i trzęsawice niezmierzone okiem; wszystko tak jest niezwyczajne, olbrzymie i dziwne, wszystko tak potężnie uderza zmysły, że zdumiony wędrowiec w ciągłém jakby rzec zachwyceniu nie może sobie zdać sprawy z tego co ogląda, co słyszy i uczuwa w tych wspaniałych pustyniach, a korném-li tylko sercem uznaje wielkość Boga w cudownych tych dziełach wszechmocnéj Jego ręki. Kiedy zaś znowu te niezliczone strumienie nabrzmiałe ulewami, lub topniejącemi w górach śniegi, rozleją swe wody po nizinach i płaszczyznach, wnet tam wszystko całkiem inną, a zawsze cudowną przybiera postać. Kraj staje się morzem, posianém nieźliczonemi wyspami, śrzód zaś tych przygodnych archipelagów żeglują ruchome kępy, powstałe z pniów i splecionych z sobą gałęzi drzew obalonych wichrami, a na nich widać nieraz ratujące się z powodzi zwierzęta, napełniające powietrze żałośnemi ryki. Widać czasem i ludzi śpierających się z tygrysami o miejsce na tych samorodnych tratwach. Jednym słowem, kraj to jest tak dziwny, że aby mieć o nim wyobrażenie widzieć go koniecznie potrzeba, a natura w nim tak bogata, że się w jednéj chwili przed okiem rozwijają obrazy skrzepłéj północy i gorącego południowego pasa w całéj swéj względnéj wspaniałości. Lecz ta rozmaitość klimatów działa nie zbyt

odmiennie na charakter i obyczaje tamecznych mieszkańców, albowiem wszystkie ich niezliczone plemiona mniéj więcéj są do siebie podobne nie tylko ciałem ale i obyczajami. Co do cech najpospolitszych ich charakteru, temi są: tępość umysłu, niestałość, przewrótność, okrucieństwo, żarłoctwo aż do ludożerstwa i opilstwo, z którego się rodzi ospalstwo i niedbałość o najpiérwsze potrzeby życia. Dzika odwaga budzi się w nich czasem w widoku zdobyczy lub zemsty, w ogólności zaś podli są i trwożliwi, niezdolni więc do zdobycia swobody orężem, szukają jéj w niedostępnych jaskiniach. Narody te wiodą koczujące życia błąkając się nago jakby drapieżne źwierzęta po lasach, gdzie nocują najczęściéj na drzewach, między konarami, w upleciónych z gałązek lub trzciny wiszących kolebkach. A jednak N. panie, i do tych umysłów grubych, i do tych serc zatwardziałych, wiara Chrystusa znajduje przystęp, i cudowne w nich sprawuje zmiany. Ujęty w jéj słodkie jarzmo dziki Amerykanin, pozbywa się swéj srogości, swych sprośnych nałogów i staje się przy łasce Boga, łagodnym, obyczajnym, posłusznym swym przełożonym, cnotliwym nawet aż do heroizmu.

—Pojmuję to, przerwał Król, ale ciekawym wiedzieć, jakiemi sposobami zdołano wzbudzić ochotę do poddania się władzy, w ludziach zrodzonych na dzikiéj swobodzie, nieznających żadnego wędzidła, a zatém niecierpiących musu. Piérwszémi neofitami musiały być kobiéty i dzieci?

—Byli niemi, mił. Panie osoby płci obojéj i wszelkiego wieku, a sposoby użyte do ich ugłaskania, były też same, któremi pierwsi Apostołowie kruszyli serca bałwochwalców po całéj ziemi. Wszystka moc nasza jest w słowie, bo sam Bóg tém słowem kieruje jakby grotem przenikającym aż do głębi duszy niewiernego, którego chce do siebie nawrócić. Sam naprzykład byłem świadkiem, kiedy jeden z naszych missjonarzy, ojciec Gonzalez, wędrując brzegiem Parany, napotkał gromadę Amerykanów uzbrojonych strzałami, któréj naczelnik pytał go, jak się odważył wstąpić bezkarnie na ziemię, na któréj się dotąd żaden Europejczyk nie ukazał? jak śmie ogłaszać nowego Boga ludowi, którego jedyném bóstwem jest ten właśnie, co to do niego mówi?— Cała tłuszcza zabrzmiała applauzem, a missjonarz spokojnie w te mu odrzekł słowa: „Nie ustraszysz mię twemi pogróżki, bom ja posłany od jedynego prawdziwego Boga, którego niebo i ziemia słuchają. Ten to Bóg przyjął był niegdyś naturę ludzką dla zbawienia wszystkich narodów, umarł za nas, a potém zmartwychwstał, wstąpił na niebiosa i króluje tam wiecznie. Przelać krew na cześć tego Boga jest największém szczęściem dla tych, którzy są jego sługami; uważ przeto, czy mogę lękać się śmierci? A gdybym znowu chciał wam uczynić cóś złego, toćbym przyszedł tu z orężem w ręku i wiódłbym z sobą lud zbrojny; ale ja pragnę owszem, abyście zostali szczęśliwémi przez poznanie swego Stworzyciela, przez poddanie się

prawu, a to was nauczy żyć tu, jak ludziom przystoi, i zgotuje wam w przyszłém życiu szczęście nieskończone."—Słowa te zdumiały barbarzyńców i skłoniły do słuchania księdza. Skończyło się na tém, iż miasto coby go zabić mieli, poszli za nim, i bronili go potém od napadów dzikich swoich braci.

Król pilnie słuchał wpatrując się uważnie w twarz ks. Anzelma, poczém rzekł do Kanclerza.

—Jeżeli to jest fanatyzm, przyznać przynajmniéj trzeba, że mu nie braknie prawdziwéj wielkości. Ale takiego poświęcenia się ja nie nazwę fanatyzmem!

—Są to zaiste czyny niepospolitego męztwa (odpowiedział Hrabia), ale wiadomo, do jakich ofiar żarliwy jezuita dla sławy i pożytku swego zakonu jest zdolny.

—Za miłościwém pozwoleniem J. K. Mości, ozwał się ksiądz) muszę zrobić temu szlachetnemu panu uwagę, że nie sami tylko jezuici zlewają krwią swoją pustynie nowego świata za wiarę, że i drugie zakony, a mianowicie Franciszkanie, czynny biorą udział w nawracaniu Indyan. Nie waham się nawet przyznać żarliwym tym zakonnikom téj zasługi, iż oni byli pierwszymi przepowiadaczami Ewangelji w Paragwaryi, a święty ich kapłan Franciszek Solano słusznie zwany być może Apostołem téj krainy.

—Nie przeczę (odparł Kanclerz), iż te missye czynią w ogólności zaszczyt waszemu duchowieństwu, jakiebykolwiek wreszcie spojone z niémi mogły być cele.

—Tak jest— rzekł Król— rzecz sama przez się jest piękną i wartą pochwały wszystkich kochających ludzkość, a tém bardziéj wszystkich dobrych Chrześcijan; przeto też opowiadajcie nam daléj ojcze wielebny o waszych missjach, nie zważając na różnicę między nami kościołów.

—Bogobojność i łaskawość Waszéj K. Mości dałyby mi o niéj tu zapomnieć, gdybym nawet nie szanował w każdym człowieku szczérego religijnego przekonania, jakkolwiekby to wreszcie było z mojém niezgodne.

—Mową waszą utwierdzacie wrażenie, jakieście na mnie uczynili od piérwszego wejrzenia. Słuchamy was z upodobaniem.

Ksiądz powstawszy schylił przed monarchą głowę, poczém znowu usiadł i tak mówił daléj.

—Najgłówniejszém zadaniem dla założycieli nowych osad było poznanie dokładne charakteru ludzi, których kształcić mieli, aby stosownémi do tego działać na nich mogli środkami. Piérwsze w tym względzie postrzeżenia nie były wcale pocieszające. Tępość umysłu w tych nieszczęśliwych zdawała się być tak wielką, że nie było nadziei dać im wyobrażenia o żadnéj rzeczy wprost pod zmysły nie podpadającéj. Zrazu też oprócz chrztu nie przypuszczano ich do innych sakramentów; ale cierpliwe i baczne z niémi postępowanie, odkryło niebawnie, iż najtępszego rozumu człowiek zdolny jest poznać i miłować swojego Stwórcę; owszem nie było mo-

że nigdy jak tutaj jaśniejszego dowodu téj prawdy, że święta nasza religija, przenikając do serc najtwardszych i napełniając je uczuciami szlachetnémi, wydobywa zarazem władze rozumu z powicia i roznieca w umysłach najżywsze światło. Tak więc nauka religijna zastosowana bacznie do stanu moralnego neofitów, nie tylko złagodziła dziką ich przyrodę, ale rozwinęła w wielu z nich zdolności niepospolite. Postrzeżono, iż wymyślić rzadko co z nich który potrafi, ale że wszyscy dziwną okazują zręczność w naśladowaniu. Popęd i kierunek dany téj zdolności sprawiły, że niéma rzeczy, którejby Indyanin nie zrobił, skoro ma ją sobie pokazaną. Mamy więc w osadach naszych rękodzielnie, w których pracują sami neofici, a roboty ich nie ustępują w niczém wyrobom najlepszych rzemieślników europejskich. Słuch też mają dziwnie ostry i muzykalny, a głos dźwięczny i czysty. Z łatwością więc uczą się śpiéwać i grać na różnych instrumentach. Lubią muzykę namiętnie, i ten w nich smak naturalny posługuje wielce do zaludniania osad. Pamiętam, iż razu jednego kilku nas księży żeglowało po rzece śród pustyni. Dzień był pogodny i cichy, nie mieliśmy co robić w naszéj łodzi, zaczęliśmy śpiéwać nabożne pieśni. Echa gór okolicznych powtarzały nasze pienia i wnet gromady dzikich ukazały się na brzegu wody. Myśleliśmy zrazu, że nas chcą napaść zbrojnie, ale znaki, co nam dawali, nie oznaczały złego zamiaru. Przybiwszy zatém do lądu, śpiéwaliśmy dla ich uciechy, tłumacząc im potem

cel i treść naszych pieśni. Długo jakby w zachwyceniu słuchali naszego śpiewu, którego melodya dziwnie im się podobała. Przyjęci od nich gościnnie i korzystając z wrażenia, jakieśmy na nich uczynili, założyliśmy tamże nową osadę, i cała ta tłuszcza stała się wkrótce trzodą niebieskiego Pasterza.

—Odnowiliście w nowym świecie dziwy Orfeusza i Amfiona — rzekł król — odkryliście nowy i łatwiejszy od innych przystęp do serc dzikich synów pustyni. Zdaje się, iż natura ścieśniając w nich granice rozumu, obdarzyła ich za to nadzwyczajną czułością zmysłów.

— Tak jest w saméj rzeczy najjaś. panie, i dla tego sama już wspaniałość obrzędów religijnych działa na nich z niewypowiedzianą mocą.

— Ale te wrażenia są przemijające— wrzucił kanclerz.

— Byłyby takiemi — odparł ksiądz Anzelm — gdyby słowo Boże nie utwierdzało ich w duszy neofity.

— Rzeczywiście, rzekł król, do serca ludzi grubozmysłowych jedyna droga przez zmysły. Oczewiście na takich, środki czysto-moralne nie mogłyby pożądanego uczynić skutku. Aby tedy dzikiego skłonić do przyjęcia religji, trzeba koniecznie zacząć od podbicia jego zmysłów zewnętrzną jéj pompą. Wspaniałość obrzędów daje mu niejako wyobrażenie o wielkości Boga, uderzony nią zaczyna od dawania Mu czci, a następnie uznaje powinnością swoją być prawu Jego posłusznym.

— Uwagi te waszéj królewskiéj mości równie są głębokie jak sprawiedliwe: na téj też właśnie zasadzie opierają missjonarze swoje w Paragwarji systema.

— Zrozumiejmy się jednak mości księże. Potrzebę błyskotek i wystawy w religijnych obrządkach nie dopuszczam jedno w podobnych rzeczonemu przypadkach! dla oświeconych zaś myślących chrześcijan znajduję te dodatki zbytkowemi.

— Szczęśliwy jestem rozumieć, zdaje mi się, należycie myśl waszéj kr. mości — odpowiedział ksiądz nachylając głowę.

— Słuchamy was więc, rzekł król, i missjonarz tak ciągnął daléj swe opowiadanie:

— „Kiedy uważne i cierpliwe badania doprowadziły missjonarzy do poznania z gruntu charakteru i zdolności mieszkańców, najstosowniejsze do pożytecznego ich oświecenia środki znalazły się gotowe w nauce, którą nam zostawił Boski Prawodawca narodów. Celem religijnego oświecenia człowieka, jest skierowanie władz jego duszy ku poznaniu i pełnieniu woli Boga, nie wyzuwając go z przyrodzonych jego skłonności, lecz tylko je należycie oczyszczając, hamując i gwoli prawu Bożemu nakłaniając. Maxymę tę chrześcijańską pięknie bardzo wykłada jeden z Ojców kościoła.

— Święty Klemens Alexandryjski — jeżeli się nie mylę, w sławnym swoim *Pedagogu*? — wrzucił hrabia Oxenstierna.

— Ksiądz Anzelm znał z gruntu ten traktat Świętego Klemensa, ale się niby zająknął, chcąc dać hrabiemu sposobność zabłyśnienia teologiczną erudycyą, wiedział albowiem o jego w tych rzeczach biegłości. Polityka ta nie chybiła też swego celu: kanclerz mile się uśmiechnął, gdy mu ksiądz pięknemi słowy winszował tak wielkiéj uczoności. I król zdawał się z tego cieszyć, bo rzekł wesołym tonem:

— Z tym panem radzę wam mości księże mieć się na ostróżności. On-by z biédy mógł być wcale niezłym professorem teologji.

— Ja też tylko — rzekł pokornie ksiądz Anzelm — na wyraźny rozkaz waszéj kr. mości zbieram w staréj i niedołężnéj już mojéj pamięci wspomnienia ubiegłych dla mnie rzeczy.

— Dość atoli — odparł król — zostało w téj staréj pamięci dobrych rzeczy, abyśmy was prosili o potrudzenie jéj znowu. Missjonarz schylając głowę na znak posłuszeństwa tak mówił:

— Na téj więc zasadzie, udało się rzeczonym robotnikom Chrystusowéj winnicy dokazać rzeczy prawie niepodobnych: w ciągu albowiem niespełna ćwierci wieku, osady Paragwaryjskie pod zarządem jezuitów, zakwitły pomyślnością w najrozleglejszém znaczeniu tego wyrazu. Śmiało rzec mogę, iż chrześcijaństwo nie ma lepszych wyznawców swéj wiary, towarzystwo ludzkie obyczajniejszych, cnotliwszych członków, a król jegomość hiszpański wierniejszych poddanych.

— Ostatnie — przerwał król — zdaje nam się do pewnego tylko czasu, bo jak się liczba tych nowych poddanych wzniesie do dziesiątków tysięcy, nie budowałbym już wtenczas wiele na ich wierności.

— Choćby do miljonów najjaśniejszy Panie! przynajmniej ile to zależeć będzie od jezuitów.

— Albożby jezuici opuścili dobrowolnie dobrą zręczność zafundowania dla siebie niepodległej monarchji w Ameryce, mając pod ręką pewne do tego środki?

— Musieliby więc w takim razie złamać regułę swego zakonu, a tego żaden prawy członek towarzystwa Jezusowego nie uczyni, choćby mu dawano panowanie świata — odparł ksiądz głosem jednostajnie pokornym, ale z ogniem w oczach.

Król szepnął do kanclerza po szwedzku: — Czytam w jego wzroku, że wierzy w to, co mówi — Obracając się potém do missjonarza zapytał go, czy jest *professem* swego zakonu?

— Od lat już z górą 20-tu, miłościwy panie, odpowiedział.

— Wybaczcie więc, mój wielebny, ale jenerałem waszego zakonu nie będziecie nigdy, to wam przepowiadam.

— Sprawiedliwie W. K. M. to mi przepowiadasz, sam wiem najlepiej, że być nim nie jestem godzien.

— W tym sensie, jak my to uważamy, niegodność taka nie czyni wam krzywdy — Ale wróćmy do rzeczy. Jezuici tedy zakładają w Ameryce nową tę monarchią

nie dla siebie, lecz dla króla jmci hiszpańskiego i jego sukcessorów?

— Tak, a nie inaczéj naj. panie. Zamiarem jezuitów jest założyć w sercu barbarzyństwa rzeczpospolitę chrześcijańską, któraby tam kiedyś wskrzesiła najpiękniejsze dni pierwszego chrześcijaństwa, i stała się nowym klejnotem korony hiszpańskiéj. Zaledwie przeto któremu z Indyanów otworzono oczy na światło świętéj Ewangelji, uczono go zaraz powinności poddanego względem monarchy, i wiedziono do uznania swym panem króla hiszpańskiego. Była to zrazu rzecz nie łatwa z ludźmi zrodzonemi i zrosłemi na swobodzie w niepodległości, i nieuznawającemi nad sobą żadnéj na świecie władzy, tak dalece, iż sami ich *Kacykowie* opierać się im częstokroć nie śmieją; nie można więc sobie było inaczéj pozyskać całkowitego barbarzyńców zaufania, jak broniąc ich od wszelkiego ucisku ze strony Hiszpanów; a wiadomo waszéj królewskiéj mości, że ci zdobywcy nowego świata nie chcą widzieć w dzikim Amerykaninie człeka i bliźniego swego, ale nawykli obchodzić się z nim jak z bydlęciem. Missjonarze obalając nieludzki ten przesąd i to bezprawie, wylewając na nieszczęśliwych Indyan miłość chrześcijańską w całéj jéj obfitości, tuląc ich pod swe skrzydła z afektem rodzicielskim, przywiązali ku sobie, ugłaskali i uczynili posłusznymi wszelkiéj od Boga ustanowionéj władzy; lecz tak postępując wywołali przeciwko sobie nienawiść tych, którzy dotąd napawali się krwią i potem

ofiar swéj chciwości. Wierność tych nowych poddanych prawemu monarsze tém mniéj jest wątpliwa, że nie wypływa z musu lub interesu, ale z religijnego przekonania. Szanują w królu hiszpańskim władzcę danego im od Boga, a przeto nic w świecie nie zdołałoby pobudzić ich do buntu przeciwko niemu.

— Chcemy wierzyć, że tak jest w istocie, rzekł król, ale słyszeliśmy, że te wasze osady uczyniliście nieprzystępnemi dla wszystkich Europejczyków, że okrywacie w nich swe rządy zasłoną tajemnicy, przez co naturalnie podajecie się w podejrzenie, jakobyście knowali w cieniu cóś szkodliwego dla korony hiszpańskiéj.

— Zasłona ta najjaś. panie jest przezroczystą i nic takiego nie ukrywa, czegoby missjonarze śmiało i z chlubą nawet nie mogli ukazać światu. W każdéj wreszcie chwili przyjmują nawiedziny tych, co bądź z urzędu, bądź przez samą tylko ciekawość do nich przybywają. Ale pragnąc szczérze zbawienia dusz powierzonych od Boga swéj pieczy, musieli ogrodzić je od szkodliwego wpływu obyczajów zepsutego towarzystwa; nie dozwalają przeto nikomu prócz neofitów mieszkania w missjach, a nawet długiego w nich goszczenia. Za to też osady kwitną taką czystością, niewinnością obyczajów, że się stały podziwem bogobojnych hiszpanów, i napełniają pociechą serca świątobliwych biskupów tamecznéj dyecezji. Bez téj zaś ostróżności najpewniejby się wkradło zepsucie między te biédne owce, zaledwie ze sta-

nu dzikości wyprowadzone, przyjmujące snadnie wszystkie wrażenia i główny cel missjonarzy zostałby chybiony.

— Jeśli tak jest, rzekł znowu król, niéma co mówić, ostróżność ta usprawiedliwia się ważnemi powody. Opiszcie mi teraz hierarchią missjonarskiego rządu w téj osobliwszéj krainie.

— Każdą osadką czyli wsią zawiaduje kapłan z władzą plebana czy parafjalnego proboszcza, mający przy sobie jednego lub dwóch wikarjuszów. Plebani mają nad sobą superiora czyli przełożonego missyi, oraz prowincyała. Z piérwszym w ciągłych są stosunkach, ostatni wizytuje osady corocznie. W rzeczach zaś tyczących się władzy dyecezalnéj, superior missyi referuje się do biskupa i odeń odbiera rozkazy. To, co do administracyi duchownéj. Świecka, lubo pod wpływem missjonarzy, składa się z krajowców neofitów, i na wzór miast hiszpańskich każda osada ma swoich *Korregidorów, Regidorów* i *Alkadów*, wybieranych od missjonarzy, ale utwierdzanych przez namiestnika królewskiego czyli Gubernatora prowincyi. Nominacya urzędników wojskowych czyli oficerów takimże odbywa się porządkiem.

— Jak-to oficerów? — wykrzyknął król — Jezuici mają siłę zbrojną? słyszysz hrabio Oxenstierna? Jak ci się to podoba? — piechotę i jazdę?

— Piechotę, jazdę i artyllerją miłościwy panie — odpowiedział ksiądz Anzelm.

—Nawet artyllerją! zawołał znowu Gustaw Adolf. I król hiszpański spokojnie na to patrzy?

—Milicya ta nie komu, jak temuż królowi hiszpańskiemu służy najjaś. Panie. Każdy z żołnierzy wykonywa mu przysięgę wierności i posłuszeństwa. W kraju zaś otoczonym gromadami barbarzyńców niepodobnaby bez siły zbrojnéj zasłonić osady od napadów i zniszczenia.

—Tak-ci to jest, mruknął król ruszając głową, ale wygląda cóś dziwnie. Jakież są źródła dochodów téj rzeczypospolitéj?

—Rola, rękodzielnie i handel. Mieszkańcy pracować muszą wszyscy bez wyjątku, a missjonarze kierują robotami. W pierwszych latach nikt tam nie miał własności osobistéj, owoce wspólnéj pracy rozdzielały się między rodziny podług potrzeb każdéj, lecz dzisiaj każdy dóm ma własny swój kawał roli, prócz tego zaś są pola uprawiane społem na opędzenie ogólnych potrzeb, na opłatę trybutu do królewskiego skarbu, na publiczne budowy, zakłady i t. d. Dochody z rękodzielni i handlu zewnętrznego, dopełniają niedostatek, jakiby się okazał w skarbnicach bez tych pomocy, bo Indyanin z natury swéj leniwie uprawia rolę, a dziwną ma zręczność do rzemiosł.

—Jezuici poślubiwszy sami ubóstwo, starają się zapewne wkładać swoje owieczki do téj cnoty?— wrzucił król z małym przekąsem.

—Zaiste najjaś. panie, odrzekł ksiądz, staraniem

jest missjonarzy kształcić swoich prozelitów na ludzi pokornego ducha i obyczajów prostych. Wzbraniają im tedy wszelkich zbytkowych wygod, wszelkiej okazałości w mieszkaniach i odzieży, przodkując im w tém własnym przykładem. Lecz jeśli prywatne domy poddane téj regule wyglądają nader skromnie, publiczne za to gmachy uderzają oko swoją, rzec mogę, wspaniałością. Kościoły szczególnie jaśnieją zewnątrz i wewnątrz bogatemi ozdoby. Jeżeli życie codzienne upływa w cichości pracowicie i pobożnie, natomiast dni świąteczne, wielkie uroczystości kościoła, nawiedziny biskupa i gubernatora odbywają się z wielką okazałością. Processja *Bożego ciała* (tak nazwana od dnia poświęconego osobliwiéj uczczeniu Najśw. Sakramentu ołtarza) przewyższa, pod niektórym względem to wszystko, com widział podobnego w Europie. Wprawdzie niéma tam blasku od złota i drogich kamieni, ale co tylko przyrodzenie rozsiało na ziemi piękności, stawi się przed oczy pełne życia w przedziwnéj symetrji. Tryumfalne łuki i szpalery, udziałane są z drzew najpiękniejszych nowego świata, a na ich kwiecistych gałęziach pełno jest różnobarwnych ptaków podlatujących na długich nitkach z jedwabiu. W kunsztownych szerokich kadziach pływają błyszczące ryby, a tu i ówdzie lew potrząsa grzywą, tygrys i pantera garbią cętkowane grzbiety, pokornie na ten raz nosząć swoje więzy. Mnóstwo innych źwierząt dzikich i domowych przeplata stosy owoców, mędle snopów i pęki rozmaitéj zieleniny, a

ziemię okrywają wzorzyste maty i kobierce z pachnących kwiatów. Kiedy się różnorodne głosy tych ptaków i zwierząt zlewają z dźwiękiem gędźby i dzwonów i ze śpiewem kościelnego choru, rodzi się z tego jakaś nadzwyczajna, wielka, uderzająca harmonja, jakby całe przyrodzenie jednym głosem opiewało chwałę swego Stworzyciela. Wtenczas lud upojony tą pompą, czci w niéj wielkość Boga, a po odbytém nabożeństwie oddaje się niewinnéj radosci, pląsając strojnie po przyozdobionych ulicach przy dźwięku instrumentów, raczy się, bez zbytku obfitszém jadłem i napojem, poczém kończąc dzień wesoły wspólną modlitwą, usypia szczęśliwy i budzi się następnego rana do zwyczajnéj pracy, wraca ochoczo do codziennego trybu życia, cierpliwie oczekując powrótu lubéj mu uroczystości. Tak więc najjaś. panie ubóstwo, w jakiém missjonarze wychowują swych prozelitów, broni ich od zasmakowania sobie w zbytkach, broni od próżności, nie przeszkadza atoli używania darów Bożych, dozwala przyzwoitej uciechy, ale zrzadka i nie inaczéj, jak na łonie religji, aby ta będąc im zawsze i wszędzie obecną, hamowała ich zmysły i utrzymywała radość w granicach chrześcijańskiéj bogobojności. Tym tylko sposobem uczynić można dla prostaków jarzmo Chrystusowe słodkiém i ciężar jego lekkim. (*)

(*) O tych missjach jezuitów w Paragwaryi pisali różni autorowie, jako to: Charlevoix w dziele: *Histoire du Paraguay;* Muratori:

— Dziękujemy wam wielebny ojcze, rzekł król, za waszą fatygę. Nie szczędziliście barw do waszego obrazu, by nam ukazać wasz zakon z pięknej jego strony, i nie mamy wam tego za złe, bo radzi jesteśmy uważać rzeczy wszechstronnie. Gdybyśmy mieli posiadłości w pustyniach nowego świata, nie wahalibyśmy się wezwać waszych missjonarzy do nawracania w nich barbarzyńców, alebyśmy żądali widzieć was superiorem missyi. Do naszéj zaś dzikiej Laponji wcale was nie zapraszamy, bo tam nazbyt zimno.

— Śmiem więc błagać W. K. M. (powiedział powstawszy ksiądz Anzelm) o miłościwe mi pozwolenie pozostania w dzisiejszym mym obowiązku missjonarza Inflantskiego.

— Z całego serca, mój księże; może tym sposobem będę miał choć jednego jezuitę przyjacielem, a tego, wyznam, dotąd się nie spodziewałem.

— Nigdy najjaś. panie jezuici nie dali się nikomu ubiedz w oddawaniu czci prawdziwej wielkości i cnocie.

— Ludzi należących do ich wyznania, przerwał król z uśmiechem.— Ale protestant jakżeby mógł rościć sobie prawo do tego honoru, kiedy u was artykułem jest wiary uważać go za potępionego.

Il Christianesimo felice; Don Juan, i Don Antonio de Ulloa; Chateaubriand *Genie du Christianisme;* Montesquieu, *Esprit des lois* i w. i.

— Gdyby tak było najjaś. panie, nie modlilibyśmy się za dyssydentów, bo za potępionych modlić się nie godzi; kościoł zaś nasz przykazuje modlić się i za tych, którzy wyznają naukę odeń potępioną, a to dla tego, że nikt prócz Boga o przyszłym losie szczérych wyznawców téj nauki, o tych którzy *bono animo errant*, wiedzieć nie może. „*Qualiter pro hoc ipso falsae opinionis errore, in die judicii puniendi sint, nullus potest scire nisi Judex.*" (*)

— Jest-że to rzeczywiście maxyma ich kościoła? — zapytał król kanclerza.

— Jest to, ile sobie przypomnieć mogę, opinia jednego ze starożytnych teologów, tycząca się Aryanów, nie odrzucona dotąd od Rzymu, a któréj ksiądz jezuita, wyznać trzeba, zręcznie tu użył do wydobycia się z trudnego położenia — odpowiedział hrabia Oxenstierna.

— Zgoda więc — rzekł król do księdza — a ponieważ nie rozpaczacie o mojém zbawieniu, nie będę was daléj szturmował w waszych okopach. Znalazłem w was, obok jezuity, chrześcijanina w obszerném znaczeniu, a taki charakter szacuję nawet w moich nieprzyjaciołach. Przestaliście od téj chwili być jeńcem, a jesteście naszym gościem, dopóki się to wam będzie podobało. Potrzebujecie, jak widzę, odpoczynku po przebytych trudach i niewygodach, użyjcie go więc z zupełną swo-

(*) Salvianus de Gubern. Dei lib. V.

bodą, ile tego zdrowie wasze wymagać będzie, a interesa wam pozwolą.

To powiedziawszy, obrócił się ku stołowi, napisał słów kilka i zadzwonił, a gdy wszedł paź, rzekł doń oddając pismo:

— Prowadź tych panów do komendanta i oddaj mu tę kartkę.

XX.

Poszliśmy z paziem na drugie skrzydło zamku do mieszkania komendanta. Zdumiał się marsowaty starzec, przeczytawszy królewski rozkaz i mruknął przed siebie: — Nie pojmuję tego, ale ponieważ taka jest wola mojego króla, nie do mnie zgłębiać jéj powody. Proszęż waszmościów siadać (dodał obracając się do nas), nim się uprzątną dla nich pokoje.

Usiedliśmy, a wkrótce zastawiono przed nami posilne śniadanie. Oficerowie szwedzcy różnéj broni znajdujący się u komendanta, ciekawém okiem nam się przyglądając, szeptali między sobą; a wtém drzwi się roztworzyły, i wszedł książę Lauenburg, a za nim giermek trzymający potężnego jastrzębia.

— Dzień dobry jenerale — rzekł do spotykającego go z uszanowaniem komendanta— Winszujcie mi. Mam znowu cudnego ptaka! Nie sokoła wprawdzie, ale ta-

ki jastrząb, nie wiem czy był gdzie widziany. Przypatrz mu się tylko. Jaki dziób? a szpony? he?

— Winszuję mości książe — odpowiedział zimno komendant, ale się na tych rzeczach nie znam.

— Chce mi się go dziś sprobować... Ale cóż to ja widzę — wykrzyknął książe — stary jezuita tutaj? A to już jakieś nasłanie! Gdzie się obrócę, muszę się natknąć na niego. Zkądże to wam przyszło częstować go u siebie?

— Z woli najjaśniejszego pana, mości książe.

Lauenburg zagryzł usta i odprowadziwszy na bok komendanta, cicho mu cóś powiedział, na co mu ten nic nie odrzekł słowem ni giestem. Przeszedł się potém kilka razy butnie po komnacie i rzekł do oficerów: — Cóż mości panowie? Czy nie słychać co nowego o nieprzyjacielu?

— Ściąga siły do Kryżborga.

— Ha! to jest przecie nadzieja walnej bitwy! Czas bo już zmierzyć się jak należy z Gąsiewskim. Dotąd nie zebraliśmy w téj wyprawie laurów, i gdyby wachmistrz Krabe nie napadł gdzieś w lesie (notandum sam uciekając) na śpiących kilkunastu Polaków, nie mielibyśmy jednego jeńca do ukazania. Słyszałem, że król jegomość raczył go wynieść na stopień chorążego za ten czyn waleczny?

— Tak jest, mości książe, odezwał się jeden z oficerów, ale biedny Krabe nie może komenderować swoim cugiem, bo stracił głos.

— W potyczcze teologicznéj z jezuitą. Byłem świadkiem tego harcu. Muszę ostrzedz o tém naszego wielebnego Fabriciusa, żeby i ten czasem nie uległ podobnemu przypadkowi. Nie mielibyśmy przyszłéj niedzieli dwógodzinnego kazania. Jakaby to była szkoda. Ja okrutnie lubię długie kazania.

Skinął potém na mnie, a gdym się zbliżył — „Mój panie, jakże się u licha zowiesz — Aha, towarzyszu, czy cóś takiego, pódźcie proszę za mną: mam cóś wam powiedzieć... Jenerale, do zobaczenia!

Poszedłem za nim do jego mieszkania w jednéj z wieżyc zamku. Dwa potężne brytany spotkały nas u wejścia i omal nie przywitały mię zębami. Uhamowawszy ich zapęd, wprowadził mnie za sobą do swéj komnaty. Podłoga w téj okrągłéj izbie okryta była pięknemi kobiercami, skóra lamparta rozpostarta u łoża, a na drugiéj niedźwiedziéj tarzały się ulubione psy, strażniki téj sypialni. Ściany zawieszone bogatą bronią i rozmaitém łowieckiém narzędziem. Na kamiennym stoliku zwierciadełko w srebrnych ramach, mnóstwo oraz błyskotek, pachnideł, śród których jaśniał od drogich kamieni w złotéj oprawie portrecik młodéj pięknéj niewiasty, a obok niego inny, miłych także rysów, nieoprawiony. Widać było, iż ustąpić musiał miejsca tamtemu. Na drugim stole pokrytym makatą, stały flasze z winem i srebrne wyzłacane kubki, na tacy z tegoż kruszcu wytwornéj marcypanowéj roboty.

Rozległszy się w krześle rzekł do mnie:

— Wyglądasz mi na dziarskiego chłopaka, uratowałeś mi życie, chciałbym cię przywiązać do mojéj osoby: Co myślisz? — Bez próżnéj chluby; obiecywać ci mogę przy moim boku niezłą perspektywę.

— Nie wątpię o tém i wdzięczen jestem w. ks. mości za tak wielkie względy, ale najświętsze obowiązki żołnierza i obywatela nie dozwalają mi odstąpić sprawy mojego narodu.

— Nie zdołasz już służyć téj sprawie, będąc jeńcem jéj przeciwników.

— Powinienem i chcę jéj pozostać wiernym w niewoli.

— Bić się z Polakami nie potrzebujesz. Zrobię cię moim dworzaninem. A potém czyż ta wojna trwać będzie wiecznie? — Mnie się zdaje, że tak lub owak skończyć się musi w prędce. Przyznam się, że bardzobym tego sobie życzył, a jak stanie pokój, nie myślę wracać zaraz do naszéj zimnéj Szwecyi, do nudnego naszego Sztokholmu, gdzie nic nie ujrzysz prócz musztry, nic nie usłyszysz prócz głosu predykantów i beku psalmów. Nie podzielam w tém gustu mojego Najjaśniejszego kuzyna, którego niech Bóg ma w swojéj opiece. Chce mi się zwiedzić inne Europejskie stolice. Dwór Króla Polskiego Zygmunta, pomimo osobistéj jego bigoterji, jest jak słyszałem świetny, tam więc człek mojego rodu i wieku znaleść może godne swéj uwagi przedmioty. Namyśl się panie towarzyszu, odrzuć dziecinne szkrupuły, a kiedy zakosztujesz przy moim boku słodyczy

nowego rodzaju życia, błogosławić będziesz dobre me dla ciebie chęci. Przeciwnie, pod znakiem twego dzisiejszego protektora Gąsiewskiego, przepowiadam ci, albo dostaniesz w łeb kulą, albo wrócisz kaleką do swéj szlacheckiéj zagrody, i zawiesiwszy szablicę na kołku, kopać będziesz rzepę i słuchać szczebiotania jejmości twéj małżonki. Śliczna, nie ma co mówić, alternata!

— Jeśliby prolog téj przemowy mógł mnie skusić, tedy jéj epilog kazałby mi odrzucić propozycyą przewrótnego magnata, trącił albowiem zbyt czułą strónę mojego serca. Szyderstwo rzucone na zacność kondycyi ziemianina, a szczególnie na stan małżonka, na to szczęście, które tak nie dawno jeszcze uśmiechało się do mnie i było celem wszystkich moich życzeń, postawiło mi w myśli Roazę. Acz już stracona dla mnie, stanęła między mną a mym kusicielem, jakby mię znowu od morderczego ciosu zasłonić chciała.

Lauenburg widział moje wzruszenie, i wziął je za skutek zachwianego umysłu; z uśmiechem więc skinął na giermka, aby podał wina, i wyciągając ku mnie swój kubek, rzekł zachęcającym tonem: — „No, mój kochany Dworzaninie, wypijmy na zgodę! uświęćmy nasz traktat sokiem szlachetnéj jagody, któréj moc cudowna wypędzi z umysłu twego niegodne rozumnego człowieka przesądy. Vale!”

— Piję — odpowiedziałem — za zdrowie w. ks. m. ponawiając najpokorniejsze dzięki za łaskawe względy, umiem cenić zaszczyt, jaki Miłość Wasza czynić mi ra-

czy, ale takie jest moje położenie, że prawdziwą łaską w. ks. mości będzie, kiedy raczysz Miłościwy Książe wyjednać u Króla Jegomości dla mnie wolność powrócenia do mojego domu.

Jąłem mu zatém pokrótce opowiadać przygodę Roazy, celem zmiękczenia jego serca. Pomarszczył brwi zrazu, atoli ciekawość wzięła górę nad niechęcią, zajęło go opowiadanie i obudziło w nim jakąś iskierkę politowania. Śmiał się z naszéj miłości, ale heroizm dziewicy podobał mu się jako wyraz tęgości jéj charakteru, jako podług niego cóś osobliwszego w duszy niewiasty. Samoluby admirują w drugich wysokie cnoty; snać, że widok takowych daje im doznawać jakiegoś nowego wzruszenia, jakiegoś nieznajomego im uczucia, miłego człowieczemu sercu. Tak też i książe Lauenburg zdawał się mnie przysłuchiwać z czułością, ale wzruszenie to rychło przeminęło. A wtedy się dopiero cokolwiek zamyślił, kiedym mu powiedział, że na resztę splamiłbym się w oczach ludzi mojém odstępstwem że jeślibym nie czekając końca wojny wdział na siebie barwy Szwedzkiego księcia, sami Szwedzi poczytaliby mnie za zbiega i przeniewiercę. Ten wzgląd ostatni zdawał się mieć jedynie u niego wagę, nie wiem atoli coby nakoniec postanowił, albowiem usłyszawszy tentent, wyjrzał przez okno i rzekł: „To Skulenbjelm Adjutant Horna wpadł czwałem za zamkowy dziedziniec, musiało zajść cóś ważnego. Bywaj zdrów, pomówiemy z sobą później.”

Wyszedł spiesznie, a ja za nim, dziękując Bogu, że się tak skończyło, i postanawiając nie dać się uwieść namowami niebezpiecznego tego protektora.

Udałem się do Komendanta, alem tam nie znalazł już nikogo; nie wiedziałem, gdzie się obrócić, bo szylwachy widząc mundur polski przejścia mi broniły. Na szczęście ujrzałem Stefensona: powinszowałem mu stopnia wachmistrza, który był tegoż dnia otrzymał, on mnie zaś nawzajem pomyślnej zmiany zaszłej w mojém położeniu; poczém udaliśmy się społem do mojéj kwatery, którą za jego pomocą znaleść mi się nakoniec udało. Była to mała ale chędoga izdebka, opatrzona w potrzebne sprzęty, obok niéj druga. Przestronniejszą zajmował ks. Anzelm.

Nowy Wachmistrz, ujrzawszy księdza, zdumiał się niepomału, i kłaniając mu się z uszanowaniem rzekł: —Teraz już widzę, czemu nasz uczony Krabe nie mógł wam dotrzymać placu w dyspucie. Musi być w was wielka bardzo mądrość, kiedy nasz Król tyle się ku wam okazuje miłościwym. Wielki Gustaw od jednego rzutu oka rozpoznaje ludzi, i traktuje każdego podług jego wartości.

— Bóg trzyma w swym ręku serca Monarchów, mój synu, odpowiedział kapłan, ale wątpliwości niema, że serce waszego wielkiego Króla jest jedno z najwspanialszych.

Stefenson z radośną dumą wykrzyknął: ,,Niech żyje Król Gustaw Adolf; a w tém zawołano go na dół do ko-

mendy. Zostaliśmy więc sami, a gdym opowiedział ks. Anzelmowi rozmowę moją z księciem Lauenburg, starzec przejęty zgrozą rzekł:

— Niech Bóg cię strzeże, mój synu, od wszelkiego związku z tym panem. Podałbyś duszę twoją w niebezpieczeństwo, a ten wzgląd jest nierównie jeszcze ważniejszym od tych, co ciebie, słusznie także, zniewalają do odrzucenia jego propozycyi. „*Nolite jugum ducere cum infidelibus... exite de medio eorum et separamini, dixit Dominus, et immundum ne tetigeritis*” (*) naucza Paweł ś.— Mówiłem ci już, co trzymam o stanie duszy młodego tego Magnata. Cudu potrzeba, żeby tak z gruntu zepsuty człowiek nawrócił się i poprawił. Ale muszę się tobie zwierzyć jednéj jeszcze mojéj obawy, jeżeli bystrość obserwacji, któréj nabyłem długą wprawą i doświadczeniem, nie zawiodła mię tą razą. Gustawowi Adolfowi grozi niebezpieczeństwo...

— Od kogo, mój ojcze?

— Od Lauenburga.

— Jakby to być mogło? Król go miłuje jak brata, obsypuje go dobrodziejstwy.

—Pomimo tego jednak Lauenburg nienawidzi Króla. Wyczytałem to na jego twarzy, ze wzroku, który ze dwa razy rzucił na Gustawa, sądząc się być niepostrzeganym; przez oczy jego, rzekłbym, wylewał się tłu-

---

(*) Nie ciągnijcie jarzma z niewiernymi... wynijdźcie z pośrodku ich i oddzielcie się, mówi Pan, a nieczystego się nie dotykajcie.

Z Listu II. Rozdział 6. Do Koryntjan.

miony na dnie serca jad najsroższej nienawiści. Przyczyna mi niewiadoma, ale rzecz była widoczna.

— Czekaj mój ojcze — cóś sobie przypominam. Tak właśnie — przypominam sobie, że razu jednego nieboszczyk Zygmunt Plater opowiadając mi o królu Gustawie, (którego wielce poważał) przytoczył zdarzenie jedno z lat pierwszej jego młodości, dowodzące żywości charakteru lecz razem i dobroci serca tego Pana. Miało to zaś być tak, że gdy razu jednego młody książe Lauenburg (ten sam niezawodnie) towarzysz broni i przyjaciel Gustawa, dopuścił się jakiejś nieprzyzwoitości na pokojach Królowej Matki, młodziuchny Monarcha (miał bowiem wtenczas ledwie 18 lat) obrażony tym postępkiem, wpadł w impet i wyciął nieobyczajnemu zuchwalcowi tęgi policzek; wnet atoli żałując swej porywczości, przeprosił go jak najczulej, obdarzył, przywiązał nanowo do swej osoby, słowem jak mógł, usiłował nagrodzić mu tę krzywdę (*). Podług tej więc powieści Lauenburg odniósł kiedyś srogie od Gustawa upokorzenie. Ale czyżby w ciągu lat kilkunastu pamięć urazy mogła trwać w duszy jego i pobudzać do nienawiści przeciw swemu Monarsze, przyjacielowi i dobroczyńcy?

— Gdyby miał sentymenta chrześcijanina, przebaczyłby do razu; ale człowiek bez religji łatwo staje się pastwą swych namiętności, a gniew jest jedną z najgwałtowniejszych, gniew długo tłumiony najszkodliwszy:

(*) Historyczne.

„*Ira quae tegitur nocet.*" Są pewne urazy, których świecki człowiek, szczególnie bezbożny, przebaczyć nie potrafi, i nie spocznie aż podług okoliczności otwarcie lub skrycie nie napasie swéj zemsty. Gustaw może kiedy pożałować zaufania, jakie pokłada w tym fałszywym przyjacielu (*).

— Książe Lauenburg po skończonéj téj wojnie chce opuścić Sztokholm: zamyśla ukazać się na dworze naszego Króla.

— Nie dziwi mię to wcale. On zapewne wnosi, że do szczeréj zgody między Polskim a Szwedzkim Monarchą nigdy nie przyjdzie. Wie, że Zygmunt III nieprzestanie uważać Gustawa Adolfa za uzurpatora, nie dziwiłbym się nawet, gdyby ofiarował swe usługi Królowi Polskiemu lub innemu z książąt nieprzyjaznych Gustawowi, i podług mego zdania byłoby to dla tego Króla lepiéj, aniżeli nosić węża zanadrą.

Tak rozmawiając z sobą usłyszeliśmy szmer na dzie-

(*) Rzeczywiście ten, o którym tu mowa, Franciszek Albert Książe Lauenburski wkrótce potém opuścił Króla Gustawa Adolfa, i obrócił broń przeciwko niemu, czasu wojny 30-letniéj, zaciągnąwszy się do wojska Austryackiego; lecz po bitwie pod Lipskiem, w któréj Król Szwedzki pobił na głowę Tillego Wodza Cesarskiego, rzucił tenże Lauenburg Cesarza, a wróciwszy do Gustawa przepraszał i ofiarował mu znowu swe usługi. Otrzymawszy przebaczenie nie odstępował go już, i był ciągle przy jego boku, a gdy w bitwie pod Lützen Król poległ, posądzano silnie Księcia Lauenburg, że to on go zabił, a przynajmniéj ranionego dobił.— Obacz Historją wojny 30-letniéj przez Schillera.

Przyp. Wyd.

dzińcu. Cały sztab był na nogach. Wódz naczelny wojska Szwedzkiego Pons de la Gardie wsiadał na koń z pośpiechem, i wnet opuścił ze swym orszakiem zamek. Ruch zaś nie ustawał, a w dali od strony obozu dolatywał odgłos trąb i kotłów zwołujących rycerstwo pod znaki. W godzinę później wyprowadzono ze stajen kilkanaście osiodłanych koni, a koniuszy królewski wiódł dziarskiego rumaka białéj jak mleko maści, który się spinał potrząsając bogatym rzędem. Hufiec konnych karabinjerów w błyszczącéj zbroi stał w szyku, oczekując przybycia Monarchy. Komendant przechadzał się wydając rozkazy, po zewnętrznéj galeryi wiodącéj do komnat królewskich.

Ukazał się nakoniec Gustaw Adolf z liczną i świetną assystencyą. Uzbrojony był jak do boju, na głowie tylko miał czarny axamitny beret z białemi piórami, giermek niosł za nim stalowy szyszak. Wzrostem, tuszą i rycerską postawą przywodził na pamięć dawnych owych bohatérów, których obrazy znajdujemy w Homerze i Plutarchu. Kiedy się dźwigał na siodło, rosły i silny rumak ugiął się pod tak niepospolitym ciężarem, i tylko wstrząsaniem grzywy niecierpliwość swą okazać usiłował. Z lewego boku Króla jechał Książe Lauenburg w wojennym rynsztunku, z prawego, Hrabia Oxenstierna w cywilnym stroju, znać przeprowadzał tylko Monarchę do obozu. Za nimi liczny poczet zbrojnych, a na końcu hufiec gwardyi. Dwóch jeszcze królewskich wierzchowców prowadzili Masztalerze, co było znakiem,

że się gotowano do spotkania, albowiem pod Gustawem w potyczce prędko na siłach upadały konie, nie rzadko też odwaga jego wystawiała je na śmierć.

Ciekawość wiodła mnie na zamkowe blanki, zkąd widzieć można było cały obóz Szwedzki. Słońce zniżone ku zachodowi odbijało swe promienie od zbroi rot ciągnących na płaszczyznę. Tam Pons de la Gardie sprawiał pułki wywijając bezustannie swoją buławą. Potém wszystko stanęło jak wryte, wódz zaś udał się na spotkanie zbliżającego się Króla, a gdy ten stanął w obec wojska, tysiączne głosy wzbiły się w powietrze mieszając się z wrzawą kotłów, trąb i surmów. Chorągwie powiały ku ziemi, błyski leciały z szeregów oddających cześć Monarsze, który wolnym krokiem objechał szyki mając przy boku swoim naczelnego wodza. Nakóniec pułk za pułkiem, piechota, jazda i artylleryа przeciągały przed Królem, udając się na wschód gościńcem ku Kryżbórgowi. Za wojskiem ciągnęły się długiém pasmem tabory, a gdy i te znikły, uroczysta cisza zaległa opuszczone stanowisko głównego Korpusu Szwedzkiéj armji.

Wróciwszy do kwatery znalazłem ks. Anzelma na modlitwie.

— Modlmy się, mój synu, rzekł do mnie z rozczuleniem, pośpiech, z jakim Król Szwedzki powiódł swoje wojsko, każe wnosić, że jutro zajdzie krwawa między nim a Gąsiewskim rosprawa. Błagajmy Pana Zastępów o błogosławieństwo orężowi naszemu, ale bła-

gajmy go nadewszystko aby serca wojujących Mocarzy skłonił do zgody i pokoju. Modlmy się także gorąco za tych, których życiu na téj ziemi bitwa kres położy. Oby ich śmierć nie zaskoczyła nieprzygotowanych do zdania rachunku przed Najwyższym Sędzią!— Oby ten rozlew krwi ludzkiéj przebłagał sprawiedliwy gniew Boga i odwrócił karzącą rękę Jego od nieszczęśliwéj téj krainy.

— Amen — wyjąknąłem padając na kolana i modliliśmy się oba długo w cichości.

XXI.

Przez dzień następujący głucha cisza panowała w zamku; bramy były zamknięte, cały garnizon pod bronią, puszkarze przy działach, a komendant rzadko schodził z wartowni, czyniąc widać przygotowania na przypadek niepomyślnego obrótu rzeczy. My także oczekiwaliśmy z niespokojnością i trwogą wieści od wojska: ks. Anzelm lubo udarowany wolnością, nie mógł korzystać z niéj w téj chwili. Wolę (mówił) posiedzieć tu jeszcze, aniżeli rozdzielić się z tobą. — »Jeżeli Bóg da naszym zabrać w téj bitwie jakiego szwedzkiego oficera w niewolę, będziemy prosić Króla, aby ciebie zań dał w zamian, a w przeciwnym razie jeśliby, *quod Deus avertat,* nasi przegrali, Gustaw daruje cię wolnością bez kondycyi, bo taki jak on rycerz po zwycięztwie wylewa się na wspaniałe czyny. Do tego jeszcze obiecał ci

nagrodę za uratowanie Lauenburga. Nie trać więc serca mój synu. Bóg podnosi poniżonych, co ufają w miłosierdziu Jego.

Tak przeszedł dzień cały. — Poźnym już wieczorem usłyszeliśmy tentent na zwodzonym moście zamkowym. Pochodnie błysnęły w bramie. Wrzeciądze wrót jękły i kilkunastu jezdnych stanęło na dziedzińcu. Poznaliśmy łatwo między niemi Króla utulonego płaszczem. Zsiadłszy z trudem z konia, wsparł się na ramieniu jednego ze swych towarzyszów i wolnym krokiem wstępował po schodach na krużganek, udając się do swego mieszkania.

Głuchy szmer trwał minut kilka na dziedzińcu; potém wszystko ucichło, ale stąpanie po korytarzach i światła migające w oknach trwały przez noc całą. Nam także nie było do snu wcale.

— Cóż wnioskujesz z tego powrótu Gustawa, mój ojcze? zapytałem księdza.

— Że mu się nie udało, odpowiedział, musiał nawet sam doznać szwanku, a przynajmniej bardzo być musi strudzony. Ale to są domysły, czekajmy jutra, może się czego pewnego dowiemy. To tylko zdaje się niewątpliwa, że była bitwa, i że musiała być gorąca. Stan tak mężnego i zahartowanego w bojach wojownika dostatecznie nam to okazuje.

Nad rankiem znowu przybyło kilku jezdnych do zamku. Ku południowi ujrzeliśmy wjeżdżającego na wnętrzny dziedziniec oficera, którego koń bielił się

od potu. Zsiadł przed krużgankiem i szybko udał się na górę, znać przysłany do Króla z doniesieniem. W pół godziny ujrzeliśmy go znowu schodzącego na dziedziniec w towarzystwie komendanta. Podano mu świeżego konia i odjechał. Komendant twarz miał bardziéj niż zwykle ponurą, ale krok jego i giesta były jednostajnie flegmatyczne, poważne.

Dręczony ciekawością postanowiłem wyjść na zwiady. Przyszło mi na myśl udać się do mieszkania księcia Lauenburga pod pretextem zapytania sług o zdrowiu ich pana. Znalazłem w przedpokoju giermka zajętego czyszczeniem zbroi. Odpowiedział na moje zapytanie, że książe zdrów ale nie wstał jeszcze. W tém zawołał na niego Lauenburg, a dowiedziawszy się, o co przyszedłem pytać, kazał mię wprowadzić.

— Dziękuję ci przyjacielu za twoją troskliwość — przywitał mnie łaskawie z łóżka. — Uniosłem szczęśliwie kości całe z potyczki, (bo się domyślasz, że była potyczka), ale po tych djabelnych tarapatach i obertasach, po dwóch bezsennych nocach, musiałem się trocha wysapać. Rozumiem, że i Król Jegomość nie musiał się jeszcze otrząsnąć z pierza, bośmy go téj nocy wcale nie wesoło układli do łóżka... Słuchajno Chrystjanie (zawołał na giermka) pojdź dowiedz się, czy wstał już Król i czy nie pytał, o mnie?”

Giermek odszedł, a jam powiedział księciu, że Król miał już dziś u siebie gońca, i że go napowrót odprawił.

— Żelazny to człowiek, rzekł na to Lauenburg. Po takim szwanku, jaki odniósł wczoraj, poleżałby drugi z tydzień najmniej. Wystaw sobie, że kula działowa rozdarła pod nim konia i pistolety w olstrach potrzaskała, on zaś wyleciał z siodła i upadł z takim impetem, że się prawie wrył w piasek. Myśleliśmy, że już zgasła dla Szwecyi świecąca jéj gwiazda; ale gdzie tam! w kilka minut wyszedł z odurzenia, odprowadziliśmy go w bezpieczniejsze miejsce, posiedział chwilę na miedzy, napił się wody, zdjął z siebie zbroję, otulił się płaszczem i kazawszy się wsadzić na konia, rzekł do mnie: »Bitwa przegrana, nie mam już tu co robić, wracam do Kokenhauzu; ty zaś mój kuzynie udaj się do La Gardie, i powiedz mu, niech rospoczyna odwrót w porządku, i weźmie ztąd o milę wiadomą mu pozycyę, w któréj ma się oszańcować. Polacy daleko za nim nie pójdą, bo rzeka im zawadza, a do tego ma się już ku wieczorowi. Ze świtem zaś niech wyszle Ehrenströma do wodza nieprzyjacielskiego z propozycyą rozejmu choćby na dni kilka. Los nam dziś był przeciwny, ale wojsko nasze nie rozbite, a ponieważ stawiło się mężnie, niech La Gardie oznajmi moim walecznym, żem z nich kontent." To powiedziawszy skinął na swój poczet i odjechał trzymając się prosto w łęku, jakby wracał z musztry. Spełniłem dany mi rozkaz, a zmieniwszy konia i nie żałując ostrogi, dognałem Króla już o kilka stai od miasta. Co za energija w tym człeku! Cierpiący był jednak,

i kiedy się układł, widać było, że miał gorączkę, ale nie pozwolił sobie krwi upuścić, jak mu radził jego lekarz, nie przyjął lekarstwa i rozkazał wszystkim udać się na spoczynek. Natura utworzyła go na wojownika, bo tak duch jak ciało są w nim nadzwyczajnego hartu. Dla tego też wojna jest jego żywiołem, życie obozowe jego roskoszą, a niebezpieczeństwa mają dlań powab największy. Lecz jakiż można przewidywać koniec dla śmiertelnego człowieka idącego ślepo za głosem swojéj odwagi? — Achilles jedno tylko na ciele słabe miał miejsce, a jednak od strzały zginął, a Gustaw Adolf mniema, że go żadna kula nie weźmie! — Żal mi go (dodał odwracając oczy), ale smutne mam przeczucie, że starości nie doczeka."

Wszedł giermek z oznajmieniem, że Król od dawna pracuje w gabinecie swoim z kanclerzem państwa; i zameldował razem Ankerströma, oficera należącego do orszaku księcia.

— Niech wejdzie, (rzekł i świstnął z łóżka na swoje brytany, z któremi się pieścić zaczął, poddając się uściskom ich potężnych łap). Dzień dobry Ankerströmie cóż słychać? Była-li już wiadomość od La Gardie?

— Była Mości książe. Polacy rozpoznawszy o świcie pozycią naszego wojska, nie tentowali drugiéj bitwy i zgodzili się na trzy niedzielne zawieszenie broni. Król Jegomość, jak mniemam, zatwierdził ten układ.

— Jeśli tak, uważam tę kampanję za skończoną,

chybaby Polacy stracili rozum i żądali rzeczy niepodobnych. Nie uczynią tego, spodziewam się tém bardziéj, że ich najlepszy dowódzca Gąsiewski dostał wczoraj postrzał. Sam widziałem, jak się pochylił wznak na siodle, i już go potém nie ujrzałem.

— Kula go podobno ugodziła w szyszak tylko, bo dziś rano zjeżdżał się z naszym jenerałem dla porozumienia się o rozejmie, odpowiedział Ankerström. Odetchnąłem.

— Szkoda, że ta przeklęta kula nie liznęła go o jakie dwa cale niżéj! — Stary ten zawadiaka gotów jest zawsze do czubów. Może się jednak trocha ochłodził, może to małe wstrząśnienie mozgu poda mu lepsze myśli do głowy. On to jest *pazurem* starego *Lwa* Sapiehy (dodał śmiejąc się z własnego konceptu). Ale wiesz, kto na nas sprowadził licho? — Głupi Krahe, przywlekłszy do naszego obozu jezuitę. Już to rzecz dowiedziona, że na łowach i na wojnie spotkanie się z księdzem rzeczą jest feralną. Król się z tego śmiał dotąd, lecz może już teraz na niektóre prognostyki baczniejszym będzie.... Ciekawym widzieć minę naszego *Pontusa*, (jak go nazywaja Polacy) obiecywał Królowi, że stopa wojska polskiego nie postanie na prawym brzegu Awikszty. Niechże teraz myśli, jakby ich znowu odpędzić na brzeg lewy. Król mu zostawi tę część roboty, bo niemieccy protestanci błagają o pomoc przeciw Cesarzowi, a Gustaw Adolf postanowił popierać ich sprawę, jako żarliwy wyznawca religijnéj reformy.

Bóg z tym, mówią, trzyma, kto ma lepszą sprawę, mnie się zaś zdaje, że raczej Bóg sekunduje tego, co ma lepsze wojsko. Bracia protestanci w Niemczech bodaj się o tém zaczynają przekonywać.... Ale już obiadowa pora (dodał rzuciwszy okiem na piękny pektorat roboty *Dawida Ramsay* Londyńskiego zegarmistrza) czas mi będzie do Najjaśniejszego pana. Bywajcież zdrowi. Ty mój kochany Ankerströmie rzuć okiem na moje myślistwo. Trzeba korzystać z czasu i popolować sobie w tych okolicach, nim je opuścimy, a Waszmość panie towarzyszu, trzymaj pod klamką swego jezuitę, żeby mi nie zachodził drogi, jeżeli nie chcesz, żebym go odprawił do Ignacego Lojoli na łono Abrahamowe.

— Śmiałżebym, rzekłem, powtórzyć W. Ks. M. najuniżeńszą mą prośbę, o miłościwe wstawienia się za mną do Najjaśniejszego pana?

— No, no, dobrze — uczynię to, chociaż chwila nie bardzo po temu.... Wystaw sobie Ankerströmie, że ten młody człowiek nie chce być u mnie na usługach, bo stracił swoją ulubionę i mniema, że się już wszystko dla niego skończyło na tym świecie! — Oto, patrz nieboże, (rzekł do mnie idąc do swojéj gotowalni) w dwóch tych portretach, zawiera się historja wszystkich miłości. Jedna z tych kobiet była, druga jest kochaną, i będzie póty, póki.... Ale widzę z twéj miny, że tego nie pojmujesz, tém gorzéj dla ciebie. Bywajże zdrów!" i pożegnał mię skinieniem ręki ku drzwiom.

Ucieszył się ks. Anzelm, gdy się dowiedział o zawieszeniu broni. »Wkrótce (rzekł) wybije dla nas, za łaską Boga, godzina wolności! Od zamiany jeńców zwykle się zaczynają układy; tymczasem cierpliwość mój synu. Czekajmy aż przeminie w Królu nie miłe wrażenie doznanéj przeciwności. Wielki umysł jego rychło wróci do swéj równowagi, ale w piérwszéj chwili wymagać tego nie można po największym człowieku.... Ale, ale, mam dla ciebie zagadkę: zgadnij kto był u mnie przed chwilą?

— Może Ryszard Krahe? rzekłem.

— Coś podobnego, ale na większą skalę. Doktor Fabricius; nadworny predykant J. K. Mości.

— Żwawa być musiała utarczka.

— Mylisz się mocno. Nie dysputowaliśmy z sobą wcale i rozstaliśmy się jak najlepiéj. Widzę twoje zdziwienie, otóż ci powiem, że Fabricius jest to *Vir exquisitissimae comitatis*, pełen dworszczyzny, żarliwy protestant, ale i polityk razem. Z takim człekiem można się o wszystkiém rozmówić bez poruszenia żółci; inaczéj też nie byłby w respekcie u takiego jak Gustaw-Adolf monarchy. Był u mnie nie bez pewnego celu, chociaż go przysłonił grzecznie chęcią niby zabrania ze mną znajomości. Po krótkim obojętnym wstępie, naprowadził rozmowę na przedmiot, który onegdaj nie pomału zajął jak widziałeś Króla — na Missye nasze w Paragwaryi. Słuchał o nich z natężoną uwagą, zadawał mi rozmaite pytania i dał mi się do-

myślić, że Gustaw-Adolf wielkąby miał chęć utworzyć protestancką propagandę, i nawracać pogan na wiarę luterską. Myśl to jest godna tego wielkiego Króla, i gdyby się wykonać dała, przyniosłaby ważne zaiste pożytki: bo te protestanckie missje zapewniłyby przez chrzest zbawienie duszom umierających w dziecinnym wieku Neofitów; a powtóre, dając poznać prawdziwego Boga poganom i nauczając ich moralności chrześcijańskiej, wyprowadziłyby ich ze stanu dzikości, i przygotowałyby niejako rolę ewangieliczną do przyjęcia poźniej ziarna naszéj św. katolickiéj wiary. Ale nie ma nadziei, żeby duchowieństwo protestanckie mogło kiedy wydać z siebie missjonarzy. Będzie ono miało teologów, uczonych, wymównych, będzie miało ludzi obyczajów przykładnych, dobrych ojców familji, ale Missijonarzy *z powołania* nigdy! — Bo chociażby się znalazło kilku żarliwych Predykantów na wzór *Knoxa*, *Wardena* i t. p. coby znaleźli w sobie dostateczną odwagę, do opowiadania poganom Ewangelji z niebezpieczeństwem własnego życia, znajdą-li oni wsparcie w członkach swego duchowieństwa żonatych, zajętych hodowaniem potomstwa, gospodarstwem i potrzebą zostawienia dzieciom funduszu? Luter i Kalwin kassując bezżeństwo księży i zgromadzenia zakonne, odjęli stanowi duchownemu śrzodki najdzielniejsze do nabycia téj doskonałéj miłości Boga i bliźniego, która jedna doprowadzić może człowieka do całkowitego rozbratu ze światem, do zaprzania się samego

siebie, a bez któréj prawdziwe powołanie apostolskie w nim się nie znajdzie. *Abneges semet ipsum et sequatur me*, a jakże to uczyni protestancki minister bez opuszczenia żony i dzieci? — Powiedzież ich z sobą w pustynie nowego świata? — Nie podobna. Pójdzie więc chyba w podbite już orężem pogańskie krainy? — ale i tam czekają go te same przeszkody, co i we własnéj ojczyźnie. Dom, żona, dzieci, gospodarstwo, interesa świeckie, spętają mu nogi, ostudzą w nim zapał. Nie powiedziałem tego Fabriciusowi *explicite*, chcąc uniknąć wszelkiéj z nim dysputy, ale w obrazie missjonarza katolickiego stawiłem na jaw niepodobieństwo propagandy dla protestantów. Zrozumiał on to należycie, i zapewne nie czuje w sobie powołania do tak trudnego rzemiosła, ale jeżeli rzeczywiście Król myśli o nawracaniu pogan na luterską wiarę, nie będzie śmiał Fabrycius wyrzec słowa przeciwko woli swego pana. Skończyła się nasza konferencja na grzecznych wzajemnych oświadczeniach, z czego uważać możesz, mój synu, że między żarliwemi nawet obrońcami dwóch przeciwnych wyznań może się obejść bez sprzeczki, skoro jedna i druga strona zachować się umie w granicach przyzwoitości i umiarkowania."

We dwa dni potém komendant przyzwawszy mnie do siebie, oznajmił, iż z rozkazu najjaśniejszego pana otrzymuję wolność, bez żadnéj kondycyi, w nagrodę oddanéj księciu Lauenburgowi usługi, i że na domiar téj łaski Król jegomość raczył mi podarować konia

z rzędem i 20 sztuk złotej monety na drogę. Tegoż więc dnia opuściliśmy z księdzem Anzelmem Kokenhauz, udając się z przydanym nam dla bezpieczeństwa wachmistrzem Stefensonem do obozu polskiego. Króla nie mogliśmy widzieć, ale w imieniu Najjaśniejszego pana, hrabia Oxenstierna przyjął nasze pożegnanie i oddał mi do Wojewody Gąsiewskiego pismo. Książe Lauenburg wybrał się był dniem wprzódy na łowy do pana Roemera, którego dobra graniczą z Kokenhauzem, nie mogłem go więc pożegnać.

Zszedłszy na dziedziniec otrzymałem od oficera straży pozwolenie pożegnania moich żołnierzy więźniów. Pocieszyliśmy biédaków nadzieją prędkiéj wolności; ksiądz Anzelm zostawił im swoje błogosławieństwo, ja zaś sakiewkę ze złotem daną mi od króla Gustawa.

Rumak mój z błyszczącym rynsztunkiem ściągał na siebie oczy Szwedów, uszanowanie zaś, jakie Stefenson okazywał księdzu Anzelmowi, podwajało ich zadziwienie.

— Co to za różnica — rzekł do mnie ten poczciwy żołnierz — między podróżą waszą do Kokenhauzu, a powrótem z niewoli. Ktoby się końca takiego mógł spodziewać?

— Nasz przyjaciel Krahe pewno się tego nie spodziewał (odpowiedziałem).

— Biédny Ryszard (mówił Stefenson) mniéj się jeszcze spodziewał skończyć tak rychło rycerski swój zawód.

— Cóż mu się stało?

— Poległ w ostatniej bitwie. Mówiłem już wam, że choć nieznośny gaduła i kalkulator, walecznym był jednak żołnierzem. Gdy chorągiew nasza odebrała rozkaz przykrycia baterji, którą sam król kierował, Krahe rzekł do mnie: „Bracie Stefensonie, mam jakieś przeczucie (i dodał cóś po łacinie, czego nie zrozumiałem). Jeżeli mnie przeżyjesz, weź pod swoją opiekę moją tajstrę, znajdziesz w niej trochę pieniędzy i testament, którego czynię ciebie exekutorem.”— Zrobię co chcecie, odpowiedziałem, ale zkądże wam to przeczucie?— „Alboż nie widzisz króla przy baterji? rzekł znowu. Wnet ujrzysz, jak tu do nas polecą polskie kule.”— I w samej rzeczy zaczęły przeraźliwie świstać. Staliśmy jednak jak wryci, bo obecność Gustawa Adolfa każdemu dodawała serca. Wtém kartacz obalił podemną konia, i ledwiem stanął na nogi — spójrzę — Krahe spada z siodła. Podnoszę go z ziemi, ale darmo: raniony był śmiertelnie. „Żegnaj bracie Stefensonie, rzekł ściskając mi rękę, stało się, jak ci mówiłem... weź moją tajstrę... rachunek mój ze światem skończony, wnet nastąpi ważniejszy z niebem... Kto wie, czy jezuita nie miał racyi?... Wiara bez uczynków może być niedostateczną... Słuchajże: podzielcie się połową moich pieniędzy między sobą, a drugą połowę, bracie, rozdaj ubogim — testament zaś mój podrzyj; tak będzie bezpieczniej.” Potém cóś szeptał po łacinie i skonał.

Mocno nas wzruszyło to opowiadanie. Ksiądz Anzelm rzekł: „Niech zmarły odpoczywa w pokoju, będę o nim pamiętał w modlitwach moich, i ty także Jordanie polecaj go nieprzebranemu miłosierdziu Boga.”

O milę od Kokenhauzu spotkaliśmy panów Mikołaja Korffa półkownika, i Drobysza podczaszego Wendeńskiego, jadących w poselstwie od pana wojewody smoleńskiego do jenerała La Gardie z niektóremi propozycyami. Dowiedzieliśmy się od nich, że wojsko nasze po wygranéj bitwie, wzięło stanowisko swoje nad rzeką Ewiksztą, że hetman Sapieha był w Szadowie, a wojewoda Gąsiewski w Zelborgu. Nie zdawało się jednak tym panom, iżby po tym rozejmie nastąpił pokój, przewidywali owszem, że się traktowanie na niczém skończy, i że król szwedzki rozjątrzony porażką, a dość jeszcze silny, zechce powetować swéj straty, albo przynajmniéj narzucić nam twarde kondycye pokoju.

Pożegnawszy ich, puściliśmy się w dalszą drogę środkiem szwedzkiego wojska, w którém widać było sposobienie się do nowéj walki. Dostaliśmy się na końcu szczęśliwie do naszéj przedniéj straży, i uściskawszy po raz ostatni poczciwego Stefensona, który się nie zgodził żadnéj za swą fatygę przyjąć od nas nagrody, ujrzeliśmy się z radością w pośród rodaków.

XXII.

Zdziwił się Wojewoda Gąsiewski ujrzawszy nas przed sobą, bo nic dotąd o późniejszych przygodach naszych nie wiedział, lecz zadziwienie jego bardziéj się jeszcze wzmogło, gdy przeczytał list kanclerza Oxenstierna, który mu oddałem.

— Jakem *Korwin* (*) nie spodziewałem się przybycia waszego z téj strony horyzontu, a mniej jeszcze rekomendacyi, jaką mi waszmość panie towarzyszu dla siebie przynosisz w tym liście od króla jmci szwedzkiego. Oczekiwałem od was doniesienia o zdobyciu pogańskiéj osady, i tém niecierpliwiéj, żem był niespokojny o życie i zdrowie wielebnego ojca Anzelma, oraz téj biédnéj Rozalki, chrzestnéj mojéj córki, a wy

(*) Przydomek rodziny Gąsiewskich i nazwa ich herbu.

tymczasem *per tot discrimina rerum* dostaliście się do nieprzyjacielskiego obozu, i potrafiliście *mirabile quantum* zjednać sobie względy króla Gustawa Adolfa, a to jeszcze w chwili, kiedy, jak się mniemać godzi, jego królewska mość, czuć musi cokolwiek urazy do Polaków za niegrzeczne przywitanie *serenissimi* na Ewikszcie!— Gdybyście mnie zabili, nie zgadłbym jak się to stało.

Musieliśmy zatém opowiedzieć Wojewodzie wszystkie nasze przygody. Z wielkiém wzruszeniem słuchał mąż szlachetny historji nieszczęść Ilgońskiego, a ten cios ostatni, który spadł na pokutującego w momencie, gdy, jak się zdawało, przebłagane niebo otwierało dla niego źródło największego wesela, uczynił na umyśle starego wojownika najsilniejsze wrażenie. A cóż dopiéro, gdy usłyszał o poświęceniu się Roazy. „Nigdy mi nie wyjdzie z pamięci heroiczne to dziéwczę (wykrzyknął). Od piérwszego na nią spójrzenia powziąłem ku niéj affekt i nie mogłem sobie tego wytłumaczyć. Dziwne też było nasze zaślepienie widzieć w niéj łotewkę, jakby pełne szlachetności rysy jéj nadobnéj twarzy nie objawiały wyraźnie prawdziwego jéj rodu.”

Jął mię potém z prawdziwą dobrocią pocieszać, i odgadując, żem niecierpliwie pragnął dostać się co najprędzéj do Aulji, dał mi urlop na cały czas rozejmu.

Opisał nam potém pokrótce swoje w ciągu téj wyprawy przeciw Szwedom działania, wyparcie Horna z Lixny, porażkę Laskopela ciągnącego tamtemu w po-

moc z Sesweja, i nakoniec bitwę ostatnią nad Ewiksztą, w której sam omal nie zginął. Ukazał nam swój szyszak przedziurawiony nieprzyjacielską kulą, co się osobliwszém szczęściem, nie gabnąwszy czaszki, powierzch głowy jego przeleciała. Jak mało trzeba było, ażeby ta potyczka okryła dwa wojska żałobą, bo i Gustaw Adolf, jak widzieliśmy, cudownie uniknął śmierci. Świetnym rezultatem tych wojennych Gąsiewskiego działań było, iż w tym krótkim czasie nietylko kilka zamków oswobodził, kilkaset jeńców i wiele municyi zdobył, ale Szwedów z niemałą ich stratą za Ewikszte wyparł.

Pożegnawszy Wojewodę byłbym się zaraz wybrał w podróż, ale, że ksiądz Anzelm chciał przed odjazdem nawiedzić obozowego kapelana jezuitę, musiałem się zatrzymać, a tymczasem pan La Montagne, dowiedziawszy się o mojém przybyciu, wpadł do mnie z pospiechem świadczącym o dobrych jego ku mnie chęciach. Miły był mi zaiste ten dowód przyjaźni, alem się bał, żeby z wielkiej swej uprzejmości, Francuz mi nie zabrał dużo drogiego czasu, a przytém nie mogłem się uwolnić od opowiedzenia mu wszystkiego, co mię spotkało od chwili naszego rozstania. Ledwiem się atoli do tego zabierał, nadeszli inni towarzysze broni: Dziewiałtowski, Konstantynowicz, Snarski; a więc nowe pytania, nowa dla mnie męka, aż nakoniec La Montagne ulitowawszy się nademną rzekł:

— „Wybaczcie szanowni koledzy, ale zamiast utru-

dzenia biednego naszego przyjaciela pytaniami, wypadało nam raczej pomyślić naprzód o pokrzepieniu sił jego pokarmem i napojem. On tą razą naszym jest gościem, proponuję zatem zaprosić go na żołnierski traktamencik.”

Daremnie wymawiałem się od tego dowodu uprzejmości moich kolegów, projekt pana La Montagne przyjęty został jednogłośnie; powiedli mię więc gwałtem prawie do jedynej w tem miasteczku garkuchni i posadzili za stołem, traktując czem tylko mogli. Wypłacając się za tyle uprzejmości, musiałem zaspokoić w pełni ich ciekawość opowiadaniem wszystkich moich przygod. Proste, poczciwe serca, walecznych tych wojaków, szczery brały udział w cierpieniach mej duszy; każdy z nich swoim sposobem starał się mnie pocieszać, i te oznaki czułości, właśnie dla tego, że prawdziwe, słodko mię do łez rozrzewniały. La Montagne nawet, pomimo częstych libacyi, nie mógł się zdobyć na wesołość.

— Napróżno, rzekł, radziłbym tobie utopić frasunek w szklenicy dobrego wina. Umysł twój nie nabrał jeszcze tyle hartu, żeby mógł tak prostym środkiem odegnać od siebie czarną troskę. Sprobujmy więc innego lekarstwa, wznieśmy się w sferę filozofji sentymentalnej, której liznąłem trochę obcując z wielkim sentymentalistą a moim przyjacielem *Desmarets*. Otoż, kiedy sobie przypominam głębokie mistrza tego twierdzenia, uważam z pociechą, żeś ty nie jest tak nie-

szczęśliwy, jakby z pierwszego rzutu oka na twe położenie sądzić wypadało, i zaraz ci tego dowiodę: Byłeś kochany z taką mocą, jakiéj nader rzadkie mieliśmy dotąd przykłady, a byłeś kochany od anioła w postaci niewiasty. Z miljona ludzi ty jeden doznałeś tego rodzaju szczęścia, téj jakiejś najwyższéj roskoszy, do któréj każdy, kto nie jest całkowicie zwierzęciem, dąży tajemnym pociągiem duszy, pośród nawet zmysłowych uciech, pośród szczęku oręża, na łonie dostatków i dostojeństw. Ja sam, wcale jak widzicie nie stworzony na Korydona, ja, którym sobie przyswoił wyobrażenia i obyczaje obozowego życia, dość gorliwy hołdownik, sam temu nie przeczę, Marsa i Wenery.

— I Bachusa troszeczkę? wrzucił pan Konstantynowicz.

— Gdybyś powiedział: Komusa, przymówiłbyś trafniéj (odparł La Montagne), ale ty panie bracie nie zasłyszałeś nigdy bodaj o tym bożku; Bachusowi zaś gęściéj niż ja składasz ofiary. Bądź co bądź jednak, pozwólcie mi wyłuszczyć myśl, co mi do głowy niespodzianie zawinęła, a to choćby tylko dla dowodu, żem się urodził pod niebem Prowancyi, w téj ojczyznie trubadurów, co nam w swoich pieśniach tak żywe doskonałéj serdecznéj miłości zostawili obrazy.

— Kozak mój, bandurzysta Omelko, (przerwał znowu Konstantynowicz) nie był nigdy w waszéj Prowancyi; urodził się i wyrosł na ukraińskich stepach; a kiedy zanóci miłośną dumkę, to jakby rzucił na czło-

wieka urok; zapomnisz gdzie jesteś, zdaje ci się, że wraz z tą dziwną pieśnią lecisz skrzydłami w kraj rodzimy, oddychasz wiatrem stepowym i widzisz przed sobą postać twojéj czarnobrewéj. Dla tego też zakazuję hultajowi śpiewać w obozie te dumki, bo to nawodzi jakąś tęsknicę do serca, i jakieś niepotrzebne żołnierzowi myśli do głowy. Otoż i ty kapitanie, wybacz, wdałeś się nie w swoje. Filozofować o miłości, wcale nie do twarzy tak walecznemu jak ty wojakowi. Za to też żołnierska twoja filozofja wyborna: „Dzień nasz, wiek nasz! Dziś pod wozem, jutro na wozie! Szablą z góry, szklanką w górę!" Oto mi filozofja!— Daliśmy Szwedom cięgi, dzwoniliśmy gracko w szable, dzwońmyż teraz w szklanki.

— W saméj rzeczy Konstantynowicz ma racyę — rzekł pan Dziewiałtowski — nie gniewaj się na niego kapitanie, on to powiedział w prostocie ducha i nie miał zamiaru was obrazić.

— Znam go, mój rotmistrzu, odpowiedział La Montagne, i dla tego mu przebaczam niezbyt grzeczne przerwanie mi głosu; a wreszcie, jak mówi nasz Wojewoda, *in poculi*, w dobréj komitywie, nie przystoi ściśle rachować słowa. Zachowam więc na czas inny dla Jordana moje argumenta, kiedy zwłaszcza uważam, iż w téj chwili nie trafiły do jego przekonania, a ponieważ on partacz do kielicha, więc w ręce twoje, na zgodę, przyszły atamanie!"— Kiedy tak Francuz

z Ukraińcem zapijali zgodę, pan Dziewiałtowski opowiadał mi o potyczce nad Ewiksztą.

— Nie była ta, rzekł, bitwa decydująca, ale możemy się pochlubić wygraną: bośmy nie dali Szwedom przejść za rzekę, owszem samiśmy ją przeszli, przepędziliśmy ich o milę, a plac boju został przy nas i wzięliśmy 200 w niewolę. Król Gustaw o włos nie zginął, i pierwszy zrobił nam propozycyą rozejmu. Zrazu Gąsiewski perswadował Hetmanowi nie przyjąć układu, ale po zrekognoskowaniu pozycyi, w której się nieprzyjaciel po swej rejteradzie utwierdził, musiał acz niechętnie odstąpić przedsięwzięcia attakowania go w niej tak szczupłemi jak dziś mamy siłami.

— Ja zaś, — odezwał się pan Snarski, w duszy mej przeklinam ten Kwartyr! Jakkolwiek szczupłe są nasze siły, ale po wygranej potyczce żołnierze pełni odwagi, pełni ufności w swych wodzach, pełni ochoty do boju; z takim ludem można robić cuda. A któż wie, czy nie ostygną przez czas zawieszenia broni, osobliwie, gdy dla braku pieniędzy, nie damy im należytej kontentacyi.

— Bieda z wami młodemi — odrzekł mu Dziewiałtowski — Ufacie więcej waszej odwadze aniżeli doświadczeniu sędziwych wojowników, a byle mała wygrana, już sądzicie się zwycięzcami, pogardzacie nieprzyjacielem, słowem jak mówi przysłowie: łowicie ryby przed niewodem! źródło tego zapału jest chwalebne, ale skutki jego byłyby nieraz, jak np. i teraz, bardzo niepo-

myślne. Kiedy zaś otrzymamy posiłki to rzecz będzie inna, wtedy zobaczysz, jak się nasz wojewoda około Szwedów zawinie.

—Posiłki?— zawołał Snarski — a prędkoż się ich doczekamy? Na wierzbie to pono gruszki.

—Hetman Sapieha silnie się o nie u Króla Jmści i stanów Rpltéj, domaga. Pisał do Warszawy własnoręcznie i wiém z ust najpewniejszych, iż témi słowy pismo swe zakończył: „Jeśliż J. K. M. listów przypo-„wiednych posłać i wojska słusznego dać nie raczy, aby „J. K. M. ten ciężar nieznośny z ramion moich zdjąć i „mnie z niego wyzwolić raczył.” Alboż to nie jest *conditio sine qua non?* Co?

—Śmiało, tęgo, niéma co mówić, ale daj Boże gdyby nie kulą w płot (mówi znowu Snarski). Żołnierza nam nie dadzą, bo zkądby go wziąć naprędce? Od południa strzedz musi kwarciane wojsko granic przeciw napaściom Tatarów i Turków, a i Kozactwa z oka spuścić niebezpieczno. Od strony Pomeranji także pilnować się trzeba, bo na wierności księcia Pruskiego nie wiele rachować można. Tam stoi Koniecpolski z trzema ledwie tysiącami jazdy, i sam pewno potrzebuje sukursu. Zniskąd więc nasz korpus wprędce nie otrzyma pomocy. Gdyby przynajmniéj dali pieniędzy, możeby się udało jakoś zrobić zaciąg na Litwie i naszym ludziom coś na żołd wypłacić, ale skarb Rzpltéj pusty, a czekać aż na sejmie uchwalą łanowe, to się ujrzymy bez bótów i bez chleba.

—Hetman zastąpi z własnéj swéj szkatuły.

—Wyczerpał już ją kaducznie na tę sprawę, daj Boże gdyby nie do dna. A czy mu za to podziękują, to jeszcze kwestja. Bo co do indemnizacyi, o, ta będzie— na papierze. Ale wiecie co panie rotmistrzu? Ja się boję, żeby się hetmanowi nie dostało za zgodzenie się na rozejm bez referowania się wprzód o to do Króla Jmści. Kto wié, czy zechcą uznać, że on był w tym razie *necessitate adductus*, i czy nie powiedzą, że to uczynił *contra jura Majestatis Regiae?*

—Co się też tobie marzy, kochany mój paliwodo? albož tego nie czynili przed nim hetmani? oto, jeszcze nie dawnych czasów, Radziwiłł hetman polny, nie mając nawet *tantam necessitatem*, na cały rok *suspensionem armorum* postanowił, a przecie mu tego nie naganiono. Co się zaś tyczy sukkursów, lada dzień flota hiszpańska zawinie do Gdańska z wojskiem i z pieniędzmi, a Rakuski korpus wzmocni nasze siły od strony Pomeranji.

—Obiecanki, cacanki — mruknął kiwając głową Snarski— Rakuszanie przyjdą, jak łyżka po obiedzie, wtedy kiedy tak lub owak bez nich skończym z Gustawem wojnę, a Hiszpanie wcale nie przyjdą. Trudno bo też im z końca świata, z pod gorącego słońca przypłynąć aż do naszéj Sarmacyi, i w taftowych pludrach, w trzewikach, biegać z nami po śniegu. Jam nie polityk, nie statysta, ja rzeczy kombinuję po prostu. Monarcha powinien uważać swoich sprzymierzeńców, jak człek prywatny swych przyjaciół. Póki szczęście

sprzyja, są mu oni wierni, skoro się zaś odeń odwróci myśli już każdy o sobie i łatwo znachodzi pretexta do wykręcenia się od czynnej pomocy, a podwaja obietnic i oświadczeń, które mu nic nie kosztują; toż to jest właśnie, co nazywają *polityką*, a z czego zdaje mi się wynika, że im kto polityczniejszy, tém mniéj mu wierzyć można. (*)

—*Tonnerre de Dieu!* (wykrzyknął La Montagne, słysząc tę konkluzyą Snarskiego) chciałbym, żeby tę waszą definicyą polityki słyszał Kardynał Richelieu, lubo nie ręczę, żeby wam potém nie kazał włożyć na szyję order ś. Patibularjusza. Niech mię kaci porwą panowie bracia, jeżeli nasz kolega nie powiedział najświętszéj prawdy!

—Ja także z nim trzymam,— wołał Konstantynowicz,— Bóg i szabla, oto sprzymierzeńcy, w żadnych innych nie wierzę! niech djabli ten kwartyr!

—Przegadać was wszystkich nie potrafię— powiedział Dziewiałtowski, a przeto nie posuwam dalej sporu. Sądźcie, jak się wam podoba, ale podług mnie lepiejbyście zrobili pokładać zupełne zaufanie w znajo-

(*) Poczciwy Snarski prostym swoim żołnierskim rozumem, trafnie przecie odgadł wiszące nad krajem polityczne wypadki. Flota hiszpańska nie przyszła, posiłki Rakuzkie przyszły późno i uczyniły więcéj szkody niż pożytku. Sapieha z Gąsiewskim sukursów nie otrzymali, a nierównémi siłami zmuszeni walczyć ze Szwedem, ciężkie odnieśli klęski i tylko nowym rozejmem, uratowali Inflanty, za co późniéj na sejmie czyniono hetmanowi w. ostre wyrzuty.

mości rzeczy i doświadczeniu naszych wodzów. Tej reguły trzymam się święcie od czasu jak służę w wojsku i dotąd jeszcze tegom nie żałował.

—Buntu nie podniesiem, — ozwał się Konstantynowicz, ale w dobréj intencyi odkryć przyjaciołom me zdanie nikt mi nie zaprzeczy!

Bojąc się gdyby dysputa nie wyprowadziła zagrzanych winem interlokutorów z granic umiarkowania, przerwałem ją wtrącając, że podług tego co mi powiadał książe Lauenburg, król szwedzki naglony prośbami niemieckich protestantów, zamyśla ciągnąć ze swém wojskiem ku ich odsieczy, a zatém nie będzie trudnym do zawarcia z Polską pokoju.

—Słyszałem — rzekł La Montagne,— że Wallensztein i Tilly kaducznie dogrzewają książętom protestanckim. Prowincyał Jezuicki był onegdaj u pana wojewody i ciesząc się z tych powodzeń prawowiernego oręża, konkludował, że byle Gustaw Adolf nie stanął na czele protestantów, sprawa ich upadnie. Otoż tu sęk: bo gdy Austrya, Hiszpanja i jezuici są za wojną ze Szwedem, trudno będzie króla Zygmunta namówić do pojednania się z Gustawem Adolfem.

—Dobra też właśnie pora do układów— wrzucił Dziewiałtowski— teraz, albo nigdy, można wymódz na Gustawie korzystne dla Polski kondycye traktatu.

—Dałby to Bóg— rzekł Snarski— ale skoro Szwed zwącha, że Rakuszanie tylko mydlą, Hiszpanie ani się ruszą, nadewszystko zaś, że między Królem Jego-

mością a Stanami Rzeczypospolitej znowu zajdą rozterki, nie omieszka skorzystać z tego na swój pożytek. Zostawi w Polsce większą część swego wojska, pod dowództwem którego ze swych hetmanów, a sam choć z małą siłą pójdzie do Niemiec, bo tam więcéj pono potrzebują jego głowy niżeli ramienia.

—Więc tém lepiéj,— wykrzyknął Konstantynowicz, będziem się bić, a ja to wolę niż bezczynnie leżeć na kwaterach? Chciałbym się tylko spotkać w potyczce sam na sam z tym Lauenburgiem, i podziękować mu szablą za szatańską myśl zrzucania naszych jeńców ze skały do Dźwiny! Licho ci nadało panie Jordanie odebrać go djabłu, kiedy go ten już chwytał za kołnierz!

—Samibyście to na mojém miejscu uczynili, odpowiedziałem.

—Jużciż prawda, honor nakazywał, nie było rady; żal mi tylko, żeś był tak blizko tego poganina, kiedy on wisiał z koniem nad przepaścią. Piję tę szklankę na jego pohańbienie!

—Wypij ją lepiéj panie bracie za zdrowie naszego towarzysza,— rzekł Dziewiałtowski,— i my ci dopomożem życząc panu Jordanowi szczęśliwéj drogi i wszelkiéj pomyślności, bo on jak uważam chciałby już być na siodle.

Podziękowawszy zacnym moim przyjaciołom, pożegnałem ich udając się do naszéj gospody, gdzie się już księdza Anzelma znaleźć spodziewałem, a La Mon-

tagne ująwszy mię pod ramię uparł się towarzyszyć mi aż do końca. Wyznam też, iż po kilku szklankach, które przez samą uczciwość wypić musiałem, krok mój był trochę niepewny, a przeto pomoc ramienia walecznego kapitana zrazu nie znalazłem zbyteczną. Świéże powietrze i przechadzka rychło mi wróciły równowagę, atoli uprzejmy mój podporca nie puścił mię aż na progu gospody. Szliśmy chwilę w milczeniu, wreszcie La Montagne wychodząc z zamyślenia tak się do mnie odezwał:

—Zdaje mi się przyjacielu, że się z sobą nie prędko ujrzymy, kto wié nawet czy to już nie ostatnia poufała nasza rozmowa. Bardzo się boję, żebyś, jak cię znam, nie pogrążył się w smutku i nie obrzydził sobie świata: u was nabożników to nie nowina, a twój jezuita nie opuści dobréj pory i zawerbuje cię jak raz pod swoją chorągiew. Szukajże cię wtedy po celach klasztornych! Tam mię już pewnie nie spotkasz, chybaby przypadkiem na feście w refektarzu wielebnych ojców. Otoż ta myśl bardzo mię frasuje. Nie jestem przecie ateuszem jak Lauenburg, szanuję religiję moich ojców i nie mam nic przeciw ludziom duchownego stanu; ale mniemam, że gdy młody dobrze urodzony człowiek, włazi w habit, robi krzywdę i stanowi swemu i całemu społeczeństwu. Pod starość chyba, kiedy już do niczego niezdatny, wolno mu zakopać się w murach zakonnych. Na dowód zaś, że mam religiję, zakupię mszę na odwrócenie ciebie od téj słabości. I

wiész komu dam na mszę? księdzu Anzelmowi, *notandum* nie odkrywając przed nim rzeczywistego mego zamiaru. Uważ jak to będzie pociesznie, kiedy on sam sobie pomięsza szyki odprawując mszę przeciwko własnéj swéj intencyi. Tylkoż słowo przyjacielu, że przed nim nie wydasz mego sekretu.

Kiedy słów tych domawiał, weszliśmy do stodoły naszéj gospody, gdzie już na mnie oczekiwał ksiądz Anzelm. La Montagne uprzejmie go powitał, winszował szczęśliwie odbytéj walki z poganami i z heretykami, a w końcu ofiarował mu na mszę talara. Ksiądz nie przyjął opłaty, a kapitan się bardzo zdziwił usłyszawszy, że jezuitom reguła ich zabraniała brać pieniądze na msze,

—Będę jednak przed Bogiem pamiętał o was mości kapitanie, dodał ksiądz Anzelm: i z wielką pociechą dostrzegam w was poznaki bogobojności. Życzymy z serca, abyście się utwierdzali coraz więcéj na jedynéj drodze wiodącéj do zbawienia i przyrzekamy wam bezpłatnie wszelką pomoc, jakiéjbyście w tym celu od nas zażądali.

To powiedziawszy, ukłonił mu się poważnie i odszedł do izby dla zabrania swego płaszcza, a La Montagne pokrywając małe zawstydzenie, na które się wystawił, rzekł do mnie:

—Co za ostrożność w tych jezuitach. Reguła ich jest arcydziełem polityki, a Richelieu obok Lojoli partacz w swojém rzemiośle!—No cóż robić? dam inne-

mu mnichowi tego talara, a znajdę takiego, co mi zań kilka mszy odprawi. Może *quantitas* ujdzie w tym razie za *qualitas*.

Obejrzał potém z upodobaniem mojego konia i uznawszy ten upominek godnym ręki, z któréj go otrzymałem, zamknął uwagą: że zważywszy wszystko i biorąc rozumnie rzeczy, nie powinienem był poddawać się rozpaczy. Rozstał się ze mną nareszcie poczciwy La Montagne z prawdziwym żalem, my zaś z księdzem Anzelmem, przeprawiwszy się przez Dźwinę puściliśmy się na Kryżborg Dyneburgskim szlakiem.

XXIII.

Zbliżając się ku domowi, rosła we mnie niespokojność i trwoga. Słaby promyk nadziei rozświecał czasami posępność mych dumań, ale tém chyżéj znikał, że ksiądz Anzelm radził mi być raczéj przygotowanym na najgorsze, aniżeli zwodniczą nadzieją osłabiać zupełne poddanie się wyrokom Najwyższego. Daleki atoli byłem od téj rezygnacji, która jest tylko mężnych dusz udziałem. Ciężar mojego smutku zginał mię ku ziemi, i głuchy na upomnienia kapłana, niczego już nie pragnąłem jedno umrzeć na grobie Roazy. Rodzice, dom, czeladka, znajomi i krewni, wszystko cobym w innym razie oglądać pragnął najżywiéj, wyszło teraz mi całkiem z myśli. Pagórki, lasy, jeziora, tak miłe niegdyś memu oku, zlewały się w téj chwili w jedną nagą, martwą przestrzeń, śród któréj zdawało mi się widzieć zieloną

mogiłę z białym na niej krzyżem. Mroczny jesienny wieczor, którym przybywaliśmy do wrót naszéj wioski i głos przytłumiony kapłana odmawiającego pobożnie swoje pacierze, podniosły smutne moje marzenia do takiego stopnia, że stanąwszy przed gankiem własnego domu, nie wiedziałem gdziem był, i zawołałem z bolesnym jękiem—Ojcze Anzelmie, klęknijmy! tu ona jest!— tu jéj mogiła!

W tym, słabe światło błysnęło w sieni i otoczona niém postać niewieścia stanęła u wejścia na progu, jakby obraz w czarne oprawiony ramy — „Jordan!" — Roaza! — dwa te wykrzyki, z dwójga serc razem wyrwane, zlały się z sobą wjedno brzmienie, co się po całym rozbiegając domu wywołało zeń wszystkich jego mieszkańców. Alem ja tego nie widział utraciwszy czucie.

Gdym wrócił do zmysłów ujrzałem, obok siebie matkę moją, która płacząc trzeźwiła mię jak mogła; przy niéj stała Petronella z flaszką i kropidłem w ręku, z drugiego boku mój ojciec wsparty oburącz na lasce, wpatrywał się we mnie nie zwracając oka, daléj trochę pan Jowita z załamanemi rękami, a w głębi ekonom i kilku z czeladzi. Nie dopatrując się w tém kole Roazy, chciałem krzyknąć, ale matka zamknęła mi usta, tuląc mię do swego łona i radośnemi twarz moją oblewając łzami. Wtedy mój ojciec schylił się ku mnie — położył błogosławiąc rękę na méj głowie i rzekł do żony łagodnie strofującemi słowy:— „Wszak ci mówiłem moja rybko że, przy łasce Boga, chłopiec nam nie umrze.

Dziwi mię nawet, że zemdlał, bo to żołnierzowi okopconemu prochowym dymem nie przystoi, chyba w razie, gdyby nieprzyjaciel sporo mu krwi utoczył. Ale już to przeszło, a zatém nie ma czego dłużéj szlochać moja panno; puść go waćpani, a niech się ztąd wszyscy oddalą, aby sobie odpoczął i zebrał należycie zmysły.

Rozkaz ten atoli nie prędzéj został wykonany, aż się wszyscy ze mną wprzód przywitali, lubo mój ojciec dąsał się i laską postukiwał wołając:—,,Co u djaska! Nie słuchają mnie?—Konfederacja? bunt?—Jakem Sodalis, raz piérwszy mi się to zdarza w moim domu! — Chorążycu, Burczymucho, poszedłbyś lepiéj do piwnicy a przyniosł starego wina, to się i chłopiec orzeźwi i waść go *more antiquo* jak przystoi przywitasz.

To mówiąc wygnał z izby domowników i sam za niemi wyszedł, a tylko matka moja została przy mnie.

— A więc to było tylko widzenie, rzekłem do niéj z jękiem, był to więc cień tylko Roazy, co mi się ukazał na jéj mogile! — Ona więc nie żyje!

— Żyje, moje kochane dziécię— odpowiedziała matka — ją samą widziałeś na progu domu, ale jeszcze słaba, i dla tego musiano ją odprowadzić do jej alkierzyka. Pan Ciwun i ksiądz Anzelm są teraz przy niéj. Nie trwóż się jednak tak bardzo, a miejmy ufność w Panu, że nam ją zachowa. Nie wiém, jak ona się domyśliła, żeś to ty przyjechał, bo na dworze ciemno i stąpania waszych koni po miękkim piasku nikt z nas nie usłyszał, a Rozalja, jakby jéj kto o twojém przybyciu

poszepnął do ucha, wybiegła nagle do sieni na twe spotkanie. Ojciec jéj pośpieszył za nią, w trwodze zapewne żeby chłód i wzruszenie nie przyniosły zdrowiu jéj szkody, zmusił ją wrócić do siebie...

Wtém wszedł pan Ilgoński i łatwo każdy sobie wystawi, jak czułe było z nim moje przywitanie. Chciwie usiłowałem wyczytać z jego twarzy nadzieję lub obawę o zdrowie Roazy i więcéj do ostatniéj znalazłem powodu. Błagałem więc, aby mi pozwolili widzieć ją choćby na chwilę.

— Bądź cierpliwy mój synu, — odrzekł starzec — ujrzysz ją niebawnie; ale jeszcze wam obójgu, jéj szczególnie, trzeba trochę czasu do zebrania się na siły. Piérwsze wzruszenie było nader mocne. Ledwie zamknięta rana Rozalii mogłaby się otworzyć z niebezpieczeństwem jéj życia.

Co słysząc matka moja opuściła mię z pośpiechem, znać niespokojna o stan Roazy. Zaledwie wyszła, wszedł mój ojciec, a za nim pan Jowita z winem.

W ręce wasze mości panie Ciwunie na cześć walecznego naszego wojska, do którego ma szczęście należeć mój malec! Pobłogosławił Bóg orężowi naszemu, nieprzyjaciel wyparty za Ewiksztę, oby co najprędzéj dostał się aż za morze!

Ilgoński przyjął kieliszek i umoczywszy w nim tylko usta podał go Chorążycowi, który z kolei pił do mnie. Podziękowałem w imieniu wojska i na szczęśliwą wróżbę przełknąłem haušcik, chociaż mi w téj chwili

wcale nie było do kielicha. Zgadł jednak mój ojciec, że stare wino orzeźwi me zmysły, bom się rzeczywiście uczuł znacznie pokrzepiony i silnie się już mogłem utrzymać na nogach.

— A teraz, — ponowił starzec — za pozwoleniem Jmć pana Ciwuna, mnie wielce mościwego brata i dobrodzieja, piję za twoje zdrowie mości poruczniku Jordanie, a mój miły synu. Pierwszy raz cię w życiu taki spotyka zaszczyt, ale ponieważ nań zasłużyłeś, winienem ci go uczynić, przekonany zresztą, że cię nie nadmie prezumpcyą, ale pobudzi owszem do żarliwszego jeszcze zasługiwania się ojczyźnie. Sprawiłeś sercu rodzicielskiemu niespodzianą a wielką pociechę, odbierasz przeto nagrodę, jakiej się także spodziewać nie mogłeś, bo nie każdemu się zaiste synowi zdarzy zostać w taki sposób uczczonym od swojego ojca!

Padłem mu do nóg i w téj postawie przyjąłem zaszczyt, jakim rzadki nader z moich rówienników mógł się w owym czasie pochlubić.

Kiedy obeszła kolej, ojciec mój dobywając z zanadrza listu, rzekł do mnie:

— Nie wiedziałeś, jak uważam, o swojéj promocji, lecz oto w tym liście, który mi oddał ksiądz Anzelm, pisze do mnie, z roskazu pana Wojewody, pan Popłoński, że w rekompensę dobrego sprawowania się twego i na wstawienie się oraz za tobą wielce wysokiéj osoby, *Illustrissimus praeter consuetudinem*, skłania się do wyniesienia ciebie *insigniter* na stopień porucznika wojsk

Rzeczypospolitéj, o czém mnie jako swojego wiernego sługę uwiadamia, aby przez to dać mi razem nowy dowód swéj łaski i pamięci na długoletnie w domu jego zasługi. Otoż wyznam, żem się tak szczęśliwego ewentu spodziewać nie mógł, a ztąd i jmć pan Ciwun, sądzę, nie będzie zgorszony, żem w tym szczególnym razie okazał się *perindulgens* względem mojego syna pijąc za jego zdrowie; *non praejudicando* atoli ani ojcowskiéj méj powadze ani też powinnemu respektowi dla szanownego mojego gościa i wielce mnie mościwego brata.

Po wzajemnych oświadczeniach ze strony pana Ilgońskiego, ojciec mój na domiar swéj ku mnie osobliwszéj łaskawości, bacząc żem strudzony, uwolnił mię tego wieczora od zdania mu sprawy z moich od wyjazdu z domu czynności, (lubo był bardzo ciekawy o nich się dowiedzieć) i odesłał mię wcześniéj niż się spodziewałem na spoczynek. Odchodzącemu szepnął mi do ucha: „Spij smaczno mój malcze, śniąc sobie o jutrzejszych zaręczynach z panną Ciwunówną."— Takim był czci godny mój rodzic. Surowy w zwyczajnym trybie domowego życia, czułość rodzicielska i dobroć serca zdradzały się w nim jednak w podobnych jak ta okolicznościach, i właśnie to połączenie energji z dobrocią, rodziły dlań w mém sercu miłość i cześć nieograniczoną.

Korzystając z danego mi rozkazu udałem się niby na spoczynek; a w istocie śpieszyłem ujrzeć Roazę, którą niejako ukrywano przed mém niecierpliwém okiem.

Wsunąłem się więc na palcach do izby, za którą był jéj alkierzyk, i usłyszałem tam głos matki mojéj i księdza Anzelma, naprzemian mówiących do niéj. Jéj głosu dosłyszeć należycie nie mogłem tak był cichy, z czego wniosłem, że być musiała słabą, i na tę myśl radość moja w nową zamieniła się trwogę. W pierwszéj téj izbie nie było świecy, drewka tylko tlały w kominie, mogłem się tedy zbliżyć niepostrzeżony ku wpół otwartym drzwiom alkierza. Ujrzałem ją nareszcie — lecz, ach! jakże zmienioną. Siedziała na łóżku wsparta o węzgłowie, a jéj blade zapadłe lica, białość nadzwyczajna czoła i przyćmiony blask oczu nadawały twarzy inny wyraz, może nawet uroczniejszy niż przed tym. Wtedy już usłyszałem ją mówiącą te słowa:

— Ojcze Anzelmie — droga pani Cześnikowo, uspokójcie mego ojca; rana się nie otworzyła, a słabość już przeszła. Mówią, że radość zabija — gdyby tak było tobym już umarła, a przecie żyję — ale gdy może krótko żyć mi tu Bóg pozwoli, więc nie chciałabym odejmować sobie i *jemu* chwil tych policzonych, kiedy wy wszyscy, od których *on* i ja zależymy, błogosławicie związkowi serc naszych. Wstrzymała się słów tych domawiając, spójrzała, ku drzwiom wyciągając ręce, a ja wnet byłem u jéj kolan.

XXIV.

Tutaj muszę się nieco wstecz cofnąć w moich wspomnieniach i zapisać to, co mi opowiedziano w domu o wypadkach zaszłych w osadzie pogańskiéj Łotwy, od chwili, kiedy porwany od Szwedów, zostawiłem Roazę leżącą we krwi i, jak mniemałem, bez życia, obok trupa jéj mordercy.

W tym stanie znalazł swą córkę nieszczęśliwy Ilgoński: na głos jego żałośny przybiegł stary jego sługa Grzegorz, (którego Szwedzi nie zabrali w niewolę. wziąwszy go widać za chłopa). Przybyło wnet kilka niewiast, a za niemi stary Uzulin i poczciwy Grybul. Podniesiono Roazę nie dającą znaku życia, przeniesiono ją na drugą połowę chaty, a podczas gdy niewiasty krzątały się koło niéj, usiłując tamować krew płynącą z rany, Grzegorz trzeźwił mdlejącego swego pana. Po nieja-

kim czasie dały się widzieć znaki życia w Roazie; długo jeszcze atoli nieszczęśliwy jéj ojciec wahał się boleśnie między trwogą i nadzieją. Wróciła w końcu do zmysłów i piérwsze jéj zapytanie było o mnie. Uspokojona o moje życie znosiła bez jęków ciężki ból swéj rany, a ku wieczorowi usnęła. Stary Uzulin po długiém szukaniu znalazł w swoich rupieciach pęczek ziół, których Łotysze tradycyjnie używali do leczenia ran niebezpiecznych, ale te zioła, straciwszy może przez długie leżenie przedziwną tę własność, nieprzyniosły ulgi cierpiącéj. Tymczasem przybył i mój ojciec na czele uzbrojonego hufcu chłopaków. Przyczyną opóźnienia jego był mój hultaj Stefanek, com go wysłał gońcem do naszego dworu. Utrudzony pochodem i opiwszy się na drogę łotewskiego piwa, zaledwie wydobył się z trzęsawic, sen go morzyć zaczął. Uwiązawszy więc konia do drzewa, sam się pod témże drzewem rozciągnąwszy zasnął. Spał jak zabity i długo, a gdy się obudził konia nie było. Ruszył więc pieszo, a wkrótce noc go zaskoczyła w puszczy; zbłąkał się więc, i po długiéj, mozolnéj wędrówce, wygłodniały, osłabiony, ledwie dnia drugiego dowlókł się do miejsca. Skutkiem tego, mój ojciec przybył do Ostrowia po zaszłym już tu nieszczęśliwym wypadku. Stan Roazy nie dozwalał ruszenia jéj z łóżka i wymagał oraz co najprędszego ratunku; ojciec mój zatém po naradzeniu się z panem Ilgońskim, nie bawiąc długo w osadzie, zalecił mieszkańcom spokojność i posłuszeństwo, a zostawiwszy swoich zbrojnych na za-

łodze pod komendą Chorążyca, udał się następnego ranka spiesznie na powrót do domu, aby jakiego lekarza lub przynajmniej cerulika z potrzebnemi lekarstwami co najprędzéj przysłać, nie chcąc się w tém spuszczać na nikogo. Spieszny ratunek tém był choréj potrzebniejszy, że rana w piersi jątrzyć się zaczęła, ból się wzmagał i silna ukazała się gorączka. Na domiar niedoli zaniemógł Ilgoński. Tyle nagłych przemian losu, tyle gwałtownych, sprzecznych uczuć, zwaliły z nóg starca, którego ciało nie miało już dość sił do oparcia się tym ciosom, aczkolwiek duch w nim najmniéj nie upadał. Tak więc ojciec i dziécię, po tak długim z sobą rozdziale, na to zdawało się cudownym trafem zostali złączeni, aby wnetże opłacić to szczęście widokiem wzajemnych swych cierpień, aby uwięzieni, każdy na swém łożu boleści, oczekiwać ze drżeniem grożącéj lubéj głowie śmierci. Ku wieczorowi przybyła Petronella z zapasem lekarstw i różnych świętości, ale myśląc widać bardziéj o poganach jak o choréj, więcéj z sobą przywiozła święconéj wody, chleba Ś. Agaty, wianeczków i i obrazków, aniżeli maści, ziół i doświadczonych balsamów. Nie długo też gościła, bo p. Jowita uważając, iż zamiast pomocy robiła zamięszanie i hałas, użył fortelu do wyprawienia jéj na powrót. Udał więc przed nią, że trzeba było się obawiać buntu pogan i nie ręczył, żeby nie przyszło z niemi do krwawego boju; czém przelękniona dewotka, zostawiła wszystko co z sobą przywiozła, nawet flaszkę kordymonki w dowodzie swéj

dla Chorążyca przyjaźni, a okropiwszy jego i siebie święconą wodą, co tchu się wyniosła. Drugiego dnia żyd cerulik przysłany ze dworu opatrzył ranę Roazy, a panu Ilgońskiemu puścił krew z ręki: na tém się też ograniczała lekarska jego nauka. Tymczasem gorączka w chorej wzmagała się aż do manji, starzec zaś po krwi puszczeniu wpadł w stan prawie letargiczny. Kiedy cerulik nie wiedział już co poradzić i skazał pacjentów na śmierć, weszła nagle do izby stara niewiasta wysokiego wzrostu, otulona płatem czarnego wypłowiałego sukna, w takimże na głowie kapturku, co jéj do w pół twarz okrywał, i słowa nie wyrzekłszy przystąpiła do Roazy. Chorążyc mimo swéj waleczności, o któréj zwykł był rozprawiać, zdjęty został trwogą na widok téj czarnéj postaci, co się nie wiedzieć zkąd zjawiła i tak zuchwale, nie oddawszy mu nawet ukłonu, zajęła się około choréj, jakby jéj kto dał do tego prawo. Rycerz mając znać jeszcze w uszach szczebiotanie Petronelli o potędze złego ducha, i pobożne jéj przestrogi względem ostróżnego sobie postępowania śród zgrai pogan, nie śmiał zaczepiać téj zakrawającéj bardzo na czarownicę baby, a przeżegnawszy się i szepcąc: *Sub tuum praesidium* etc. wymknął z izby. Żyd mniéj trwożliwy, co do sideł szatańskich, nie mógł się znowu oprzeć silnemu ramieniowi nieznajoméj lekarki, która go bez ceremonji wypchnęła za drzwi. Jeden tylko Grybul niczém nie wzruszony oświadczył despotycznéj kobiécie, że nieopuści choréj, choćby się oto bić przyszło; pozwoliła mu

tedy pozostać i kazała sobie posługiwać, co on z wielką uczynił ochotą widząc, iż się ta posługa tyczyła Roazy.

Wnet zatém staruszka odrzuciła plaster i kataplazmy pokrywające ranę; obejrzała ją pilnie i rzekła: „O cal niżéj, byłaby śmiertelną, lecz zabójca ugodził niezręcznie, bo się nóż ześliznął na kości piersiowéj.” Jakoż w saméj rzeczy Wurszajtas nie mógł był pociemku wymierzyć należycie ciosu. Przeglądała potém zostawione od Petronelli lekarstwa, dobyła z worka własnych, mięszała, warzyła, a gdy wszystko było gotowe, obłożyła i obwiązała starannie ranę, a łyżkę sporządzonego napoju wpuściła choréj w usta. Poczém usiadła przy niéj i okładając jéj głowę zmaczanémi w jakiéjś wodzie płatkami, zaczęła cichym głosem nócić pieśni, jakby piastunka kołysząca do snu dziecię. Na pana Ilgońskiego zaś ani razu, jak się zdawało, nie spójrzała. Stary tylko Grzegorz czuwał w milczeniu, nieporuszony jak posąg, przy łożu swojego pana, tak iżby ich obu można było wziąć za dwa ciała bez życia w odmiennym tylko zostające położeniu. Tak przeszedł dzień, tak i noc. Następnego ranka opuściła Roazę maligna, ale nieznajoma opatrzywszy ranę, nie pozwoliła jéj nic mówić; i podała nowe lekarstwo, po użyciu którego chora niebawnie zasnęła snem spokojnym. Wtedy dziwna lekarka kazała Grybulowi przywołać do siebie jedną z kobiét sioła, któréj dała maść do przykładania na ranę, oraz dzbaneczek z napojem, nau-

czywszy ją najdokładniéj sposobu obejścia z temi lekami i pielęgnowania choréj; poczém zaleciła jéj i Grybulowi, pod groźném podług ich pogańskiego obyczaju zaklęciem, aby przez całą dobę, nikogo do Roazy nie puszczali, ani sami z nią o żadnéj rzeczy nie rozmawiali, prócz tylko, jeśliby się pytała o swego ojca, iżby jéj powiedzieli, że śpi, i że będzie zdrów. To im zaleciwszy, zabrała swoje manatki i wyszła z chaty, a gdzie się podziała nikt nie wiedział. Tymczasem zrobiono wszystko, co była przykazała i skutek jéj leków okazał się najpomyślniejszy. We dwa dni Roaza powstała z łóżka, a gdy mój ojciec przybył z doktorem sprowadzonym aż z Kurlandyi: uczony Niemiec obejrzawszy bliznę, ledwie swym oczom uwierzył, że podobna rana w tak prędkim czasie mogła się zamknąć. Długo potém egzaminował zostawione od nieznajoméj kobiety lekarstwa, doświadczając ich za pomocą wszystkich prawie swoich zmysłów i wszystkie w końcu zganił i potępił, jako empiryczne i wbrew sprzeciwiające się przepisom Hipokratesa i Galena; tajemniczą zaś lekarkę osądził godną pręgierza za niesłychaną zuchwałość, z jaką śmiała narzucić swą pomoc choréj, nie będąc od nikogo wezwaną i nie posiadając prawnych do téj professji kwalifikacyj. Wyliczył potém długi szereg chorób, które pacyentkę spotkaćby mogły w dalszym czasie, skutkiem źle administrowanéj kuracyi, jeśliby on szczęśliwie nie przybył, w czas własnie by temu zaradzić; poczém wziął się do swéj podróżnéj apteki i po-

tężną flaszkę jakiéjś okropnie śmierdzącéj mikstury spreparował. Ale Roaza podziękowawszy uczonemu mężowi za jego fatygę i oddając całą sprawiedliwość wielkiéj jego biegłości w sztuce Eskulapa, wnet po jego odjeździe, wylała za okno ową drogo opłaconą flaszkę, a ściśle wypełniając zostawione od nieznajoméj rady, ujrzała się wkrótce w stanie opuścić sioło i wrócić do domu rodziców moich. Pan Ilgoński bez żadnego lekarstwa odzyskał stopniami przytomność i siły, a przejęty radością na widok jakby wskrzeszonéj z grobu córki, wrócił wnet do zupełnego zdrowia.

XXV.

Zdawało się więc, że się już wszystkie nasze niedole skończyły i żeśmy wstępowali w nowy, szczęśliwy peryod naszego życia. Rehabilitacya Roazy, jako prawéj córki i sukcessorki pana Ciwuna Ilgońskiego, otrzymała sankcyę prawa z należytémi formalnościami, związek dwójga serc naszych miał wkrótce za wspólném zezwoleniem rodziców zostać uświęcony sakramentem, zgoła żadna już przeciwności chmura nie ćmiła naszego nieba; a jednak w oczach méj ulubionéj spotykałem często jakiś wyraz łagodnego smutku, uśmiéch jéj często zamierał na ustach, a po czole przesuwał się czasem cień posępnéj myśli. Byłże to skutek, jakby rzec, zbytku szczęścia? Byłyż to wspomnienia przebytych cierpień? Byłoż to nakoniec przeczucie przyszłości?...

Dość, że w jéj duszy działo się cóś tajemniczego, co mię niepokoiło.

Dnia jednego wyszliśmy z sobą na przechadzkę: powietrze było ciepłe, jesienne słońce świeciło pogodnie, wody Siewierza drzémały w zatokach, a marszczyły się w lekkie rąbki na otwartych toniach, łódź rybaka stała u brzegu, a przy niéj taż sama *dubica*, w któréj przed kilką miesiącami Roaza walczyła z rozhukaną falą, niosąc mnie tonącemu ratunek.

—Przejedźmy się trochę po jeziorze— rzekła — bo mię chodzenie morduje.

—Odwiązałem łódź, wsiedliśmy do niéj i popłynęliśmy po cichéj wodzie ku jednéj z ulubionych zatok Roazy. Świéżość powietrza i piękność otaczających nas widoków natury dodawała uczuciom naszym słodyczy i wesela. Po chwili jednak Roaza wpadła w zadumanie, a gdym ją pytał, o czémby tak głęboko marzyła?

—O nieznajoméj mojéj zbawczyni — odpowiedziała— o téj dziwnéj tajemniczéj niewieście, co mię tak cudownie uzdrowiła, a potém znikła bez śladu.

—Mnie się zdaje, że tą lekarką być musiała dawna moja piastunka Małachna— powiedziałem.

—Po tém wszystkiém, co mi ojciec mój prawił o téj cygance, nie mogę podzielać twego zdania, i miałabym powód posądzić ją raczéj o wspólnictwo z wurszajtem; bo rzecz najpewniejsza, że Cyganie co mu pomagali znali się z Małachną i widywali ją u Agnieszki.

Opowiedziałem wtenczas Roazie przygodę moją

w Fejmańskiej kaplicy, a gdym surowość pana Ilgońskiego względem syna cyganki starał się usprawiedliwić szczególnémi okolicznościami — przerwała mi mówiąc: — Nie usprawiedliwiaj tego czynu, bo go mój ojciec sam żałuje, sam go nazywa srogością, jakiéj sprawiedliwość nie wymagała. Zemsta nieszczęśliwéj matki była zaiste okropną i zbrodniczą, ale cyganka nie oświecona w prawdziwéj wierze, wiodąca życie na wpół dzikie, pełna zabobonów zaszczepionych jéj od dzieciństwa, powinna już z tych względów otrzymać przebaczenie; a cóż dopiéro jeśliby, jak mniemasz, ona to mię wyrwała śmierci? O, wtedy zgładziłaby dawne swoje przestępstwo i mybyśmy już byli jéj dłużnikami. Nie będę spokojną aż ją ujrzę, aż ją skłonię do przebaczenia ojcowi mojemu, jak on jéj przebaczył. Któż wié atoli czy się spotkamy z nią tu na ziemi, bo ona już stara, a ja....

Opuściłem wiosło zatrwożony tą mową.

—A ja,— mówiła z westchnieniem,— lubo jeszcze młoda, nie wróżę sobie długiego życia. Zasmucam cię mój drogi, ale gdy usłyszysz, co ci mam wyjawić, sam uznasz słuszność méj obawy. W czasie ostatniej mojéj słabości miałam widzenie.

—Skutkiem gorączki,— wrzuciłem.

—O, bynajmniej! Byłam przytomniutka jak teraz. Obudziła mię jasność, przenikająca przez zamknione me powieki. Otwieram oczy... patrzę... aż stoi przede mną postać niewieścia, biała od głowy do stóp, a ca-

ła przezroczysta jakby welon z gazy. Poznałam ją, bo mi się raz już była ukazała we śnie, dawniéj, przed samą ucieczką moją z pogańskiéj osady; a powiedziała mi wtedy, że jest moją matką; ale ponieważ żona Uzulina, któréj sądziłam się córką, żyła w owym czasie, więc wzięłam to widmo za boginię ognia świętego, która u Łotyszów zowie się *Matką Praurime*, a słowa jéj zapowiadające mnie poznanie Boga, miałam za rozkaz Nieba, abym została wajdelotką służebnicą bogów. Otoż teraz taż postać pozdrowiła mię jak rodzona matka i rzekła; „Rozalio, poznałaś prawdziwego Boga, gotujże się go oglądać” i znikła, podczas gdym ku niéj wyciągała ręce.— Azaliż te słowa nie oznaczają wyraźnie prędkiéj dla mnie śmierci?

Starałem się wybić z głowy Roazie to dziwactwo, ale nie dokazałem tego całkiem, i więcéj dla mojego uspokojenia weselszémi nieco zajęła się myślami.

—Jeżeli mnie kochasz, mój najmilszy, rzekła, staraj się dowiedzieć o Małachnie. Tém większą czuję chęć i potrzebę widzenia się z nią, że jak teraz uważam, ona to najpodobniéj przyniosła mi tak skuteczną pomoc w méj chorobie.

—Myślałem już o tém, i mam nadzieję, że ją zręczny Dawidek wyszpera. Cyganie wynieśli się z téj okolicy, unikając zapewne kary za spólnictwo swych braci w zbrodni wurszajta. Małachna lęka się także sądu za swoje dawne przestępstwa, uciekła więc może za Dźwinę; ale wróżę po jéj ku mnie przywiązaniu, że z nie-

bezpieczeństwem nawet życia, będzie starała się zobaczyć się ze mną, bo jużciż wie dobrze, że jejbym nie wydał. Z moim ojcem wszakże trudna będzie sprawa, gdyż on jest sprawiedliwy ale i surowy razem; wiém dobrze, że pomimo swéj przychylności ku staréj słudze, miałby sobie za grzech zasłonić ją od kary wymierzonéj prawem za tak wielką zbrodnię.

—Ale mój ojciec przebaczył Małachnie, a zatém gdy nie będzie oskarżyciela, już tém samém nie będzie i winowajcy.

Tak rozmawiając, przypłynęliśmy do małego cyplu, zarosłego lasem, niedostępnego od lądu jak wyspa. Roaza ujrzała ponad drzewami obłoczek dymu, i zdjęta ciekawością chciała zobaczyć, ktoby przebywał w tém ustroniu. Wysiedliśmy więc i weszliśmy do lasu.

Trudno się nam było zrazu przedzierać przez gęstwię, ale w małéj odległości trafiliśmy na wązką ścieżynę, i zapuściwszy się nią ujrzeliśmy, na małéj porębie, szałas z jedliny, z którego wychodził do góry dym jakby wązka błękitna wstęga. Zostawiwszy Roazę ukrytą w gąszczu, sam się ostróżnie zbliżyłem ku szałasowi i przez mały otwór między gałęziami zajrzałem do środka.

Na posłaniu z liścia leżała kobiéta, przed nią małe ognisko, przy którém skurczony chłopiec warzył cóś w garnczku. Czarne jego włosy spadały mu na twarz, a licha łachmanka na wpół zaledwie okrywała chude

jego żółte jak tykwa członki. Wtém kobiéta zwracając głowę ku méj stronie szepnęła cóś do swego towarzysza, ten się wnet zerwał na nogi, a ja w niéj poznałem Małachnę. Ona też, choć mię widzieć nie mogła, dziwném przeczuciem wiedziona zawołała.

—Nie bój się Guzli, to swój, to nasz panicz, to mój Jordanek; proś go, żeby wszedł bez trwogi. Wiedziałam, że mi go Bóg tu przyprowadzi: bo któżby mi lepiéj zamknął oczy, jeżeli nie ten, który na moich rękach otworzył swoje raz piérwszy.

Skinąłem na Roazę i weszliśmy do szałasu. Cyganka podniosła się trochę na posłaniu, a ujrzawszy moją towarzyszkę wlepiła w nią na chwilę wzrok dość jeszcze przenikliwy, chociaż w jéj oczach nie było już dawnego ognia, i wnet rzekła:

—Ach! tegom ja nie chciała!— Panna Rozalja nie może mieć ku mnie serca, a człek w ostatniéj godzinie rad mieć około siebie tych tylko, którym jest miły.

—Mylisz się Małachno, odpowiedziała jéj słodkim swym głosem Roaza, serce moje sprzyja ci szczérze i pełne jest dla ciebie wdzięczności. Nie przyszłam więc robić tobie wyrzutów, ale dziękować za życie, coś mi zachowała.

—Któż wam powiedział panienko, że to ja wam zachowałam życie?

—Z tego co mi opowiedział Jordan o swej rozmowie z tobą w Fejmańskiéj kaplicy, łatwo się mo-

głam domyślić, że nikomu jak tobie winnam moje ocalenie.

— A pan ciwun wie-li o tém?

— Nie.

— Chwała Bogu, i nie trzeba żeby wiedział. Z nim nie chcę żadnego przymierza! On i ja powinniśmy siebie niezmiennie i wiecznie nienawidzieć. W tobie pa nienko widzę żonę mojego drogiego wychowanka, nad którego nie mam nic milszego w świecie, i dla tego zapominam, żeś Ilgońska. Gdyby chodziło o zachowanie dni twoich dla szczęścia twego ojca, nie byłabym zaiste trudziła starych moich kości, i nie byłabym, skutkiem pośpiechu, z jakim biegłam z Fejman bez wytchnienia ku twojemu ratunkowi, przybliżyła godziny méj śmierci. Wróciłam ci życie aby umrzeć sama, ale mi nie dziękuj za to, bom to nie dla ciebie uczyniła. Nie myśl nawet, żeby w tém poświęceniu się mojém było cokolwiek chęci naprawienia mojego, jak wy nazywacie, przestępstwa względem twojego ojca. O nie! — nie wyrzekam się zemsty, co z niego wzięłam, i żałować za nią nigdy nie będę; bo sprawiedliwą była ta zemsta.

— Mój ojciec tobie przebaczył, kochana Małachno; czybyś więc i ty jemu wzajemnie przebaczyć nie mogła porywczości, którą on opłakał i odpokutował przed Bogiem?

—Nie mogę! — krew mojego pierworodnego wznosi się straszliwie między mną a mordercą jego. Chcesz-

że, abym podając rękę twemu ojcu, zbroczyła ją we krwi mojego syna?—

To powiedziawszy, upadła wysilona na swoje posłanie, a Roaza boleśnie wzruszona zachwiała się także, skłaniając głowę na moje piersi, a twarz jéj śmiertelną okryła się bladością.

— Małachno! krzyknąłem, chcesz-że zniszczyć twoje własne dzieło? Chcesz-że przyprawić o śmierć tę, któréj nie dawno ratowałaś życie!— Chcesz-że i mnie widzieć na marach?— Patrz jaki skutek sprawiły twarde twoje słowa na tém czułém sercu?

— A pocożeś ją tu przyprowadził?— odrzekła z goryczą, szukając oraz około siebie czegoś.

— Pytaj raczéj, czemu ją Bóg tu przyprowadził? a jeżeli On jest w twém sercu, sam ci na to odpowie.

Małachna nic mi nie odrzekając, skinęła na małego Cygana, który jéj podał czareczkę z wodą; wpuściła do niéj kilkanaście kropel z flaszeczki, wydobytéj z pod pachy co leżała przy niéj, i kazała podać Roazie, mówiąc:

— Orzeźwić ciało rzecz nie tak trudna, ale duszy zbolałéj jak moja, uleczyć nikt nie zdoła.

Roaza wypiwszy kordyał uczuła się w rzeczy saméj orzeźwioną.

— Alboż ci nie mówiłam Jordanku (zawołała Cyganka z pewnym wyrazem dumy), że jéj wrócę siły?—

Wiedz oraz, że z miłości ku tobie użyłam resztki tych cudownych kropel, któremi-bym mogła jeszcze rozniecać czas niejaki gasnącą iskrę mojego życia. Flaszeczkę tego osobliwszego eliksyru przyniósł z sobą mój ojciec z dalekiego kraju na wschodzie i dał mi umierając w spadku. Doznałam nieraz jego przedziwnéj mocy. Ratowałam nim twoją matkę, gdy była z tobą w połogu; ratowałam późniéj i ciebie, a niedawno i twoją narzeczoną. Zostawała mi już tylko jedna ostatnia porcya, oto i ta poszła tą samą drogą, a wnet za nią życie moje uleci, bez żalu, bylebyś z miłością zacisnął mi oczy, gdy skonam.

— Uczynię to, odpowiedziałem, chociaż się spodziewam, że ci Bóg jeszcze pozwoli powstać z téj choroby; ale kiedyś już tyle mi dała dowodów swego przywiązania, dajże jeden jeszcze, o który mi chodzi najbardziéj.... Nie miéj nienawiści do przyszłego mojego teścia, a zatém ojca! Nie odrzucaj jego przebaczenia i przebacz mu sama.

— Żądaj ostatniéj kropli krwi mojéj, wytoczę ją bez szemrania, ale nie żądaj wyrwania z méj duszy tego, co do niéj przyrosło, co się z nią zlało, a tém jest zemsta, którą przysięgłam mordercy mojego syna.

— Wszakżeś nasyciła tę zemstę. Małoż ci łez i cierpień, któremi przez lat tyle pan Ilgoński wypłacał swą winę? — Sama mi powiadałaś, że duch twojego syna został zaspokojony twą zemstą.

— Tak sądziłam, w nadziei, że człek mi nienawistny, do śmierci płakać będzie za swém dziecięciem, jakem ja przezeń skazana do płaczu za mojém. Ale on dziś szczęśliwszy niż był kiedykolwiek. Odzyskał skarb swój stracony, a odzyskał go z lichwą. Stracił niemowlę, a znalazł dorodną dziewę, którejby się żaden ojciec nie powstydził. Mało tego, znalazł syna, o jakim mu się nie śniło. Podwoił więc swoją fortunę. Cierpienia jego przeminęły jak sen, i tém go szczęśliwszym dziś mniemam, im więcéj go przedtém udręczały. Bo nazwęż nędznym człowieka, który po długiéj bolesnéj niemocy, nagle odzyskał zupełne zdrowie? albo, który z żebraka stał się jedną razą bogaczem?— Po cóż mię więc dręczysz panie Jordanie swojemi namowy, abym tego jednego się wyrzekła, co jeszcze pamięci mego biednego Dzęgi poświęcić mogę — abym się wyrzekła méj nienawiści ku jego zabójcy. Złego już nie uczynię jemu, raz, że ty mi w tém stoisz teraz na przeszkodzie, powtóre, że szanować muszę wyrok przeznaczenia, co padł wyraźnie na jego stronę, a nakoniec, że w téj już mojéj ostatniéj godzinie, nikomu nie mogę być niebezpieczną.

Napróżno oboje z Roazą usiłowaliśmy zmiękczyć serce téj osobliwszéj kobiety. Trwała w swoim uporze nieporuszona, a ja w obawie, ażeby tak drażliwa rozmowa nie pozbawiła] ją ostatka sił i Roazie nie zaszkodziła; nie nalegałem już więcéj na nią, a postanowiłem raczéj wezwać sobie księdza Anzelma na po-

moc. Pożegnaliśmy więc Małachnę z czułością, ona zaś żadną miarą namówić się nie dała do zamienienia swego przygodnego szałasu na wygodniejsze mieszkanie.

— Urodziłam się, mówiła, pod szałasem i umrę pod nim jak prawa Cyganka. A ty moje jasne słonko pamiętaj żeś przyrzekł zamknąć mi oczy. Nie zwlekaj jednak z powrótem do mnie, bo śmierć już zagląda do téj budki.

Odpłynęliśmy napowrót, a Roaza rzekła: — Biedna Cyganka wyobraża sobie nieprzerwane pasmo dni szczęśliwych dla mojego ojca, a mnie się zdaje, że niebo go wkrótce na nową wystawi próbę. Miłosierdzie Boga nad pokutującemi zamienia im wieczną karę w doczesną, aby się przez to stało razem zadosyć sprawiedliwości Jego. Czuje to świątobliwy starzec i sam mi powiedział, że mu się nie należy spodziewać na téj ziemi szczęścia, i że to, co go teraz spotkało, uważa jako udzielone sobie krótkie wytchnienie, lub jak oznakę blizkiego zgonu.

Nazajutrz o świcie udaliśmy się z księdzem Anzelmem do szałasu Małachny. Znalazłem ją słabszą niż była wczoraj, ale zawsze przytomną. Na mój widok oczy jéj rozjaśniały weselem: — Duch mój już umykał z lichéj swéj skorupy, a tyś go zatrzymał, kochane dziécię; ożyłam znowu gdym cię ujrzała, a ciepło twéj ręki wróciło czucie mojéj, co już ostygała.

Wtém wszedł ksiądz Anzelm i chwalbą Chrystusową ją pozdrowił. — „Na wieki” — odpowiedziała — Dziękuję wam ojcze za waszą o mnie pamięć, ale jeżeliście tu przyszli jak ksiądz, chciejcież wiedzieć, że żyłam i chcę umierać prawą Cyganką.” — Przyszedłem (odrzekł jéj kapłan), aby cię przeprosić. — „Przeprosić? — Wy mnie przepraszać? A to za co? — Za to chyba żeście odemnie uciekali, ile razy wam dziękować chciałam za skryte wasze jałmużny? żeście mi grozili waszą niełaską, jeślibym rozpowiadała o waszych dobrodziejstwach dla mnie i dla moich braci?”

— Przyszedłem cię przepraszać za to, żem cię w duchu posądził o należenie do porwania panny Rozalji. Posądzenie bliźniego w każdym razie jest grzechem, choćby je niejako usprawiedliwiać mogły pozory. Przeto cię proszę o odpuszczenie mi téj winy.

Cyganka poruszona tą pokorą sługi Bożego, wykrzyknęła: — „Nie przebaczać wam, ale waszego przebaczenia błagać powinnam mój ojcze; bo niegodziwe usta moje nieraz bluźniły przeciwko wam bezumnie! O, pozwólcie niech się one teraz oczyszczą dotknięciem do waszéj ręki, nieskalanéj krwią ani żadnym złym czynem; do téj ręki, co się nie podniosła jedno żeby błogosławić, nie zniżyła się jedno żeby dać wsparcie potrzebującemu.” I to mówiąc całowała z uczuciem rękę kapłana.

— Nie tak mówisz, dobra kobiéto. Mów, że te nie-

godne ręce grzesznego człowieka są jednak zaiste uświęcone, bo mają szczęście piastować codzień prawdziwego Boga w przenajświętszym Sakramencie. Obyś więc z nich przyjąć mogła godnie ten pokarm duszy, a z nim zadatek twojego zbawienia.

Tu mąż, ducha Bożego pełen, zaczął z mocą, jasnością i namaszczeniem, wykładać główne fundamenta wiary. Cyganka słuchała go w milczeniu, lecz on zdawał się odgadywać w jéj myśli, zarzuty przeciwko tym prawdom i szkrupuły, co jéj wróg duszny chytrze do serca podawał, tak na wszystko miał gotową, zwycięzką odpowiedź. W twarzy Małachny malowało się zadziwienie; nie pojmowała téj tajemnicy czytania w duszy ludzkiéj jakby w otwartéj księdze, i straszna walka odbywała się w jéj wnętrzu. Kiedy ksiądz Anzelm wzruszał ją swoją wymową, ja tymczasem, ukląkłszy w kątku szałasu, modliłem się do Boga o jéj oświecenie. Natężenie, z jakiém chora słuchała słów kapłana, sprowadziło na nią wielkie osłabienie zwątlonych sił żywotnych; co widząc ksiądz, przestał mówić, a z lekarza duszy stał się wnet lekarzem ciała, i dobywszy z kieszeni medykamentów, zajął się przygotowaniem kordyału, którym wrócił ją do piérwszego stanu.

— Żegnamy cię Małachno, rzekł potém, ale do rychłego, jeżeli Bóg da, widzenia się. Rozmyślaj sobie tymczasem w samotności nad tém, co ci Bóg przez me

niegodne usta objawił; a będziesz-li miała jakie wątpliwości, to mi je opowiedz szczerze przy następującéj rozmowie.

Małachna skinęła głową w uroczystém milczeniu, dała mi znak żebym się do niéj zbliżył i wyrzekła cicho: — Ksiądz więcéj jeszcze niż ty odemnie wymaga: każe nietylko odpuścić nieprzyjaciołom, lecz oraz ich miłować!! Otoż mu powiedz: że prędzéj ogień zamiłuje wodę, niżeli Małachna Ilgońskiego; a ponieważ bez tego nie mogłabym, jak on mówi, zostać prawą chrześcijanką, niech się więc daléj napróżno nie trudzi: umrę w mojéj wierze.

— Nic to nie znaczy — rzekł do mnie ksiądz Anzelm — gdyśmy wyszli — mam nadzieję w łasce Boga, że i ta największa trudność się przełamie. Czémże jest szczére nawrócenie, jeśli nie zupełném odnowieniem człeka? Aby zaś przeodziać całkowicie duszę, trzeba z niéj jak z ciała częściami zdejmować stare szaty, i tąż koleją potém w nowe ją obłoczyć.

Tegoż wieczora byliśmy znowu u Małachny. Przywiodłem także z sobą robotników, którzy jéj szałasz opatrzyli zewnątrz podwójnym rzędem jodłowych gałęzi jak najszczélniéj, wewnątrz zaś potrzebniejszemi do wygody przedmiotami. Cieszyło ją to wszystko szczególnie z tego względu, że w tém widziała dowody méj ku niéj przychylności. Pewny nawet jestem, że pomimo całego uszanowania dla osoby księdza An-

zelma, zatkałaby była sobie uszy na jego nauki, gdyby nie bojaźń zmartwienia mię swym uporem. Tą pobudką wiedziona zaczęła, choć niechętnie, słuchać słów kapłana, a już później zasmakowała sobie w téj niebieskiéj mannie, i serce jéj zrazu nieprzystępne, otwierało się zwolna religijnemu natchnieniu, a rozum oczyszczał się z przesądów i urojeń, co go trzymały w pomroce najgrubszego błędu. Dobre z natury uczucia wydobyły się ze swych pętów, a nieszczęsne wierzenie w fatalizm, w ślepe przeznaczenie, ustąpiło błogiéj wierze w objawione prawo Boga, w zasługi Zbawiciela i w nieomylność jego kościoła.

Wielka była nasza radość, gdy ta zbłąkana owca rzucając manowiec, wstępowała na drogę wiodącą do owczarni niebieskiego Pasterza, a większa jeszcze, gdy szczérze już zapragnęła nieśmiertelnego pokarmu. Ale kapłan nie mógł téj żądzy jéj zaspokoić, jéśliby się wprzódy nie pojednała ze swym nieprzyjacielem. W téj krainie jéj serca trzymał się jeszcze duch złego, jak w ostatnim szańcu zdobytéj twierdzy. Wtedy kapłan jął się ostatniego środka, jaki mu zostawał. Przywołał pana Ilgońskiego do łoża penitentki; a gdy ten przed nią uchylił sędziwego czoła, gdy ściskając nogi swéj nieprzyjaciółki błagał ją o przebaczenie, heroiczna ta chrześcijańska pokora, żywy ten przykład zwycięztwa nad sobą samym z miłości ku Bogu, zwalczyły zakamieniały upor Małachny. Suche jéj roz-

palone oczy zrosiły się łzami; konwulsyjnie oburącz ujęła rękę Ilgońskiego, i uroczystym głosem wyrzekłszy wielkie te słowa: — *Odpuszczam! odpuść i mnie wzajem!* — odpadła w tył i skonała.

Krzyknęliśmy wszyscy przerażeni święcie tym widokiem, a ksiądz Anzelm wyciągając nad nią rozgrzeszającą rękę, rzekł: — Odpuściła, będzie jéj odpuszczono. — Amen.

XXVI.

Pogrzebliśmy Małachnę na cmentarzu, przy kaplicy, pod którą spoczywała matka Roazy. Nie bez głębokiego wzruszenia patrzyliśmy na modlącego się Ilgońskiego o zbawienie téj, co go wystawiła swą zemstą na tak okrutne męki, i na płaczącą Roazę przy grobie nieprzyjaciółki jéj rodu. Jakie to cudowne przemiany dzieją się w sercu człowieka, kiedy doń religja Chrystusa swobodny znajduje przystęp. Miłość nieprzyjaciół, podług praw zepsutego w człowieku przyrodzenia, była niepodobieństwem, aż do chwili w której odradzający ludzkość Odkupiciel sprowadził tę cnotę na ziemię, umierając na krzyżu z miłością ku swym oprawcom. Wtedy się spełniło dzieło zbawienia, i zatrzęsła się ziemia i otworzyły się umarłych mogiły, na świadectwo, iż zwalczona ziemska cielesna natura, poddaną

została pod moc i władzę nieśmiertelnego ducha. Niech się więc nie nazywa chrześcijaninem, komu ta cnota wydaje się niepodobną, niepraktykowaną; niech nie mówi, że miłuje bliźnich, jeżeli choć jednego człeka z liczby ich wyłącza. Miłość bliźniego bez miłości nieprzyjaciół, byłaby niedoskonałą, niedostateczną. Z témi myślami, natchnionémi exortą ks. Anzelma, wróciłem z pogrzebu, prowadząc wspierającą się na mém ramieniu rozrzewnioną Roazę. Opuściwszy cmentarz rzuciła ona raz jeszcze po za sobą okiem, jakby głos uśpionéj matki przywoływał ją do podzielenia z nią zimnego łoża śmierci.

Podczas obiadu rozmowa naturalnie toczyła się o Małachnie. Każdy miał cóś o niéj do opowiedzenia. Mój ojciec rzekł:

—Jak sobie chcecie, a ja mówię, że nasza cyganka nie mogła nic lepszego zrobić, jak umrzeć wnet po swojém nawróceniu, bo któż wie czy długoby przetrwała w dobrych postanowieniach, którémi ją natchnął ojciec Anzelm. Krew nie woda, a w cyganach krew mości dobrodzieju afrykańska, czarna, gorąca jak rozpuszczona smoła; do tego jeszcze nieboszczka miała ćwiek we łbie, a ztąd rozmaite ją napadały raptusy. Czasem cicha, potulna, jak ty moja rybko, innym zaś razem przekrzyczy bywało Petronellę. No, no, nie marszcz się tak okrutnie siostrzyczko rożańcowa, to było sobie powiedziano dla żartu. Bywały dni szczęśliwe, w których pan Jowita jéj się nie lękał, a inną po-

rą ona się mnie samego nawet nie obawiała. Nie jedną dziurę wystukałem laską w podłodze, a baba stała bez zmrużenia oka, ażem się ze złości odwrócił i poszedł, jakem Sodalis, mości dobrodzieju, prawda. Miałem zrazu szkrupuł trzymać ją w domu, pomimo wielkich jéj u nas zasług, bo się lękałem jakiéj, Panie odpuść, czartowskiéj sztuki, ale mię ksiądz prowincyał Lachowski uspokoił w téj mierze. Trzymaliśmy więc ją, i przywykliśmy do jéj raptusów, a była przy tém wierną i przywiązaną, gotowa choć w ogień dla nas skoczyć. Aż jednego razu ni ztąd ni z owąd podziękowała za służbę i poszła gdzieś do licha, żeśmy jéj bardzo długo nie widzieli, i ledwie przed czterma laty ukazała się nam tu w Aulji. Pytam więc, czy taka dziwaczka nie wróciłaby rychło do swoich raptusów, gdyby ją Bóg nie zebrał z tego świata?

—Ponieważ tak się podobało Bogu, nie ma więc co mówić— odezwał się ksiądz Anzelm— tém bardziéj gdy pan cześnik zdanie swoje nie ogłasza za nieomylne. Małachnie atoli winniśmy to świadectwo, że była wyjątkiem swojego rodu. Cyganka krwią i obyczajami, wzniosła się siłą swéj duszy nad nikczemne żądze panujące w tém tułackiém hultajstwie. Serce jéj mężne i razem było czułe, miłujące i nienawidzące z równym zapałem, jak się dzieje zwykle w ludziach namiętnych a nieoświeconych w wierze; rozum lubo zaćmiony przesądami, bystry jednak i przenikliwy, a wola niezachwiana. Jedną w życiu swojém popełniła zbro-

dnię, zbrodnię straszną, ale w jéj oczach ta zbrodnia była powinnością, była religiją. Nie usprawiedliwia to czynu, ale nakłania do mniéj surowego sądu. Onaby nigdy, jak ją znałem, niczego nie ukradła dla zysku, a cóż dopiéro dziecka rodzicom, jak to czynią inni cyganie.

—O, tegom ja najpewniejszy!—zawołał pan Ilgoński.

—Zgoda na to wszystko,— rzekł chorążyc,—pojednałem się z Małachną, rzuciłem na jéj trumnę trzy łopaty piasku, odmówiłem za jéj duszę *Officium defunctorum et coetera*, ale wszystko to raczéj przez posłuszeństwo duchownéj władzy księdza Anzelma i świeckiéj jmć pana cześnika, aniżeli z własnego impulsu.

—A czemu to nie z własnego impulsu burczymucho?— zapytał mój ojciec.

—Bo, przyznam się mostobrodzieju, że nie pojmuję jak się ona mogła tak prędko przy skonaniu rozbratać z tym (co go tu nie chciałbym wspominać), kiedy z nim była całe życie w takiéj zgodzie, jak moja demeszka ze swą pochwą.

— Gdyby to porównanie było słuszne— wrzucił uśmiéchając się mój ojciec— jużbym i ja zwątpił o zbawieniu cyganki, tak mocne znam przyleganie twojéj demeszki do pochwy. No, no, nie gniewaj się, to był żart.

—Jużciż wiém że żart, bo nie sądzę żebyś jegomość dobr. zapomniał o tym sejmiku w Oszmianie, anno millesimo....

—Pamiętam, pamiętam! Sza! basta!

—Wracam zatém *ad rem.* Że cyganka była sekundowana przez moc czartowską, to rzecz zdaje mi się najpewniejsza.

—Jakiż na to macie dowód?— zapytałem z nieukontentowaniem.

—Mógłbym ich wiele przytoczyć, oto naprzykład: wróżyła przyszłość, ale tak trafnie, że mostobrodzieju co do joty. Sam tego na sobie spraktykowałem.

—A godziłoż się waszmości praktykować takie rzeczy?— zagadnął go ksiądz.

—*Mea culpa*, odpokutowałem. Ale wróżba się spełniła.

—Ciekawam, co to też mogła być za wróżba?— rzekła moja matka.

—Naprzód, że się nie ożenię, a jeślibym wziął żonę nie wyszłoby mi to na pociechę. No, z tém mniejsza, sam wiém, że już przeszła dla mnie pora. Ale o drugiéj wróżbie wstyd powiedzieć, a przecie się sprawdziła. Otoż wyczytała na méj dłoni, że po trzykroć w mém życiu, tpfy, uciekać będę od niewiasty! I mostobrodzieju, co do joty, spotkała mię taka konfuzja. Raz, od panny Petronelli, która mi spadła na głowę w lamusie załamawszy się na zbutwiałém stolowaniu. Było to czasu imienin pana cześnika, najechało dużo gości, musiałem się wynieść z mojego alkierza. Spałem tedy w lamusie, aż jedną razą, o samém świtaniu, budzi mię szelest nad głową. Jąłem kląć szczury i obracam

się na drugą stronę: to też było moje szczęście, bo tuż zaraz, buch! z góry leci straszydło — przepraszam, tak mi się zdawało ze snu — i spada prościutko na moje łóżko, o cal może od mojéj głowy. Ja, naturalnie w nogi, i taki mię zdjął *terror*, żem się nie obejrzał aż w stajni, gdzie mi stary Maciek pożyczyć musiał kożucha i bótów, a gdyśmy z nim przyszli do lamusu, nie znaleźliśmy już tam nikogo, i dopiéro późniéj się dowiedziałem, że to jmć pannie winien byłem te nawiedziny. Wreszcie łaska Pana Boga, że trafiła na moją pościel, bo to ją salwowało od połamania sobie kości. —

Mój ojciec uśmiał się do łez, a Petronella nie posiadała się ze złości na opowiadacza niefortunnego jej przypadku.

— Drugi raz, uciekłem od panny ciwunówny dobrodziejki.

— Odemnie? — zapytała zdziwiona Roaza. —

— A tak, mostobrodziko, kiedyś waszmość panna siedziała w puszczy na drzewie, a jam nieszczęśliwie wystrzelił, czyli raczéj szczęśliwiem spudłował. —

Pan Ilgoński nie wiedział o tym szczególe pojmania Roazy, musiał mu więc mój ojciec opisać rzecz całą, nie bez żarcików na rachunek biédnego Jowity; po czém chorążyc, kończąc konfessatę, tak mówił:

— Trzeci raz nakoniec, nie dawniutko, oto czasu choroby panny ciwunówny, w przeklętém pogańskiém gnieździe, uciekłem od téj czarnéj strasznéj baby co to

weszła bodaj kominem do izby, bo że nie drzwiami, tegom najpewniejszy, i wymiotła nas wszystkich z chaty, mocą Belzebuba.

—Ależ to była sama Małachna— rzekłem.—

—Nie przeczę temu i uważam, że mi ten najlepszy kąsek schowała na koniec. Od Szwedabym nie uchodził, ale od czarownicy kłaniam uniżenie. Cóż teraz państwo na to, mostobrodzieju?

—Żeś tchórz, nic więcej— odrzekł mój ojciec.— Przebiegła cyganka poznała słabą waściną stronę i zażartowała sobie z waści, przewidując, że się takie wróżby łatwo mogą sprawdzić.

—Za pozwoleniem jegomości— odezwała się Petronella,— chociaż prawda że pan chorążyc tchórz, niemniéj jednak i to nie bajka, że Małachna była czarownicą. Nie zliczyłabym wszystkich figlów, które mnie wypłatała.

—Płatała waści figle, boś jéj dokuczała językiem. Gdyby zaś była czarownicą, toby potrafiła waści wykurzyć z domu: a tu przeciwnie się stało, bo się w końcu sama wyniosła.

—Ale czyż mnie jednéj robiła sztuki? A też grady, wichry, choroby, co sprowadzała na ludzi i bydło?

—Grady, wichry i choroby spadały i spadać będą na świat z dopuszczenia Bożego, nie inaczéj. Wstydź się waszeć takiego posądzania; bij się w piersi i trzymaj mi język za zębami. Basta!—

Po obiedzie, umyślny z Fejman przyniósł list od pana Jodki do mego ojca w te pisany słowa:

„Wielmożny Mości Cześniku, mnie wielce „mościwy Panie i bracie!

„Zą powrótem z wojennéj mojéj wyprawy, znala„złem w Fejmanach oczekujące oddawna na mój respons, „pisanie W. M. P. Wszakże *haud diligentiae reus*, kie„dy się do téj roboty biorę, zlazłszy ledwie z konia. „Tenor listu W. M. P. byłby mi wielce dotkliwy, gdy„by się *plus quam satis* nie explikował extraordyna„ryjnémi okkurencjami o jakich mię z uprzejmości swéj „informować raczysz. Responsuję przeto bez ressenty„mentu, i *pro confidentia, placide* deklaruję· iż gdy „affekta serdeczne Jmć P. Cześnikowicza godnego syna „W. M. oddawna zwrócone ku Jmć Pannie Ciwunów„nie Ilgońskiéj, dziś już Najwyższego Arbitra dekre„tem *mirabile quantum* zdają się być konfirmowane, „nie zostawując W. M. Państwu *nullam potestatem*, wy„rzeczenia tu swojego rodzicielskiego *veto*, jakby się „to w każdym innym razie należało; i gdy obok tego „w córce naszéj Konstanciéj nie postrzegamy wyraźnéj „do wyż rzeczonego kawalera inklinacyi; zważywszy „to wszystko, ja wespół z małżonką moją, zgadzamy „się, ukartowane między naszym a W. W. M. Państwa „domem (za medyacyą Wieleb. Ojca Anzelma Soc. Jesu) „preliminarya, uważać za niebyłe, i żadną stronę nie „obowiązujące. Co tém łatwiéj uczynić nam przychodzi,

„iż projektowany *faedus conjunctionis*, *in privato* na-
„stały i nie ogłoszony, bez ubliżenia nam rodzicom Pan-
„ny, anihilowany być może. Rzeczy więc powracają
„do dawnego stanu nie zostawując w sercach skolligo-
„wanych krwią i estymą żadnego rankoru. Co wyra-
„ziwszy służby moje powolne W. M. P. polecam zosta-
„jąc i t. d.

„P. S. Zamek Marynawski, z łaski Najwyższego,
„*caepimus absque pugna*, wygłodziwszy Szwedów, że
„pociecha była patrzyć na chudych pludraków gdy się
„nam poddali. Oczyścili też fortecę ze szczurów, żab,
„pająków i tarakanów tak, że Jmć Pani Cześnikowa
„dobrodziejka co się, jak sobie przypominam, tego plu-
„gastwa okrutnie boi, spokojnieby teraz w tym zam-
„czysku spać mogła. Ale podczas kiedym pomagał
„Szwedów w Marynauzie *famem inferre*, oni z innej
„strony ledwie mi wzajem Fejman nie ogłodzili, jak
„o tem W. M. P. już wiedzieć musisz; *quandoquidem*
„syn waszmości i *Pater Anselmus* towarzyszyli *praeter*
„*voluntatem*, nieprzyjacielowi w tej inkursji na mój dwo-
„rek. *Laus Deo*, że to już przeszło i bodaj nigdy nie
„wracało. Amen."

—Amen!— powtórzył mój ojciec składając list i zdejmując z nosa okulary. Państwo Jodkowie recessują bez urazy, co mię mocno cieszy, bo przykroby mi było postradać affekt zacnego kolligata. Teraz już mości ciwunie dobrodzieju, możemy *definitive* naznaczyć termin ślubowin, i jeżelibyś waszmość nic przeciw temu

nie miał, życzyłbym sobie odbyć ten akt *in tractu armistitii*, a ponieważ takowe aż do 15 Novembris zostało przedłużone, więc możeby i nasz pan wojewoda zrobił nam fawor zaszczycić swoją prezencyą małżeńskie gody.

—Zgadzam się na wszystko co waszmość państwu podoba się postanowić w téj mierze, odpowiedział pan Ilgoński, i ułożono w następującym miesiącu połączyć mię z Roazą nierozerwanym węzłem u ołtarza.—

Ach jakże chyżo ubiegały nam te chwile, najszczęśliwsze z całego naszego życia. Radość moja nie miała granic; był to rodzaj zachwytu, odurzenia, upojenia zmysłów. Przeciwnie Roaza starała się szczęście swe zamknąć i piastować w sercu, a tylko po rozlanéj na słodkich jéj licach pogodzie można się było domyślać panującego w jéj duszy wesela. Żadném też słówkiem posępnéj wróżby nie zachmurzyła mi mojego nieba, twarz jéj nawet, jakby posłuszna chęci serca, oblekła się żywszą krasą, a na usta wrócił dawny uroczny uśmiech. Wszystko w około nas jaśniało odblaskiem naszego szczęścia. Matka moja płakała łzami radośnémi, a stary Grzesio tarł sobie oczy, patrząc na uśmiechającego się swego pana, zdziwiony nowém niespodziewaném widowiskiem.

Nadszedł nakoniec dzień pożądany. Wojewoda Gąsiewski przybył w assystencyi kilku oficerów, między którémi był i La Montagne. Domek nasz po raz drugi w tym roku jaśniał gronem znakomitych gości i skro-

mne jego ściany drżały od rozlegającego się w nim wesołego gwaru, od huku wystrzałów, dźwięków wojewodzińskich trębaczy, towarzyszących wiwatom, i od okrzyków biesiadującego na dziedzińcu wiejskiego ludu. Znowu z wnętrza kaplicy płynęły strumienie światła od rzęsiście oświeconego obrazu Bogarodzicy; znowu Roaza w białéj jak śnieg szacie stała u stopni tegoż ołtarza, ten sam kapłan sprawował znowu święty obrzęd; ciż sami prawie świadkowie otaczali ją jak wówczas, kiedyśmy ją widzieli przyjmującą najpiérwszy z Sakramentów Chrystusowego Kościoła, a jakże przecie wielka była w tém wszystkiém różnica. Miasto ubogiéj bez imienia Łotewki, stała tu dziedziczka szlachetnego rodu; miasto sieroty, córka miłującego ją całém rodzicielskiém przywiązaniem ojca; miasto katehumeny, oblubienica przy boku tego, z którym związek zdawał się być przedtém niepodobnym. I ta cudowna w losach jéj zmiana stała się w tak krótkim czasie! Ach, bo duch Boży wieje z wysokości swéj na potomki Adamowe jak na wiotkie trzciny, podnosząc je lub zniżając, krusząc lub umacniając, podług wyroków Mądrości przedwiecznéj. Jakby dla uzupełnienia podobieństwa tych dwóch najważniejszych chwil w życiu Roazy, zdjęła ją mdłość, gdy po ślubie odprowadzano ją od ołtarza, prędko atoli wróciła do zmysłów i pomimo widocznego utrudzenia znalazła w sobie dość siły, by jak przystało odpowiedzieć wymaganiom zwyczajów zachowywanych przy podobnie uroczystych godach. Z peł-

ną wdzięku pokorą przyjmowała powinszowania i rzęsiste za jéj zdrowie wiwaty; ze wszystkiémi tańcowała, każdemu potrafiła cóś przyjemnego powiedzieć na podziękowanie, a gdy pan La Montagne przy końcu, po gęstych kielichach, zaśpiewał swoim zwyczajem emfatyczną epitalamę, skromność dziewicza, rozlana w rysach jéj nadobnéj twarzy, hamowała wybujałą poetycką wenę. Śpiewak z wielkim swym żalem skrócił pieśń, wyrzucając z niéj wszystkie allegorje, któreby mogły obrazić uczucia wstydliwéj oblubienicy, a Wojewoda rzekł z uśmiechem:

—Muza walecznego kapitana oddała dziś hołd najpiękniejszéj cnocie naszych niewiast, wstydliwości. Temu względowi poświęcił poeta niektóre klassyczne ozdoby swéj epitalamy, co mu zjednywa wdzięczność ze strony tak młodéj mężatki, jako i całego grona pań tu obecnych, w imieniu których dziękuję mu wznosząc ten kielich na uczczenie cnót płci niewieściéj, w osobach zacnych współbiesiadniczek.

Zdrowie to spełnione zostało z wielkim zapałem przy głosie trąb i huku moździerzy, pito potém z trzewika nowo-zaślubionéj i tańcowano ochoczo, aż się zwykłą kawalerską słodką wieczerzą zakończył dzień uroczysty.

XXVII.

Już się były oddaliły z weselnego towarzystwa niewiasty, uprowadzając z sobą nieznacznie oblubienicę na drugą stronę domu do małżeńskiéj komnatki; już ostatni kielich, pod starodawném finalném hasłem: *kochajmy się!* obiegał koleje, a La Montagne, korzystając z nieobecności kobiét i księdza, dośpiewywał klassyczny finał swojéj epitalamy, zacytowawszy wprzód na usprawiedliwienie niepowściągliwości swéj Muzy, wątpliwe owe zdanie Katulla:

„Castum decet esse poëtam
Ipsum, versiculos nihil necesse est,
Qui tunc denique salem habent et leporem
Si sunt molliculi et parum pudici."

Nie jeden już z gości nie zbyt pewnym krokiem dążył ku drzwiom, aby dopaść łóżka: gdy Petronella

uchylając drzwi skinęła na mnie. Odpowiedziałem jéj znakiem, że pośpieszę, i wnet po cichu wymknąłem bocznémi drzwiczkami.

Wielki Boże! co za okropne oczekiwało mnie widowisko, tam gdziem dla siebie tyle marzył szczęśliwości! W tym alkierzu tak strojnie przybranym staraniem dobréj méj matki, w tym cichym przybytku spodziewanego małżeńskiego szczęścia, znalazłem zgiełk, nieład, pomięszanie. Łatwo się było domyślić przyczyny smutnego rozruchu. Skoczyłem w przerażeniu ku otoczonemu kobietami łożu, i pod wzniesioną kotarą, przy świetle przyćmionem świecy, ujrzałem Roazę w białych nocnych obsłonkach, leżącą z zamknionémi oczyma, z bladością śmierci na twarzy, a przy niéj matkę moją i staruszkę panią Platerową, zajęte trzeźwieniem zemdlonéj, śród cichego gwaru innych matron, wydających rozkazy służącym dziewkom.

—Co się tu stało?— zawołam przeraźliwie, i Roaza, jakby ją ten krzyk miłości i trwogi przywołał z tamtego świata, wzniosła słabe powieki, i po chwili z trudnością ku mnie wyciągnęła rękę. Wszystkie niewiasty krzyknęły razem z radości, ale ta radość nowej wnet ustąpiła trwodze, bo chora przykładając rękę do boku swego rzekła cichym głosem: „Czuję, że umrę... drogi mężu, przywołaj mego ojca, proś do mnie księdza.

Wnet ich obudzono obu. Stary Ilgoński na widok swéj córki zadrżał, twarz jego zwykle blada, oblekła

się bardziej jeszcze martwym popielnym odcieniem. Ujął zimną rękę córki, i wzniosłszy oczy w niebo stał w postawie nieruchoméj, zbierając w duszy swéj siły na tę straszliwą wiary z przyrodzeniem walkę. Ksiądz Anzelm u węzgłowia schylił głowę ku choréj, i gdy mu ta słów kilka do ucha poszepnęła, podniósł się dotykał się jéj rąk, położył potém rękę na jéj czole, i cichą nad nią zmówiwszy modlitwę, oddalił się, skinąwszy na mnie, abym szedł za nim.

— Uzbroj się męztwem wiary, mój synu — rzekł do mnie złamanym głosem, gdyśmy byli w sieni. Podobało się Najwyższemu, doświadczyć naszego posłuszeństwa niezbadanéj Jego woli... Przygotuj się do przyjęcia wyroku, jaki zechce wydać na sług swoich. Idź za mną: dam ci dla twojéj żony lekarstwo ku wsparciu jéj ciała, a sam niebawnie przyniosę jéj zasiłek dla duszy, aby, gdy taka będzie wola Stwórcy, stanęła przed Nim bielsza od śniegu, czystsza od rosy porannéj.

Odurzony, bezwładny, szedłem za nim, i wróciłem z flaszeczką kordjału którym orzeźwiliśmy cokolwiek Roazę, iż mogła się trochę podnieść na posłaniu. Wtedy, w postawie już siedzącéj, dziękując obecnym paniom za ich łaskawą przyjaźń i pomoc, prosiła żeby się udały na spoczynek, a domowych tylko zostawiły przy niéj. Usłuchano ją, i kiedyśmy zostali; ja, matka moja i Ilgoński, (bo mój ojciec utrudzony urzędem gościnnego gospodarza nie był w stanie dłużéj czuwać) Roaza, ucałowawszy czule rękę swego ojca, wsparła się potém na

mnie i założywszy mi na szyję swe ramię, słabym głosem cieszyła mię, gotując z wolna do okropnéj chwili rozstania się naszego.

— Wytrzymałam — mówiła — ciosy niedoli, uległam pod brzemieniem szczęścia. Serce moje rozpękło się niejako od pełności uczuć; w niém jest siedlisko śmiertelnéj choroby, która mię napadła tak nagle, a któréj przeczucie, jak wiesz, dręczyło mię od chwili twego powrótu. Przeciwności zadały mi cios piérwszy, a teraz zbytek szczęścia niesie cios ostatni.

— Ale ty nie umrzesz! — jęczałem boleśnie. — Bóg nie będzie tak...

Zamknęła mi łagodnie usta mówiąc:

— Nie kończ skargi, a błagaj ze mną Jego miłosierdzia. Ach! Bóg wysłuchał jednéj z próśb moich: zostać twą żoną i umrzeć, oto o com w rospaczy modliła... Dziś chciałabym żyć dla ciebie, ale nie szemrzę, bo czyżem nie więcéj doznała na téj ziemi szczęścia, aniżelim się spodziewać mogła? A jednak umierać w téj chwili... O Boże, przebacz!... ale jakże ciężko!... Matko moja, czemu mię tak rychło przywołujesz?

I w téj walce sprzecznych uczuć, konwulsyjne poruszenia wstrząsały ją całą, i ściskała mnie, jak podcięta latorośl bluszczu zwija się drgając około pnia wybiegłego, co go sobie wybrała śród wielu, i usycha nie wypuszczając go ze swego oplotu.

W tém śrébrny dźwięk dzwoneczka doleciał z sieni i wszedł ksiądz Anzelm w komży i stule z bursą na

piersiach i rzekł: — „Niech będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament!" — a obecni padając na kolana odpowiedzieli: „Prawdziwe ciało i krew Pana naszego Jezusa Chrystusa."

Na skinienie kapłana zdjęto ze stołu źwierciadło, oraz inne błyskotki gotowalni, zostały tylko na pokrywającym go białym jak śnieg rąbku, dwie w srebrnych lichtarzach gorejące woskowe świece, między któremi postawiono wizerunek Ukrzyżowanego. Na tym skromnym ołtarzu złożył ksiądz świętości, a pod krzyżem ślubny z ruty i rozmarynu wianeczek. Usiadł potém u węzgłowia choréj i schyliwszy się ku niéj, przyjął ostatnią jéj spowiedź, a po uroczystém apostolskiém rozgrzeszeniu, podał jéj do ust święty Wiatyk, który gdy przyjęła, twarz jéj ożywiła się dziwną łagodną jasnością, znać pochodzącą z wesela duszy zjednoczonéj z Bogiem. Widząc tę zmianę, jakaś nadzieja zadrgała we mnie, i rzekłem do odchodzącego kapłana:

— Ona będzie żyła? — nieprawdaż?

— Na łonie Boga w szczęśliwéj wieczności mój synu, odpowiedział rzewnie, i wziął ze stołu oleje święte, aby jeszcze jednym sakramentem opatrzyć rozdzielającą się z ciałem duszę na jéj wielką tajemniczą podróż do krain wieczności.

Po tym świętym obrządku, śród którego na licach Roazy taż słodka panowała pogoda, po odprawionych modlitwach i litanjach, rzekł Missjonarz:

— Teraz, córko w Chrystusie, gdy się twa dusza

przybrała w szaty godowe i namaszczona jest wonnościami przypodobanemi Boskiemu jéj oblubieńcowi, możemy spokojnie oczekiwać spełnienia Jego świętéj woli. Teraz, jeżeli na przypadek, że On cię wnet do siebie powoła, masz co do rozporządzenia na tym świecie, oto są dwaj wierni wykonawcy twéj ostatniéj chęci: rodzic twój i małżonek. Z nimi cię zostawiam na chwilę, a sam się udam do świątyni Pańskiej ofiarować za ciebie Bogu Ojcu niepokalanego Baranka.

Zostaliśmy we trojgu. Biedna matka moja, upadając pod smutkiem i utrudzeniem, musiała odejść dla użycia choć krótkiego spocznienia. Wtedy Roaza z zupełną przytomnością umysłu, wyraźnym acz słabym głosem polecała już każdemu z nas osobno, już obu spólnie, chrześcjańskie prawdziwie swe dyspozycje. Co do pogrzebu, prosiła aby jéj ciało złożone było obok zwłok matki. Los Łotyszów pogan między któremi zrosła, poruczała opiece i wstawieniu się naszemu do pana Wojewody. Odpuszczając Cyganom należącym do zbrodni *Wurszajta*, prosiła aby ich nie ścigano za ten występek. Bogatą swoją ruchomość wyprawną rozdzieliła w części na upominki krewnym, przyjaciołom i domownikom, nikogo nie przepominając, a w części nierównie znaczniejszéj, na wsparcie sierot i innych nieszczęśliwych, oraz na jałmużny dla ubogich. Mężniejszy ode mnie, choć zapewne nie mniéj rozdzierany załością, Ilgoński spisywał wolę ukochanéj córki najskrupulatniéj, za co mu ona dziękowała z największą czułością, znajdując

w tém osobliwszą pociechę, że była w stanie uczynić cóś dobrego przy śmierci, że mogła zostawić mały dowód swojéj pamięci osobóm, co jéj były miłemi. Śród téj czynności głośne łkanie ozwało się z głębi alkierza i doszło aż do słabiejącego coraz słuchu Roazy. Był to Grybul, który zasłyszawszy o tém nieszczęściu, wkradł się tu niepostrzeżony i zgięty ku ziemi zanosił się od płaczu, bo właśnie był usłyszał swe imię w ustach Roazy, gdy dla niego w kolei przeznaczała jakiś legacik. On tego nie zrozumiał, ale widział, że chora o nim pamiętała i to rozczuliło poczciwe jego przywiązane serce. Przyczołgał się więc aż ku nogom łóżka płacząc i wzywając, już prawego Boga, już bóztwa pogańskie, ku ratunkowi umierającéj. Z trudem zdołaliśmy nakoniec oddalić go z izby. Nie odszedł jednak ani na krok daléj, i skurczony siedział za drzwiami, przysłuchując się i przypatrując niespokojnie wchodzącym i wychodzącym.

Zdaje się iż Niebo udzielało Roazie tyle tylko sił i czasu, ile ich potrzebowała do należytego rozstania z tym światem; bo zaledwie skończyła swe rozporządzenie, wnet się ukazały poznaki blizkiego zgonu.

— Czuję jakieś zimno w sobie, jakby me serce zastygało — mówiła do mnie, a głos jéj coraz się stawał słabszym i urywanym — Nie prawdaż najmilszy mężu, że ręce moje zlodowaciały? — Ach! już nie czuję dotknięcia twéj ręki tak mi jeszcze przed chwilą miłego. Mów głośniéj, bo w uszach straszliwie szumi, a schyl się ku mnie, abym twe drogie oblicze dójrzeć mogła, przez

mgłę coraz gęstszą, co mię otacza. Ojcze kochany! odsłoń kotarę i obróćcie mię twarzą do okna, chciałabym pożegnać słońce, którego promienie budziły mię dawniéj do wesela. Otwórzcie okienko, może usłyszę raz jeszcze pienie ptasząt z któremi lubiłam łączyć mój głos. Ach darmo, darmo uzbrajać się odwagą. Straszną i gorzką jest śmierć tak wczesna, a życie takby mi tu było słodkie i piękne!...

I kilka łez z gasnących jéj oczu spadło na blade martwiejące lica.

—Słodsze i piękniejsze życie oczekuje ciebie w wieczności, kochane me dziécię (ozwał się ksiądz Anzelm, który był właśnie co przyszedł); tam to ujrzysz znowu tych, z którymi dzisiaj tak ciężko się tobie rozstawać, a dzień zjednoczenia się niedaleki. Mąż, ojciec, przyjaciele, oto są jedyne przedmioty twego żalu, i tych, ufam Bogu, nie utracisz, bo tylko ich wyprzedzasz do niebieskiéj ojczyzny. Reszta znikomego świata wszak cię nie obchodzi. Byłaś swobodną od jego pokus, uszłaś szczęśliwie jego sideł; dziękujże Bogu, że cię młodą zeń zbiera, że niewinna i czysta przemknęłaś po ziemi nie tknąwszy jéj błocka. Unosisz z sobą ze świata uczucia najsłodsze w całéj ich świeżości; umierasz kochająca i kochana, zabierasz więc, szczęśliwym jakby rzec wyjątkiem, skarby twoje z sobą, a którebyś może rozproszyła w dłuższéj tu pielgrzymce. Albowiem na tym padole nic nie trwa, a wszystko się zmienia zewnątrz i wewnątrz człowieka. Związki przyjaźni, miłości, wdzię-

czności, o których młodzi tyle marzą, starzy zaś tyle bają, ach! słabe to są pajęcze nici, rozrywające się za lada podmuchem przeciwnego wiatru. Ofiary, poświęcenia się, idą w zapomnienie, chwila obecna gładzi przeszłe; urazy tkwią dłużéj w pamięci jak dobrodziejstwa, a roskosze ciała zostawują po sobie boleść. W zaraniu dni twoich doznałaś już cierpienia, a ileżbyś to udręczeń nagromadziła na siebie w ciągu długiego życia. Do małżeńskiego łoża świętych patryarchów wciskała się troska, zazdrość i niepokój; jęki niepocieszonéj po swych synach Racheli brzmią aż dotąd w historyi ludu Bożego, a siedm mieczów boleści przeszyło macierzyńskie serce najświętszéj Bogarodzicy. Jeżeli więc wybranych Pańskich dosięgały niedole doczesnego życia, jeżeli dni błogosławionych rodzin nie były tu pogodne, jakiegoż my grzeszni moglibyśmy się spodziewać dla siebie szczęścia na téj słusznie padołem płaczu nazwanéj ziemi? Widziałem, kochana córko, w ciągu długiéj mojéj mozolnéj wędrówki po różnych krajach świata, widziałem ludzi mądrych, uczonych i bogatych, widziałem pięknie dobrane stadła, rodziny używające w pokoju obfitych darów nieba, ale prawdziwie szczęśliwych nie znalazłem jedno, pośród tych co się poświęcili całkiem Bogu a umarli światu. Tacy nie są już mieszkańcami ziemi, lubo chodzą po niéj ciałem, albowiem dusze ich oderwały się od niéj na zawsze nie czekając aż śmierć ich z nią rozłączy. Czemuż to uczynili? bo serca ich paliła żądza doskonałéj nieskończonéj miłości, a dla takiéj miłości

świat ten nie zdołałby dostarczyć żywiołu. I twoja dusza czuła potrzebę tego świętego zapału, i lubo przedmiot, w piérwszém i ciemném jeszcze objawieniu się téj żądzy, obrany, jest niedoskonały, lecz ty w nim ukochałaś część jego lepszą, duchową, nie zaś cielesną, znikomą. Bóg, który czyta w sercu twojém, i chce abyś poznała ową prawdziwą miłość, o któréj ci mówiłem, a poznała ją w całéj jéj czystości, bez udziału zmysłów, abyś zanurzyła się w niéj uszczęśliwioną duszą na wieki, dozwolił ci wybranego z ludzi przyjaciela poślubić duchownie, abyś z nim kiedyś dzieliła swe uszczęśliwienie, abyście się oboje miłowali na zawsze w Bogu. Nie żałuj więc dziecię moje, rozerwania cielesnego chwilowego związku; dziękuj owszem Panu, że cię z ziemskiéj oblubienicy zmienia w niebieską, że w dziewiczym wieńcu prosto od ołtarza przenosisz się do podnóżka Jego Majestatu!”

Jakby świętym zdjęta urokiem, słuchała umierająca słów tych kapłana z widoczną swéj duszy pociechą. Śmierć już była w jéj członkach, ale w bladéj twarzy migotało jeszcze życie, jakby zatrzymane w swéj ucieczce, głosem nieba.

Sługa Boży modlił się w cichości, badając tajemniczo okiem postęp śmiertelnych cieni na licach Roazy, a po chwili podał jéj zapaloną gromnicę z temi słowy:

— Weź tę gorejącą świecę, godło wiary, nadziei i miłości, obraz światła, którém jest nam Jezus Chrystus, a które niech ci przyświeca na żywot wieczny. Amen,

Potém ukazując wizerunek ukrzyżowanego, mówił:

— Patrz na wizerunek Tego, którego wkrótce ujrzysz boskie oblicze, i aby się i na tobie także spełniły owe Jego słowa, do współ-ukrzyżowanego: *dziś jeszcze będziesz ze mną w raju....*

— Niech Królowa Nieba przyjmie cię do swego dworu w poczet świętych dziewic, niech wszyscy Aniołowie i Święci Pańscy z radośném pieniem zastąpią ci drogę i zaprowadzą ciebie na mieszkanie do domu Ojca przedwiecznego, przez zasługi syna Jego Pana naszego Jezusa Chrystusa!...

Tu kapłan głos stopniami podnosząc zawołał nakoniec z mocą:

— Wyjdź-że już duszo Chrześcijańska, z téj znikoméj powłoki, w Imię Wszechmocnego Boga, który cię stworzył, w Imię Jezusa Chrystusa syna Boga żywego, który cię odkupił, w Imię Ducha Świętego, który cię poświęcił!

I, jakby posłuszna temu rozkazowi, rozerwała dusza ostatnie swe więzy z ciałem, i w kilku przerywanych coraz słabszych westchnieniach, uleciała w przestwory nieskończoności, na łono swego stworzyciela....

Dopisek Wydawcy.

Tu koniec wypisów moich z manuskryptu pamiętników księdza Jordana. Dalszy ich ciąg ile pamiętać mogę zawierał w sobie opisanie rospaczy jego po stracie żony, szczegółów jéj pogrzebu; obraz cichego smutku, rezygnacji, i wprędce potém świątobliwéj śmierci Ilgońskiego i t. d. Niepocieszony Jordan wrócił do wojska, walczył szukając daremnie śmierci w bitwach wielu: najprzód pod Gąsiewskim, a poźniéj pod Hetmanem Koniecpolskim, w téj długiéj i zaciętéj wojnie przeciw Szwedom, która, jak wiemy z historyi, po różnych zmiennych kolejach, skończyła się zawartym za pośrednictwem Francji i Anglji na lat sześć rozejmem, dnia 26 września 1629 roku. Za powrótem do domu, Jordan nie znalazł już w życiu ojca swego, a w rok późniéj pogrzebł i matkę. Obmierziwszy zatém sobie świat, do

którego nic go już nie przywiązywało, wstąpił do nowicjatu Jezuickiego, a wielebny ojciec Anzelm doczekał téj dla siebie wielkiéj pociechy, że przed śmiercią oglądał ukochanego swego ucznia w zakonnéj sukience. Dobra Auleńskie wieczystym donacyjnym wojewody Gąsiewskiego zapisem, sprawionym roku 1639 lutego dnia 3 w Wilnie, stały się własnością zakonu Soc. Jesu, któremu i nasz Jordan spuściznę swoją po rodzicach poświęcił. Szczęśliwy, że mógł co roku nawiedzać drogie to sercu swemu ustronie, że na grobach ukochanych istot mógł czasem zapłakać, w słodkiéj nadziei spoczywania kiedyś z niemi w jednéj mogile.

KONIEC.

PRZYPISKI.

Do stronicy 55.

W świeżo ogłoszonych we Francji ważnych i bardzo zajmujących wiadomościach o stanie obecnym Korsyki, pod rozmaitemi względami uważanym, znajduje się opis niektórych obrządków pogrzebowych do dziś dnia tam jeszcze używanych, a w których spostrzegam dziwne podobieństwo do opisanego przez ks. Jordana (i zgodnego wreszcie ze świadectwem dziejopisarzy) obyczaju pogańskiego od dawnych Łotwaków przy grzebaniu ciał zachowywanego, który obyczaj odbija znowu niektóre mythy Greków i Rzymian. Przytaczam tu wyjątek z rzeczonego dzieła, jako nastręczający uwagi nad dawnemi pobratymstwy ludów. Korsyka, jak wiadomo, była osadą Kartagińczyków aż do pierwszéj wojny Punickiéj. Wtedy stała się własnością Rzymian, którym wydarli ją poźniéj Wandalowie. Od tych opuszczona, przechodziła kilkakrotnie kolejno pod panowanie już Gotów, już Cesarzów Greckich, już Genueńczyków. Być może, iż te postrzeżenia analogji w pogrzebowych obrządkach między Korsykanami a dawnemi Litwinami i Łotwakami nic nowego dla uczonych badaczów starożytności naszych nie przynoszą; lecz pisząc dla ogółu, wziąłem sobie za godło:

„*Indocti discant et ament meminisse periti.*"

Oto więc, co mówi światły P. Mermilliod w swoim Liście VI. o korsykańskich pogrzebach:

„Les funérailles, dans quelques circonstances que ce soit, ont un caractère toujours un peu théatral. A peine la mort est-elle descendue dans une demeure, que l'on éteint le feu du foyer, et que l'on ferme les portes et les volets. Puis le corps est lavé, revêtu soit de ses meilleurs habits, soit du costume de la confrérie à laquelle il appartenait, et placé à terre ou sur une table. Des femmes, souvent payées pour cet office comme les *pleureuses* de l'antiquité, l'entourent en poussant des lamentations, s'arrachant les cheveux et célébrant les vertus du mort dans des stances où elles s'adressent à lui comme s'il pouvait les entendre, lui demandant pourquoi il a quitté ceux qui l'aimaient? s'il avait à se plaindre de la tendresse de sa femme, de ses enfans, etc. etc. etc? à chaque visite d'un parent ou d'un ami, nouvelle explosion de douleurs et de cris" etc.

Do stronicy 126.

Zamek Kokenhauzki, którego dziś tylko widzimy zwaliska, zmurowany był na początku XIII w. przez Biskupa Alberta, w miejscu, gdzie przedtem stał dworzec drewniany królika łotewskiego *Wesceka* czyli *Wszesława*, który, nie mogąc się oprzeć potędze Krzyżaków, opuścił kraj, spaliwszy wprzód swoje mieszkanie. Nowy obszerny zamek, cały z kamienia i należycie obwarowany fortyfikacjami, stał się odtąd najważniejszym punktem strategicznym dla Krzyżaków w Inflanciech, tak dalece, że poźniejsi Arcybiskupi przenieśli doń z Rygi swoję rezydencję. W r. 1479 Arcybiskup Sylwester, zwaśniwszy się z Zakonem, został oblężony w Kokenhauzkim zamku

przez Hermistrza Borcha, który go tam wziął w niewolę, i dopiero w 1486 Arcybiskup Hildebrand odzyskał stracone to dziedzictwo. W 1556 r. odebrali znowu Krzyżacy Arcybiskupowi Wilhelmowi Kokenhauz, ale się długo w nim nie utrzymali; po śmierci zaś Wilhelma w r. 1563 zamek, wraz z archidjecezją Ryzką, stał się własnością Korony Polskiéj.— Po za okopami zamku, od wschodniéj jego strony, zbudowano miasto i opasano je murem. Miało się ono rozciągać aż do starożytnego grobowiska, oznaczonego dzisiaj pięcią kamiennemi krzyżami. Z przywilejów nadanych temu miastu w rozmaitych epokach, aż do roku 1669, od Arcybiskupów Ryzkich Jana II i Fromholda, od Królów Polskich Stefana i Zygmunta III, i Szwedzkich Krystyny i Karola, okazuje się, iż było ludne, oraz handlowe, i służyło na skład towarów z północnéj i wschodniéj części Inflant do Rygi przepławianych, a szczególnie wosku, łoju i lnianego siemienia. Uciążliwe sąsiedztwo zamku napełnionego żołnierzem, a najbardziéj częste w kraju rozruchy i wojny, nie dozwoliły miastu przyjść do istotnie pomyślnego bytu. Dziwna jest nawet, że w tak niebezpiecznem położeniu przetrwało półpiąta wieku aż do 1669 r., w którym zostało przez Szwedów zdemoljowane. Pyszny zamek, który w ciągu pięciu wieków wytrzymał niewzruszony, wielokrotne napady, szturmy i oblężenia, który widział w swych murach Cara Iwana Groźnego, znalazł swój kres ostateczny w r. 1701, gdy go wojsko Saskie, nie chcąc poddać w ręce Króla Szwedzkiego Karola XII, wysadziło na powietrze prochem. Odtąd już nie był odbudowany.

Spis rozdziałów.